

787.091 E. W. HORNUNG

4148

16.

WŁAMYWACZ RAFFLES

MÓJ PRZYJACIEL

POWIEŚĆ AWANTURNICZA

PRZEKŁAD

MARJI MANBEROWEJ

ZWIĄZEK ZAW. PRAC. PRZEMYSŁU
POLIGRAFICZNEGO
W POLSCE
Okręg KRAKÓW

KRAKÓW 1929 R.

NAKŁADEM „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO“

ZAKŁADY GRAFICZNE „ILUSTR. KURYERA CODZ.”
W KRAKOWIE, POD ZARZĄDEM F. KORCZYNSKIEGO.



II.787.091



ZBIORNIK TW. PANI. PRZEMYSŁ
POLSKIEGO GRAFICZNEGO
WARSZAWA
Określenie w BOCHNI

ROZDZIAŁ I.
Wynany z raj.

Jeżeli mam opowiadać przygody przyjaciela mojego Rafflesa, muszę cofnąć się pamięcią w odległe czasy, tyżące się pierwszych dni naszego współżycia i nie wolno mi pominąć ani jednego szczegółu, bez względu na to, czy jest dodatni, czy ujemny, aby nakreślić dokładny portret mojego druha — że się tak wyrażę — na płótnie, w tym celu właśnie rozpiętem. Taki szczegółowy portret już mu i tak szkodzić nie może. Nie pomnę ani jednego rysu.

Jeżeli wszystko wezmę dokładnie pod uwagę, dojść do przekonania, że Raffles był skończonym łotrem. Zaprzeczyć temu nie podobna, zwłaszcza, że upiększanie szkodziłoby tylko pamięci mojego przyjaciela. Mimo to ja sam błdziłem właśnie w tym kierunku. Zatajałem rozmyślnie wiele brzydkich i źle świadczących o nim epizodach, równocześnie wypuklając rysy, które rzucały na niego korzystne światło. I kto wie, czy i teraz nie popełnię tego błędu, olśniony czarem jego osobowości, nawet opisując jego łotrostwa, które — ze wstydem wyznaję — umilają mi mojego bohatera. Lecz obecnie zrywam

z systemem upiększania i na dowód, że mam szczerze zamiary, odsłonię pewną tajemnicę, która mnie przedewszystkiem skrzywdziła najboleśniej.

Staram się dobrać słowa jak najskrupulatniej, gdyż — co prawda — nie chciałbym sprzeniewierzyć się pamięci przyjaciela. A przecież to on właśnie sprowadził mnie z zawiązanemi oczyma na drogę pokus i przestępstw. Brzydki uczynek — nieprawdaz? Lecz wiercie mi, że w porównaniu ze zdradziecką sztuczką, którą mi zagrał w niespełna miesiąc potem — jest to niewinna drobnostka. Sprawa ta dotyczyła nie tylko mnie i obryzgała błotem podłogi postać Rafflesa, lecz wciągnęła jeszcze w koło intrygi nazwisko pewnej osoby, droższej mi nad świat cały i nad mego przyjaciela, nazwisko, które i dzisiaj nie śmie być zbrukane przez połączenie z naszymi.

Wystarczy, jeżeli dam tu krótkie wyjaśnienie: otóż z osobą, o której mowa, byłem zaręczony jeszcze przed tą szaloną awanturą, o której chcę opowiedzieć. Jej rodzina uważała nasz stosunek za czysto przyjacielski, któremu nie była jednak rada. Nie podlegaliśmy bezpośrednio autorytetowi rodziny, lecz ustępowaliśmy jej ze względów, że tak powiem — hm — dyplomatycznych. Lecz my wiedzieliśmy oboje doskonale, jak między nami sprawy stoją.

Mój pierwszy krok na drodze upadku moralnego były, jak zwykle — karty. Zapłaciłem dług niepokrytym czekiem i w opresji musiałem zwrócić się do Rafflesa. I dlatego — zmuszony byłem zerwać z „nią“, moją ubóstwianą dziewczyną, bo — czyż mogłem dopuścić do tego, aby jej czysta duszyczka pławiła się w moich brudach? Widziałem ją jeszcze kilka razy — rozmawiałem z nią — i dałem do zrozumienia, że zbyt dużo ciąży na mojem sumieniu,

abym był godny zostać jej mężem. Wreszcie zerwałem z nią listownie.

Jak żywo mam w pamięci ów tydzień! Było to z końcem maja, tak pięknego, jakiego nie mieliśmy jeszcze, lecz czułem się tak nieszczęśliwy, że nawet nie miałem na tyle siły, by przegłądać gazetę sportową i śledzić emocjonujące wyniki gry hokeyowej. Raffles był wtedy królem hokeyu i pobijał wszystkie światowe rekordy. Tego dnia właśnie odniósł znakomite zwycięstwo i udając się do klubu Albany, wstąpił do mnie.

— Musimy zjeść razem obiad i oblać moje zwycięstwo — powiedział. — Zmęczyłem się porządnie, a i ty Bumy wyglądasz tak marnie, że przyda ci się flaszka dobrego wina. Jak się zapatrujesz na mój projekt, abyśmy pokrzepili ducha tak mniej więcej o ósmej wieczorem w kawiarni Royal? Naturalnie, ja zjawię się wcześniej, aby zamówić stół i wino.

Naturalnie w kawiarni Royal opowiedziałem Rafflesowi niezwłocznie o moich troskach sercowych. Po raz pierwszy dopiero wtajemniczyłem go w moje prywatne kłopoty i to dopiero po drugiej flaszcze wina tej samej znakomitej marki. Raffles przysłuchiwał się w poważnym skupieniu moim skargom, a współczucie jego było mi tem sympatyczniejsze, że wyrażał je taktownie i zwięźle. Dziwił się, dlaczego już dawno nie uczyniłem go moim powiernikiem i przyznał mi rację, że jedynem możliwym wyjściem z tej sytuacji, jest jawne i zupełne zerwanie. Moja ubóstwiana nie posiadała ani szylinga w majątku, a ja nie mogłem utrzymywać jej z pieniędzy ucziwie zarobionych. Opowiedziałem Rafflesowi, że była moja narzeczona spędza pół roku na wsi u ciotki, starej arystokratki, a drugą połowę w pałacu Garden, pod despotyczną opieką starego wuja, nadętego polityka. Ciotka miała dla

ZWIĄZEK ZAW. PRAC. PRZEMYSŁU
POLIGRAFICZNEGO
POLSKIE
LUBIŃ BOCHN
KRAKÓW

mnie zawsze pewną słabość, podczas gdy arystokratyczny jej brat usposobiony był wobec mnie najwidoczniej nieprzyjaźnie.

— Znam go, to Hektor Carruthers — mruknął Raffles. — Czy nic o nim nie słyszałeś od czasu zerwania?

— Nie — odparłem. — Wprawdzie roku ubiegłego kilka razy tam byłem, lecz nie zachęcano mnie do powrotu, nawet niechętnie przyjmowano. Stary potwór musi być istotnym znawcą ludzi.

Mówiąc to, roześmiałem się z goryczą.

— Ładny dom, prawda? — rzekł obojętnie Raffles, przeglądając się w lustrzanej powierzchni swojej srebrnej papierošnicy.

— Pierwsza klasa — odpowiedziałem. — Znasz przecież domy w Pałace Gardens?

— Hm — nie tak dokładnie, jakbyś pragnął, mój Bummy.

Otóż jego pałac jest najpiękniejszy. Zapelniony antykami, jak muzeum. Stary jest nadęty, jak paw, ale też może się pysznić istotnie książęcego urzędzenia.

— Jakżeż tam z ryglami u okien? — zapytał Ralf niby mimochodem.

Na te słowa zerwałem się, jak oparzony. Wzrok nasz spotkał się i w oczach jego zamigotało tyle wesołej złośliwości, tyle znanej mi dobrze słonecznej djabelskiej swawoli, iż przewidziałem, że znowu, jak to było od dwóch miesięcy, stanę się narzędziem zamysłów tego nieodparcie czarującego Mefista, który pcha mnie nieodwołalnie do zguby. A jednak zdobyłem się na tyle żelaznej woli, że stanowczo, lodowato powiedziałem „nie“. Rozumieliśmy się tak dobrze, że ujawnienie planów z jego strony było zupełnie zbyteczne: zamysły jego odbijały się zbyt wyraźnie w jego żywej, uśmiechniętej, energicznej

twarży. W zapale bohaterskiego postanowienia odsunąłem gwałtownie krzesło.

— Nie, nigdy się na to nie zgodzę. Dom, w którym doznawałem gościnności, gdzie „ją“ spotykałem, pod którego dachem „ona“ przebywała! Nawet nie waż się mówić o tem, Raffles, bo odejdę stąd, aby nigdy nie wrócić, słyszysz?!

— O, nie... Musimy przedtem wypić razem kawę i likier — odparł Raffles z rozbijającym, swobodnym uśmiechem. — Wypal najpierw małego Sulwana; ten gatunek papierosa jest najlepszym przejęciem do cygara. A teraz pozwól, że wypowiem małą uwagę: twoje skrupuły przynosiłyby ci zaszczyt jako dżentelmenowi, gdyby były uzasadnione i gdyby stary Carruthers mieszkał jeszcze w domu, o którym mówimy....

— Czyż chcesz przez to powiedzieć, że Carruthers wyprowadził się stamtąd?

Ralf potarł zapałkę o pudełko i służył mi ogniem.

— Chcę przez to powiedzieć, że o nazwisku tem już dawno zapomniano w Palace Gardens. Sam przyznałeś, że od roku nie masz o tych ludziach żadnych wiadomości. Na tem właśnie poięga nasze nieporozumienie. Ja myślałem o domu, a ty o jego mieszkańcach.

— Cóż to za nowi mieszkańcy, Raffles? Skąd wiesz, że dom ten zasługuje na twoją uwagę obecnie, gdy stary Carruthers wyprowadził się?

— Pozwolisz, że odpowiem kolejno na twoje pytania. A zatem: mieszka tam obecnie lord Lochmaben — odparł Raffles, dmuchając przed siebie szarobłękitnymi kółeczkami dymu. — Zrobiłeś taką minę jakbyś nigdy w życiu, nie słyszał, że taki lord istnieje. Nic w tem dziwnego, ponieważ sprawozdania sportowe stanowią wedle ciebie jedyny dziwny w gazecie, godny czytania. A na twoje drugie pytanie

szkoda silić się na odpowiedź. Przecież to wchodzi w obręb moich czynności zawodowych, aby się wywiadywał o takich rzeczach i basta. Lady Lochmaben posiada również kosztowną biżuterję, jak mrs. Carruthers i zapewne chowa je w tejże skrytce, co i jej poprzedniczka. A ty zapewne wiesz, gdzie się ta skrytka znajduje.

Rzeczywiście byłem o tem doskonale poinformowany, ponieważ siostrzenica p. Carruthersa opowiadała mi o jego namiętności wyszukiwania skrytek na biżuterję. Mr. Carruthers znany był z tego, że z zapalem studjował wszystkie podstępny i zasadzki włamywaczy, aby móc odpowiednio z nimi w danej chwili walczyć i prześcignąć ich w fortelach. Zamki u drzwi i rygle u okien zamykały się na specjalne opatentowane sposoby, aby nikt niewtajemniczony nie mógł się tam dostać. Obowiązek marszałka domu polegał na zamykaniu wszystkich wejść i okien, zanim gospodarz udawał się na spoczynek. Kluczyczka od kas nie powierzała nikomu, chował go tak przebiegle, że nigdy nie mogłem sam się domyśleć miejsca tajemniczej skrytki.

Dopiero moja najdroższa w naiwności czystego serca pokazała mi raz pewnego miejsce skrytki i opowiadała ze śmiechem, że nawet jej panieńskie, skromne kosztowności chowane są co wieczora uroczyście w rodzinnym schowku. Znajdowała się tam wmurowana w ścianę framuga za szafą biblioteczną, aby nikomu nie wpadła w oko. Bezwątpienia i lordowstwo Lochmaben używali tego samego schowka na biżuterję, wobec czego nie wzdragałem się zdradzić tego stanu rzeczy Rafflesowi, a nawet narysowałem plan rozkładu mieszkania dla dokładniejszej orientacji.

— To rzeczywiście nadspodziewanie sprytnie z twojej strony, że zorjentowałeś się co do rodzaju.

zamek — zauważył troskliwie Ralf. — A czy tak-
że główne wejście zaopatrzone jest w patentowy
zamek?

— Nie, główna brama zamyka się na zwyczajny
klucz. Wiem o tem, ponieważ miałem raz ten klucz
w rękę, gdyśmy... razem „byli w teatrze“ --kończy-
łem skwapliwie.

— Dziękuję ci, przyjacielu — rzekł Ralf, a w od-
powiedzi jego brzmiał wyraźny ton współczucia. —
Oto wszystko, czego chciałem dowiedzieć się od cie-
bie, drogi chłopcze. Wiesz ty, Bunny, że dzisiaj za-
noc będzie dla mnie prawdziwie korzystna.

Tak określał zwykle swoje genialnie lotrowskie i
najbezcelniej śmiałe przedsięwzięcia.

Przerazony jego szybką decyzją, spojrzałem
błagalnie. Ale wiedziałem, że niema apelacji. Ralf
zażądał rachunku od płatniczego. Po chwili znale-
źliśmy się na ulicy.

— Pójdę tam razem z tobą — rzekłem starowczo,
biorąc go pod ramię,

— Ależ Bunny, cóż za pomysł!

— Nie widzę w tem nic dziwnego. Mogę ci się
przydać, bo znam wybornie teren działania, a przy-
tem nie mam już skrupułów, skoro dawni gospoda-
rze już tam nie mieszkają. A czyż to pierwszy raz
towarzyszę ci w twoich eskapadach? Kto raz zaczy-
na, ten musi wytrwać.

W milczeniu szliśmy dalej. Musiałem z całej siły
trzymać mojego przyjaciela, aby mi nie umknął.

— Mógłbyś odstąpić od tego głupiego zamiaru —
zaczął perswadować Ralf. — Nie przydasz mi się
na nic, więc zdrowiej dla ciebie, abyś się nie pchał
tam, gdzieś doprawdy zbyt daleko.

— Przydałem ci się tyle razy, to i dzisiaj moja
pomoc nie zawadzi.

— Nie przeczę, Bunny, ale szczerze mówiąc, wolałbym, abyś dzisiaj siedział w domu.

— Ależ człeku, ja znam dom na wylot, a ty nie! Pozwól, że ci coś zaproponuję: pójdę z tobą i pomogę ci, ale nie chcę ani szylinga z łupu.

W ten sposób użyłem wobec mojego przyjaciela tego samego środka, który on zwykł często wobec mnie stosować. Ale Ralf odzyskał widocznie dobry humor i roześmiał się serdecznie.

— Och, ty szczwany, tchórzliwy lisie, czy pójdziesz ze mną czy nie, podzielimy się zdobyczą w każdym razie. Uważam tylko, że powinieneś mieć wzgląd na pannę.

— Ależ w jakim celu? — spytałem z rozpaczą. — Przecież sam powiedziałaś, że najlepiej będzie dla nas obojga, jeżeli się jej wyrzeknę. Jestem zadowolony, że sam miałem na tyle rozsądku, aby dojść do tego przeświadczenia, zanim to od ciebie usłyszałem i że zdobyłem się na tyle siły moralnej, aby ją o tem pisemnie zawiadomić. W niedzielę napisałem do niej. A dzisiaj już środa i nie mam jeszcze odpowiedzi. Zdaje mi się, że oszaleję, jeżeli będę musiał dłużej czekać.

— Napisałeś zapewne do Palace Gardens?

— Nie, adresowałem list na wieś, gdzie zwykle o tej porze przebywa. Czy tak, czy inaczej, odpowiedź powinna już nadejść.

Staliśmy przed hotelem Albany.

— Bunny, a możebyś zaglądnął do twojego pokoju, czy nie nadeszła odpowiedź?

— Nie chcę. Wszystko mi już jedno, przecież i tak zerwałem z nią i z uczciwą przeszłością. Zatem najlepiej będzie, jeżeli bez wahania pójdę z tobą.

Dłoń, która uzyskała niezaprzeczone mistrzostwo sportowe w Anglii, spoczęła teraz dziwnie szybkim ruchem na moim ramieniu.

— Zgoda zatem, Bunny. Rzecz załatwiona, ale niech to spadnie na twoją odpowiedzialność, jeżeli sprawa się nie uda. Tymczasem nie pozostaje nam nic innego, jak wstąpić tutaj oto i wypalić cygaro, jako też wypić filiżankę herbaty specjalnego gatunku, na której smaku musisz się poznać, zanim zrobisz karierę w nowym zawodzie. Gdy tylko północ wybije, zabierzemy się do dzieła, mój kochany chłopcze; teraz mogę ci szczerze wyznać, że się naprawdę cieszę z tego, iż będziesz przy mnie w chwili niebezpieczeństwa!

Dręczące chwile oczekiwania, przebyte w mieszkaniu Ralfa, po dziś dzień mam żywo w pamięci. Była to pierwsza godzina w moim życiu, w której jasno zdawałem sobie sprawę ze zgrozy sytuacji. Przez cały czas spoglądałem bądź to na zegarek, bądź na sfinksowe oblicze Ralfa, z którego wbrew jego woli nie mogłem niczego wyczytać. On sam przyznał, że takie oczekiwanie jest równie emocjonujące, jak przed pojedynkiem.

Zwolna zacząłem tracić ochotę do zrealizowania planu, do którego z początku tak bardzo się paliłem. Coraz więcej gasł sztucznie podniecony zapal dla sprawy, a budził się żywiołowy wstręt do takiego sposobu wchodzenia pod dach domu, w którym tyle razy gościłem. Odzywało się coraz silniej sumienie. Zwierzyłem się z tego skrupułu Ralfowi, który przyznał się (za co go jeszcze więcej pokochałem), że i jemu nie jest obce w stanowczej chwili uczucie wahania, zresztą najnaturalniejsze w świecie. Przyznał się szczerze, że już od miesięcy zwrócił uwagę na lady Lochmaben i jej kosztowności. Nie na jednej premierze siedział tuż za obładowana biżuterią lady i dawno już rozstrzygnął, które klejnoty sobie przywłaszczy, a które pozostawi w skrytce i czekał tylko na pewne niecodzowne szczegóły planu

sytuacyjnego, których mu przed chwilą przypadkowo dostarczyłem. Nie jedyny był to dom, który Ralf miał upatrzony i zanotowany w swoim spisie, lecz tamte wyprawy miały dojść do skutku dopiero po uzupełnieniu szczegółów.

Pozatem ta noc nadawała się doskonale na zrealizowanie jego projektów już choćby dlatego, że zmęczony po burzliwych obradach sejmowych poseł, zapewne zaśnie snem kamiennym.

Nie dziwiły się nikt urokowi Ralfa, jaki wywierał na otoczenie i tem samem na mnie, gdyby ktoś mógł obserwować go, z jakim szlachetnym wdziękiem wypalał swego ulubionego papierosa i równocześnie wtajemniczał mnie w arkana ohydneho, haniebnego zawodu. Ani styl jego, ani gestykulacja, nie miały w sobie nic bandyckiego, przeciwnie, były niezwykle wytworne. Co do talentu krasomówczego, to nie spotkałem nikogo w mojem życiu, ktoby mógł Ralfowi dorównać. Robił wrażenie arystokraty, który ubrał się na eleganckie przyjęcie. Jego fryzura była zawsze starannie pielęgnowana, a blada, dystygnowana twarz gładka i spokojna. Nasza pogawędka odbywała się w zacisznem mieszkaniu bandyty, umeblowanem ze smakiem, który świadczył o kulturze właściciela. Antyczne sprzęty, rozstawione w artystycznym nieładzie, olbrzymia, ślicznie rzeźbiona biblioteka, wypełniona rzadkimi dziełami światowej literatury, na ścianach arcydzieła Wattsa i Rosettiego — oto urządzenie mieszkania mojego przyjaciela.

Było już po pierwszej w nocy, gdy zajechaliśmy w dorożce automobilowej przed fronton kościoła w Kensington, gdzie wysiedliśmy. Ralf, który w decydującym momencie przed działaniem zachowywał się z ostrożnością, graniczącą z tchórzostwem, okrążył ulicę, aby uniknąć nieprzewidzianych świadków,

mogących nas spotkać w drodze na bal w sąsiadującym z kościołem pałacu.

To też krążyliśmy jeszcze dłuższy czas, zanim znaleźliśmy się przed Palace Gardens. Znał pałac z frontu tak dobrze, jak i ja. Obserwując dom z przeciwka zauważyliśmy, że nie we wszystkich oknach było ciemno. Nad bramą wejściową świeciło się małe matowe światło, a w głębi dziedzińca, widocznego z frontu, jaśniała przy zabudowaniach stajni i garażu wielka latarnia.

— O, to się kiepsko składa. Widocznie panie jeździły gdzieś w odwiedziny. Że też kobiety zawsze muszą sprawić jakąś kłopotliwą niespodziankę.... Prawdopodobnie poszły spać, zanim służba udała się na spoczynek, ale bezsenność kobiet jest znamienna dla płci pięknej, a w naszym zawodzie brózdzi nam nazbyt często. Zdaje się, że ktoś z członków rodziny jeszcze nie wrócił z birbantki, zapewne syn, lecz to znany hulaka i nie wróci zapewne, dopiero nad ranem.

— Zupełnie jak Aleks Carruthers — szepnąłem, przypominając sobie pyszałkowatego paniczyka, którego nienawidziłem z całego serca.

— Mogliby być braćmi — odparł Ralf, ktoby znalazł całą hulaszczą złotą młodzież Londynu. — Wiesz, Bunny, znowu zaczynam wątpić, czy mi się na coś przydasz.

— A to dlaczego?

— Bo jeżeli brama frontowa jest tylko przymknięta, to wejść sobie najzwyczajniej w świecie, jak gdybym był synem lorda.

Przytem zabrzączał wytrychami, których pęk nosił na łańcuszku, jak to zwykle czynią z kluczami uczeziwi obywater.

— Zapominasz o drzwiach wewnątrz domu i o kasie.



— To prawda, przydałbyś mi się raczej wewnątrz na miejscu. Lecz wyznam, że nie mam ochoty narażać cię na niebezpieczeństwo, o ile to nie jest konieczne, drogi Bunny.

— W takim razie pozwól, że ja wprowadzę cię — odezwałem się i już postąpiłem naprzód celem przejścia przez ulicę, jak gdybym udawał się do własnej siedziby. Myślałem, że Ralf pozostał po przeciwnej stronie, ponieważ nie słyszałem, aby podążył za mną, lecz ku mojemu zdumieniu ujrzałem go przy mnie przed bramą ogrodu.

— Trzeba będzie nauczyć cię sposobu chodzenia włamywaczy — szepnął, kiwając głową z politowaniem. — Nigdy nie powinienes stapać na obcasach. Widzisz, trawnik jest ogrodzony kamieniami; przejdź po nich, jak gdybyś chodził po linie. Na zwykłej drodze, posypanej żwirem, pozostają ślady, przytem unikniesz zbytecznego hałasu. Poczekaj, wolę cię przenieść!

Znajdowaliśmy się właśnie na zakręcie drogi. Ralf wziął mnie na ręce i cichym krokiem lamparta przekroczył żwirem wysypane miejsce.

— A teraz ściągnij buciki i włóż je do kieszeni — szepnął. — Oto pierwsze ujemne strony zawodu włamywacza — dodał na progu.

Jak przewidywaliśmy, brama nie była zamknięta na patentowy zatrzask, to też Ralf założył jeden ze swoich wytrychów, jak zręczny dentysta obciążki do wyrywania zębów. Dwa nie nadały się, wreszcie trzeci otworzył bramę, prowadzącą do hali. Staliśmy na macie, wyścielającej posadzkę, gdy nagle zegar wydzwonił godzinę tak przejmującym, dobrze znanym dźwiękiem, że wzruszony ująłem Ralfa gwałtownie za ramię.

— To ten sam melodyjny dźwięk zegara, który towarzyszył mi w godzinach niezapomnianego szczę-

ścia i spędzanych z „nią“ na tej oto ławeczce. Ralf patrzył na mnie z uśmiechem i otworzył szeroko drzwi, wskazując drogę do uciezki.

— Okłamałeś mnie! — jęknąłem przerażony.

— Cóż za pomysł! — odparł Ralf. — Urządzenie pozostało takie, jakie miał Hektor Carruthers, lecz dom należy do lorda Lochmaben. Popatrz, skoro nie wierzysz!

Pochylił się i podniósł zmiętą depezę: „Lord Lochmaben“ — przeczytałem na kopercie telegramu nazwisko, wypisane atramentowym ołówkiem. Natychmiast zrozumiałem wszystko. Moi znajomi odnajęli dom wraz z umeblowaniem, o czym powinien był objaśnić mnie Ralf, najlepszy mój przyjaciel.

— Już dobrze, możesz zamknąć drzwi.

Uczył to i przycisnął klamkę tak cichutko, jak gdyby była świeżo naoliwiona.

Zabraliśmy się do otworzenia drzwi gabinetu, przy pomocy malutkiej latarni, flaszeczki z oliwą i świdra. Patentowy zamek zauważył Ralf natychmiast i podważywszy go zręcznie z obydwu stron, wyjął, jak orzech z łupiny. Zegar wydzwonił przenikliwym, dalekonośnym tonem godzinę drugą, a my nie zdołaliśmy jeszcze dostać się do pokoju.

Następnym czynem Ralfa było unieszkodliwienie dzwonka alarmowego przy oknie, aby zapewnić dla nas w potrzebie rezerwowe wyjście, poczem otworzył okno i okiennice. Na szczęście noc była spokojna i wpadający przez okno powiew zupełnie nam nie przeszkadzał. Następnie Ralf zabrał się do właściwego dzieła, mianowicie zaczął „operację“ kasety, wmurowanej, jak mu to już zdradziłem, za szafą biblioteczną w ścianie, podczas, gdy ja stałem na straży na progu pokoju. Stałem tak ze dwanaście minut, słuchając z drżeniem tykania zegara i odgłosu zabiegów Ralfa, preparującego wprawnie za-

mek, gdy nagle tajemniczy szmer dobiegł do moich uszu i wstrząsnął mną do szpiku kości. Ktoś otwierał cicho i ostrożnie drzwi w przejściu nad halą.

Gardło wyszło mi z przerażenia i z trudem mowałem się z bezwładem głosu i języka, zanim mogłem szeptem ostrzec Ralfa o grożącym niebezpieczeństwie. Lecz jego bystry słuch wcześniej jeszcze ode mnie pochwyił groźny szelest. Natychmiast zgasił latarkę i znalazł się przy mnie tak blisko, że czułem jego oddech na karku. Było już zbyt późno na porozumiewanie się nawet szeptem i zamknięcie zepsutych drzwi. Staliśmy bezradnie na progu, przyciśnięci do drzwi, podczas gdy tajemnicze stąpanie rozlegało się już na schodach.

Balustrada i zakręt schodów nie dozwalały nam dojrzeć, kto jest tym nocnym duchem i dopiero, gdy tajemnicza osoba znajdowała się tuż przy nas, mogliśmy rozpoznać oświetloną mdłym blaskiem latarki. Z szelestu sukni i szmeru jedwabów można było przypuścić, że to jedna z pań w balowej toalecie. Mimo woli cofnąłem się, gdy twarz nieznanego, w słabym blasku światła, była tuż przy nas — i nagle uczułem na ustach moich mocno przyciśniętą dłoń męską.

Ralf miał rację, że zamknął mi usta, gdyż w tej chwili wykrzyknąłbym napewno pod wpływem nagłego przerażenia. Osobą, zstępującą ze schodów, z listem w dłoni była — właśnie ona, której nie chciałbym w tej chwili spotkać nawet za cenę życia, ja, pospolity włamywacz, niegdyś przyjmowany w tym domu wyłącznie dla niej i przez nią! W tej chwili zapomniałem o Ralfie, zapomniałem nawet o żalu niczem nie dającym się złagodzić, który do niego czułem. Nie pomyślałem nawet o spoczywającej na moich wargach dłoni, aż do chwili, gdy ją usunął. Wszak przedemną stała jedyna istota, która

obecnie istniała dla mnie na całym świecie. Nie miałem ani oczu, ani zmysłów dla nikogo i niczego pod słońcem.

Ona zaś nie widziała nas i nie słyszała, gdyż nie patrzała ani w lewo, ani w prawo. Zbliżyła się do małego, dębowego stolika, stojącego w przeciwnym rogu hali. Na stoliku stała skrzynka, przeznaczona dla odbioru listów i moja ukochana dziewczyna pochyliła się, aby przy świetle latarki przeczytać porę wyjęcia korespondencji.

Zegar szeptał i szeptał sekundy i minuty, upływające tej tragicznej nocy. Z oblicza dziewczęcia wyczytać można było uroczego, czulego niezdecydowania, że poczułem łzy pod powiekami. Jak przez mgłę widziałem, że wyjęła list z koperty i raz jeszcze przeczytała go, jak gdyby miała zamiar zmienić treść listu jeszcze teraz, w ostatniej chwili. Lecz na to było już zapóźno.

Nagle droga moja dziewczyna wyjęła zza gorsu różę i włożyła ją do listu. Tego było już nadto dla wytrzymałości moich nerwów. Jęknąłem głośno.

Czyż mogłem się opanować? Wszak list ten był pisany do mnie — o tem byłem tak święcie przekonany, jak gdybym widział adres na własne oczy. Była wierna, wierna aż do śmierci; na świecie nie mogli się znajdować dwaj mężczyźni, do którychby ona równocześnie pisała listy i posyłała im różę. Tylko w nocy mogła do mnie pisać, tylko w ten sposób unikała szpiegowania i nikt się o liście nie mógł dowiedzieć. A wyrzuty, na które aż nadto zasługiwałem, łagodziła przysłaniem róży, cieplej jeszcze od jej cudownych ramion. A tuż obok stałem ja właśnie, jako zwyczajny, pospolity rzezimieszek, który włamał się, aby okraść ten dom. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jęknąłem boleśnie, aż dopiero ona na dźwięk głosu cofnęła się przerażona, a ręce tuż za

mną przygwoździły mnie mocnym chwytem do miejsca, na którym stałem.

Zapewne dostrzegła nas w bladym blasku latarki, lecz odważnie zachowała zupełny spokój i milczenie. Tak staliśmy bez ruchu kilka sekund, które przeszły, jak w koszmarnym śnie. Nagle rozdarło ciszę nocy gwałtowne pukanie i dobijanie się, które w mgnieniu oka przywróciło nam przytomność umysłu.

— To syn lorda! — szepnął mi do ucha Ralf, ciągnąc mnie do okna, które poprzednio na wszelki wypadek zostawił otwarte. Wyskoczył pierwszy bez wahania, lecz wtem przeraźliwy krzyk przykuł mnie do okna.

— Wracaj, wracaj, zapóźno! — krzyknął i w tej chwili przewrócił nacierającego nań policjanta, lecz drugi następował mu już na pięty i trzeci dopadł już okna. Nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić do domu, z którego chciałem uciec. Tutaj, w tej hali, znalazłem się oko w oko z moją utraconą dziewczyną.

Nie poznała mnie widocznie aż do tej chwili. Skoczyłem jej na ratunek, gdyż ślaniała się, bliska omdlenia. Samo moje dotknięcie doprowadziło ją do przytomności. Odepchnęła mnie gwałtownie i wyjąkała bez tchu:

— To pan, pan!

Nie mogłem znieść wyrzutu, utajonego w jej głosie i podbiegłem znowu do okna, zdany na pewną zgubę.

— Nie tędy, na Boga, nie tędy! — zawołała, a w głosie jej drżał śmiertelny przestach. Objęła mnie z całej siły rękoma.

— Tam, tam! — szepnęła, wskazując na szafę z garderobą, do której starała się mnie wepchnąć. Sama zatrzasnęła za mną drzwi olbrzymiego sprzętu.

Tymczasem na piętrze powstał hałas, wzmaga-
jący się z sekundy na sekundę. Jakieś lekkie kroki
przebiegły wzdłuż galerję i po schodach na dół. Nie-
samowity głos wewnętrzny nakłaniał mnie, abym
opuścił dobrowolnie kryjówkę i wydał się w ręce
władz i domowników. Lecz jedynie wzgląd na nią
powstrzymał mnie od wykonania tej rozpaczi-
wej decyzji. Słyszałem jej słodkie imię, słyszałem,
jak przemawiano do niej, jak gdyby nagle straciła
przytomność. Słyszałem również głos znieawidzo-
nej bestji, Aleksa Carruthersa, zachrypiły i zgryźli-
wy, jak zwykle po jego hulaszczych orgjach, który
mógł bezkarnie wymawiać jej drogie imię. W ostrym
urzędowym tonie zadawał jej ktoś krótkie pytania,
na który odpowiadała w tym sensie, iż szybko domy-
śliłem się, że jej omdlenie było tylko konieczną ko-
medją.

— Więc uciek i niema go, miss? Czy pani jest cał-
kłem tego pewna?

Nie słyszałem jej odpowiedzi, lecz prawdopodo-
bnie wskazała ręką na górę. I znowu słyszałem gro-
zą przejmujące człapanie bosych i obutych stóp,
przebiegających tuż koło mnie i żywiołowy strach
o całość własnej skóry opanował moją istotę. Lecz
odgłos kroków oddalał się coraz bardziej ku górze,
wreszcie zcichł zupełnie. Zapytywałem sam siebie,
czy nie byłoby dobrze uciec teraz ostatecznie, gdy
wtem znowu usłyszałem zbiegające po schodach lek-
kie kroki. Wyszedłem i znalazłem się naprzeciw
mojej wybawicielki, w oczach której starałem się
wyglądać tak nędznie, jak się istotnie czułem.

— Tędy, szybko! — szepnęła ostro i wskazała mi
drzwi kategoriycznym ruchem ręki. Lecz wobec jej
surowości powstała we mnie martwa obojętność na
wszystko i z dziwnym uporem i zatwardziałością
stałem w miejscu. W tej chwili spostrzegłem

w Jej dłoni zmięty list, który miała poprzednio wyśłać. Tupnęła nogą:

— Spiesz pan! Natychmiast, jeżeli... mnie kiedykolwiek kochałeś!

Szeptem, bez rozgoryczenia, bez lekceważenia wypowiedziała te słowa, ale przebiegał w nich ton tak błagalny, że moja męska ambicja doznała nowej podniety. W tej świadomości, że widzę ją po raz ostatni, byłem posłuszny jej woli i wyszedłem, czyniąc to wyłącznie dla niej. Wychodząc, słyszałem, jak podarła nieszczęsny list na strzępy.

(W tej chwili przypomniałem sobie Ralfa i na myśl o nim byłem zdolny do zgładzenia go natychmiast ze świata za to, co mi uczynił. Niewątpliwie siedzi teraz spokojny i bezpieczny w klubie Albany. Cóż go mógł obchodzić mój los? A zresztą, wszystko mi jedno, tak czy owak postanowiłem skończyć z tą przyjaźnią raz na zawsze. Właściwie to on ją zabił swoim niecznym czynem owej nocy. Postanowiłem natychmiast powiedzieć mu to w oczy. Dorożka znajdzie się zapewne w pobliżu. Ale przedtem trzeba było jeszcze wydostać się ostatecznie z tej matni, w którą on mnie tak chętnie zaplątał. Lecz już w bramie musiałem porzucić ten zamiar. Ujrzałem ze zgrozą, że policjant przeszukiwał krzaki w ogrodzie i przyległą ulicę. Światło elektrycznej lataрки poruszało się jak błędny ogień to tu, to tam. Jakiś młody człowiek w cywilnem ubraniu dawał policjantowi wskazówki. Tego nieznanego, być może ajenta policji, musiałem przede wszystkim starać się wyminąć, lecz zaledwie postąpiłem kilka kroków, gdy niezajomy odwrócił się i ze zdumieniem ujrzałem — Ralfa!

— Tam do licha! — zawołał. — Więc i pan zjawił się na placu boju? Zapewne zrewidował pan już pałac? Lepiejbyś pan zrobił, gdybyś tutaj w ogrodzie

pomógł nam szukać tych lotrów... Wszystko w porządku, panie stójkowy, ten pan jest moim kolegą, który przyszedł z Empress Rooms.

I z niezachwianym spokojem pomagaliśmy przeszukiwać ogród tak długo, dopóki nie przyszedł oddział policji z sierżantem na czele, który złuzował zatroskanego niepowodzeniem towarzysza. Korzystając z ogólnego zamieszania odeszliśmy, jak gdyby nigdy nic, trzymając się pod ramię. Gdy tylko zeszedł policji z oczu i opuścili pole naszej sromotnej klęski, odepchnąłem z oburzeniem ramię mojego towarzysza.

— Kochany Bunny, czy wiesz co mnie tutaj z powrotem sprowadziło?

Odburknąłem wściekły, że mnie to nic a nic nie obchodzi.

— Nie myśl, że łatwo było stąd zemknąć — ciągnął dalej z niezmaconym spokojem. Przeskoczyłem może trzy parkany, ale mój prześladowca uczynił to samo, a nawet zmusił mnie do tego, że pędziłem przez całą Highstreet, jak pospolity złoczyńca. Ocale szczęście, że się zdyszał i nie mógł złapać tehu, aby wzywać pomocy. W ten sposób udało mi się wpaść w boczną ulicę, zdjąć zarzutkę i oddać ją w garderobie hotelu Empress Room, gdzie właśnie odbywał się dancing.

— Zapewne miałeś bilet wstępu na tę zabawę? — mruknąłem drwiąco. Nie dziwiłoby mnie to wcale, gdyby Ralf wprost z „placu boju“ udał się na salę balową.

— Cóż mnie w tej chwili obchodziły tańce — odparł. — Skorzystałem tylko ze sposobności, aby pozbyć się zarzutki, która mogła wpaść w oko mojemu prześladowcy. Teraz odbiorę sobie ją w przejściu; skorzystałem z ранней pory, w czasie której wiele osób opuści zabawę. Niewątpliwie spotkałbym

tam znajomych i dałbym się namówić do wzięcia udziału w zabawie, gdyby nie troska o ciebie, mój drogi Bunny.

— Nie przeczę, że to może być prawdopodobne, abyś ty zdolny był do narażania się specjalnie w celu wydostania mnie z tej matni — odparłem. — Ale okłamać mnie i zapomocą tych kłamstw zwabić mnie właśnie do tego domu, — nie, to nawet ciebie jest niegodne, mój Ralfie, to też nigdy w życiu nie przebaczę ci tego!

Raffles ujął mnie znowu pod ramię. Znajdowaliśmy się znowu w pobliżu bramy, wiodącej do Highstreet, a mnie było nazbyt ciężko na sercu, aby zrezygnować z jego chęci pogodzenia się, do którego nie zamierzałem dać mu ponownie sposobności.

— Słuchaj Bunny, tak prawdą a Bogiem nie ja cę tutaj zwabiłem. Przeciwnie, przyznasz, że czyniłem wszystko możliwe, aby cę powstrzymać, lecz niestety, nie chciałeś mnie słuchać!

— Ale gdybyś mi wyznał szczerą prawdę, jak sprawy przedstawiają się istotnie, byłbym cę napełne posłuchał — odrzekłem.

— Poczóż jednak mówimy jeszcze o tem? Tobie łatwo wplątać mnie w kolizję, gdy sam dałeś dęba! Cóż cębie to obchodzi, co się ze mną stanie! — mówiłem, przecząc w rozgoryczeniu samemu sobie.

— Chyba dałem dowód, że mnie to obchodzi, skoro się po cębie wróciłem! — odparł Ralf z wyrzutem w głosie.

— Mogłeś sobie zaoszczędzić tego trudu! Nie-szczęście już się stało... Raffles — na Boga — czy naprawdę nie wiesz, kim była ta kobieta?!

Rozpaczliwie chwyciłem go za rękę.

— Naturalnie, odgadłem to — odparł ze smutną powagą, która dostatecznie zdradzała, jak się na to zapatrywał.

— To ona, właśnie ona, uratowała mnie z opresji, a nie ty! — rzekłem. — I to jest dla mnie najtraficzniesz! —

Opowiedziałem mu bliższe szczegóły tej niezapomnianej dla mnie sceny — z pewną gorzką chępliwością podkreślając zachowanie się istoty, którą z jego winy utracić miałem raz na zawsze.

Gdy skończyłem opowiadanie, skęciliśmy właśnie w High-Street. Głęboką ciszę przerywały jednostajne dźwięki muzyki tanecznej z sąsiedniej sali dancingowej. Przywołałem skinieniem stojącą pod lokalem taksówkę.

— Bunny — przerwał Raffles milczenie. — Nie miałyby to najmniejszego sensu okazywać ci współczucie. Równałyby się to obrazie osobistej. Poczuję się jednak do obowiązku zapewnienia cię, że nie miałem najmniejszego wyobrażenia o tem, iż ona przebywa obecnie w domu ciotki. Przysięgam ci, Bunny!

Byłem przeświadczony o prawdzie jego słów, lecz nie zdołałem głośno przyznać się do tego.

— A zresztą sam wprowadziłeś mnie w błąd, informując mnie, że ostatni list do niej wysłałeś na wieś, gdzie obecnie miała przebywać — ciągnął dalej.

— Ach, ten list, ten list, który pisała do mnie o północy! — odparłem z wzrastającym rozgoryczeniem. Ależ to właśnie owa odpowiedź, której oczekiwałem z tak niecierpliwem utęsknieniem w dniach ostatnich! Jutro byłbym go otrzymał... A teraz nigdy go już nie otrzymam, ani już o niej nie usłyszę — chyba na tamtym świecie! Trudno mi orzec, że ty wyłącznie ponosisz winę w tym wypadku... Prawda, że i ty, podobnie, jak ja sam, nie miałeś pojęcia o jej obecności w tym domu, lecz okłamałeś mnie, opowiadając niestworzone rzeczy o wyprowa-

żeniu się jej krewnych. A tego mój kochany, Ralfie, nie mogę ci przebaczyć!

Mówiłem z żalem, dosyć głośno, nie zważając na to, że mógł nas kto usłyszeć. Auto zatrzymało się przed chodnikiem.

— Trudno mi wypowiedzieć się obecnie w tej sprawie—odrzekł Raffles, wzruszając ramionami.— Skłamałem, czy nie — przyznasz, że nie zmuszałem cię do niczego. Pragnąłem jedynie uzyskać od ciebie kilka informacji, niezbędnych dla mnie w tym wypadku. Użyłem podstępu, to prawda, lecz jedynie w celu zaoszczędzenia ci przykrew świadomości, że popełniasz łotrstwo. A zresztą, traktując rzecz ściśle obiektywnie, nie popełniłem nawet kłamstwa. Każdy odgadłby prawdę, tylko nie ty, mój drogi!

— Więc na czym polegała prawda?

— Ależ powiedziałem ci ją wówczas, i to nie raz, mój Bunny!

— A zatem powtórz mi ją raz jeszcze, ale wyraźnie!

— Gdybyś czytywał w ostatnich dniach dzienniki, byłoby to zbyteczne; lecz jeżeli żądasz tego koniecznie, powiem ci, na czym polegał mój podstęp: otóż w dniu imienin króla obdarzono tytułem lorda kilka znanych osobistości w Anglii, między innymi Hektora Caruthersa, który przyjął tytuł lorda Lochmaben.

Więc on nie uważał za kłamstwo tego nędznego wykrętu! Skrzywiłem się pogardliwie na to łotrstwo — i bez słowa odwróciłem się od niego. Rozżalony i oburzony pojechałem do mojego mieszkania na Mount Street, nie pożegnawszy się nawet z Ralfem. Jak on śmiał zaprzeczyć, jakoby wykręty jego nie były kłamstwem! Przeciwnie, było to obrzydliwie celowe, nikczemne przekręcenie faktów, mające obłudne pozory prawdy, do czego, jak dotych-

czas wierzyłem, Raffles nie był nawet zdolny. Do tej chwili cechował nasze wzajemne stosunki pewien stopień honorowej szczerości, o ile to było możliwe między dwoma włamywaczami, jakimi byliśmy istotnie. A teraz i to się skończyło. Raffles podszedł mnie haniebnie. Zniszczył, złamał mi życie. Skończyłem z nim raz na zawsze, tak, jak ona, której nazwiska nie wolno mi wymieniść, skończyła ze mną.

A jednak — podczas, gdy w myślach oskarżałem go namiętnie i osądzałem jego podstęp ze srogą bezwzględnością, w głębi serca musiałem uznać, że jego zamiar nie odpowiadał w żadnym stosunku przypadkowemu wynikowi postępowania. Nawet mu przez myśl nie przeszło, aby afery ta mogła zadać mi tyle cierpienia; najmniejsze skrzywdzenie mnie nie mogło wpływać u niego ze złej woli. Zdradę tę, o ile postępowanie Ralfa można tak określić, mogłem mu stanowczo wybaczyć, ponieważ stosowanie jego było niewątpliwie szczerze i prawdziwe. Każda jego informacja, odnośnie do członków rodziny nowego lorda Lochmabena, była jasna i przejrzysta, lecz ja, opanowany jedynie myślą o mojej dziewczynie, byłem ślepy i głuchy na jego ostrzeżenia, aby mnie odwieść od zamiaru towarzyszenia mu w owej krytycznej chwili. Jeżeli mam być zupełnie szczery, to po ochłonięciu z pierwszego gniewu, musiałem przyznać w skrytości serca, że Raffles w niczem nie uchybił honorowej otwartości, obowiązującej naszą przyjaźń. Zdaje mi się jednak, że odróżnienie przyczyny od wyniku, zamiaru od następstwa, wymaga nieomyślności sądu, na którą chyba nadezłowiek może się zdobyć, nigdy zaś przeciętny śmiertelnik.

Zarzuć nie czytania dzienników, uczyniony mi przez Ralfa był najzupełniej umotywowany, to też

w ciągu dni następnych starałem się więcej nań nie zasłużyć. Pochłaniałem chciwie każdą wiadomość, dotyczącą włamania do Palace Gardens. Sprawozdania te, były mojem jedynem lekarstwem i pokrzepieniem ducha. Przedewszystkiem dzienniki mówiły wyraźnie o zamiarze rabunku, a nie o fakcie dokonanym. Stwierdzono, że dom mojej ukochanej nie poniósł żadnej szkody. Pozatem — hm — pozatem — ta jedyna osoba, która mogłaby udzielić informacji ze względu na to, że ona tylko zetknęła się wówczas z nami oko w oko, nie umiała dać opisu włamywaczy, a nawet w czasie przesłuchania wątpiła, czy umiałaby stwierdzić identyczność owego mężczyzny w razie konfrontacji...

Trudno mi opisać, jakie uczucia przenikały mnie w chwili, gdy czytałem te wiadomości. A nawet na dnie mojego serca tlił się wątyl promyczek nadziei, że — — ale tylko aż do dnia, w którym otrzymałem od niej zwrot upominków. Były to tylko książki, kupowanie biżuterji było mi surowo zakazane tak przez nią, jako też przez jej rodzinę. Nawet listy zwróciła mi bez słowa komentarza — jedynie na paczce widniał adres, wypisany jej ręką.

Zamiar — początkowo stanowczy i niezłomny — zerwania z Rafflesem, okazał się nie do przeprowadzenia i w skrytości ducha już zaczynałem go żałować. Miłość przeigrałem lekkomyślnie, małżeństwo okazało się stracone, a teraz miałbym położyć zapórę między mną a człowiekiem, którego przyjaźń i osoba mogły mi dać bodaj częściową rekompesatę za wszystko co straciłem? Przytem wstyd mi przyznać, jak nisko wówczas upadłem — sytuacja stawała się coraz bardziej krytyczna ze względu na stan mojej kasy.

Każdy odbiór poczty mógł mi przynieść ultimatum od mojego bankiera. Lecz kłopoty materialne małały

do minimum w zestawieniu z troskami innej natury. Kochałem Ralfa szczerze, bez ubocznych pobudek i serdeczna przyjaźń, a nie ohydny proceder i brudne zyski z tego samego źródła czerpane, łączyły mnie z tym nadzwyczajnym człowiekiem, o wybitnej inteligencji i przemilem, równomiernem, pogodnem usposobieniem. Jego przedsiębiorczość, nieustraszona odwaga, humor, nigdy niezawodząca pomysłowość, mogły istotnie zaimponować. Jedyne wstręt do ustąpienia pod przymusem, wskutek materialnej potrzeby powstrzymały mnie od pogodzenia się z nim. Lecz sam gniew wkrótce ulotnił się, a gdy Ralf objawił pierwszy chęć pojednania się, odwiedzając mnie, przywitałem go okrzykiem radości.

Raffles udawał, jakoby między nami nic nie zaśzło, mimo, że nie spotykaliśmy się przez kilka dni, które mnie wydawały się dłuższe, aniżeli kiedy indziej miesiące. Przez pryzmat mojej miłości własnej widziałem na jego pogodnej zazwyczaj twarzy cień troski i niepokoju. To też odczułem świadomą ulgę, gdy Ralf poruszył wreszcie drażliwy temat włamania do lorda Caruthersa.

— Czy nie słyszałeś o niej nic zgoda od owej nocy, drogi Bunny? — zapytał Ralf.

— Owszem, poniekąd miałem od niej wiadomości. Wolalbym jednak, abyśmy zmienili temat, mój Ralfie, o ile nie masz nic przeciw temu — odparłem.

— A zatem sprawa źle stoi między wami — zawołał z wyrazem zdziwienia, a nawet rozczarowania.

— Między nami wszystko skończone — objaśniłem go spokojnie. — A czy oczekiwałeś czego innego?

— Nie wiem — odparł Ralf. — Spodziewam się jednak, że dziewczyna, która nie wahała się posunąć tak daleko, aby wyciągnąć z matni nieszczęśliwego, zdobędzie się jeszcze na ten wysiłek, aby ocalić go przed dalszem niebezpieczeństwem.

— Nie rozumiem, jak ty sobie to wyobrażasz — odpowiedziałem otwarcie, jednak z łatwo dostrzegalnym podrażnieniem w głosie, które miało również źródło w zawiedzionej nadziei.

— Więc przecież dała znak życia? — powtórzył pytanie Raffles.

— Zwróciła mi moje drobne upominki bez słowa wyjaśnienia — odrzekłem — nie sądzę, aby można to nazwać utrzymaniem kontaktu.

Trudno mi jakoś było przyznać się Ralfowi do tego, że obdarzałem moją ukochaną tylko książkami. Ralf zapytał mnie jeszcze, czy jestem tego pewny, że odesłała mi upominki osobiście. Na potwierdzenie z mojej strony, westchnął w odpowiedzi — po dziś dzień nie wiem, czy było to westchnienie współczucia, czy ulgi.

— A zatem istotnie wygnano cię z raju, kochany Bunny — rzekł Raffles. — Przyznam ci się, że nie byłem tego zupełnie pewny i dlatego zwlekałem z odwiedzinami, nie chcąc stać na przeszkodzie twemu szczęściu. Wiedz o tem, drogi chłopcze, że jeżeli cię tam nie chcą, to w moim domu zawsze się znajdzie kącik dla ciebie, który, oby choć w części, zastąpił ci raj utracony i gdzie zawsze będziesz mile widzianym gościem.

Mimo fascynującego djabolizmu, rozjaśniającego wyrazistym uśmiechem jego twarz, w oczach i rysach jego widniał cień zadumy.

ROZDZIAŁ II.

Skrzynia ze srebrem.

Podobnie, jak cały cech bandycki, którego mistrzem uznałem Ralfa, także i on lekceważył pogardliwie każdą zdobycz wielkich rozmiarów, która

sprawiałaoby wiele ambarasu, bez względu na to, czy chodziło o dzieła sztuki bezcennej wartości, czy też o stare srebro stołowe. Jeżeli Ralf nie mógł zabrać i ukryć go przy sobie, wolał z niego zrezygnować. Czasem jednak zdarzało się, że nad rozważaniem bandyty zwyciężyła namiętność zbieracza. Stare, dębowe skrzynie i mahoniowe kasety, wypełnione po brzegi antycznym srebrem, za które Ralf zapłaciłby niewątpliwie każdą cenę, stały bezużytecznie, lecz Ralf nie mógł zdecydować się, aby dać je przetopić. Zadawał się ich widokiem, jak stary sknera, radujący oczy ukrytymi skarbami. Pewnego popołudnia przyłapałem go na gorącym uczynku wpatrywania się w zebrane z takim niebezpieczeństwem skarby, dzieła sztuki, z którymi trudno mu było się rozstać, choć nie miał odwagi ich używać. Było to w owym pamiętnym roku po zakończeniu mojego terminowania i „wyzwolenia się“ na włamywacza. W owym czasie, pełnym emocjujących przygód, Ralf nie zostawiał ani jednego domu w spokoju, a mnie przypadło w udziale grać drugie skrzypce w tym niebezpiecznym duecie. Pewnego dnia otrzymałem od Ralfa wezwanie telegraficzne, abym się u niego niezwłocznie stawił, zamierza bowiem wyjechać, poprzednio jednak pragnie pożegnać się ze mną. Zastałem go wpatrującego się w niemym zachwycie w nagromadzone skarby, lecz zdziwił mnie fakt, że Ralf pakował pospiesznie jeden przedmiot za drugim do przygotowanej w tym celu antycznej, srebrnej skrzyni.

— Wybacz Bunny, lecz jeżeli nie masz nic przeciw temu, muszę zamknąć za tobą drzwi na klucz i schować go do kieszeni — zapowiedział mi Ralf na samym wstępie. — Nie mam bynajmniej zamiaru więzić cię u mnie, lecz jest to nieodzownym środkiem ostrożności, ponieważ istnieją w naszej branży

specjaliści, którzy potrafią obrócić klucz w zamku od zewnątrz, co mnie osobiście nigdy się jeszcze nie udało.

— Czy może znowu zagraża ci słynny Crawshay? — zapytałem, nie zdejmując kapelusza.

Ralf spojrział na mnie wzrokiem, w którym czaił się uśmiech sfinksa, pozornie niewinny i bez znaczenia, lecz w istocie zagadkowy i głęboki. Jak błyskawica przeszła mi myśl przez głowę, że nasz najniebezpieczniejszy rywal, zawistny mistrz dawnej szkoły naszego cechu, musiał znowu złożyć Rafflesowi swoją wizytę.

— Należy się tego spodziewać — odparł Ralf spokojnie. — W każdym razie człowiek ów nie pokazał mi się na oczy od tego pamiętnego dnia, kiedy na własne oczy widziałem go wyskakującego z tego oto okna, zaś on pozostawił mnie pozornie martwego w tym pokoju. Przez pewien czas wmawiałem w siebie, że wróg siedzi bezpiecznie i spokojnie pod kluczem.

— O, toś zapomniał, z kim masz do czynienia. Stary Crawshay jest to za sprytny i kuty na cztery nogi. Mojem zdaniem należy mu się zupełnie słusznie tytuł króla włamywaczy; jest on nieprześcigniony w swoim zawodzie.

— Rzeczywiście? — zapytał mnie Ralf lodowatym tonem, zatapiając w moich oczach chłodny wzrok człowieka nieugiętego. — Jeżeli istotnie masz o nim takie wyobrażenie, postaraj się umieć trzymać zdala od siebie tego rodzaju monarchów w czasie mojej nieobecności.

— Ależ powiedz nareszcie, gdzie się wybierasz? — zapytałem, wieszając zarzutkę i kapelusz na zdobytym z trudem wieszadle, poczem nalałem sobie wina do drogocennego kielicha w stylu renesansowym, który stanowił perłę zbiorów Ralfa. — Gdzie wy-

jeżdżasz i w jakim celu wleciesz ze sobą to „gniazdo białych kruków“?

Ralf uśmiechnął się z mojego określenia, danego jego zbiorom, następnie poszedł za moim przykładem i zapalił sobie wonnego, ulubionego papierosa. Zaciągnął się z rozkoszą dymem i pokiwał głową z pełnym wyższości politowaniem.

— Zadajesz mi jedno pytanie po drugim, jak nierównoważony dzieciak, drogi Bunny. Przedewszystkiem, zanim udam się w podróż, zamierzam odświeżyć to mieszkanie za pomocą garnka farby, nowej instalacji elektrycznej i aparatu telefonicznego, o który mnie już od roku męczysz — odpowiedział mój przyjaciel.

— To doskonale, będzie tu wówczas tak miło i przytulnie, że będziemy mogli gwarzyć ze sobą całymi dniami — zawołałem z radością.

— Aby nas podsłuchiowano i następnie wsadzono do kozy? Wolę poczekać, aż ciebie unieszkodliwią, sam zaś zwiąć na czas. Lecz z odnowieniem mieszkania nie mogę już zwlekać. Czynię to niekoniecznie z zamiłowania do świeżej farby lub nowego rodzaju kontaktów elektrycznych, lecz z powodów, z których ci się poufnie zwierzę. Nie radzę ci jednak nazbyt się nimi przejmować. W każdym razie nie minę się z prawdą, jeżeli podzielę się z tobą mojem spostrzeżeniem, że zaczynają już szeptać o mnie to i owo. Prawdopodobnie pierwszy wpadł na to ten obrzydliwy, podstępny polikier Mackenzie. Sprawa nie zdołała jeszcze przybrać niebezpiecznego obrotu, ale wystarczy, jeśli to i owo doszło już do mojej świadomości. Pozostawało mi zatem albo umknąć z pola walki, co byłoby potwierdzeniem podejrzeń i przyznaniem się do winy, albo zniknąć na pewien czas z oczu moich prześladowców i równocześnie nastęrczyć im sposobność do dokonania rewizji domowej.

Jak postąpiłbyś na mojem miejscu, drogi Bunny?

— Staralbym się możliwie najprędzej zemknąć, gdzie pieprz rośnie — odparłem z przekonaniem.

— I o tem myślałem, przewidując twoją odpowiedź — odrzekł Ralf. — Musisz jednak przyznać, że plan mój ma lepsze strony, aniżeli twój. Mam zamiar pozostawić moje mieszkanie prawie zupełnie otwarte.

— Ale chyba nie z tym razem? — zapytałem, wskazując srebrną skrzynię i jej drogocenną zawartość, srebrne i złote puhary, konwie, misy i lichtarze.

— Tego ani nie zabiorę ze sobą, ani też nie pozostawię w mieszkaniu — odpowiedział zagadkowo Ralf.

— Cóż zamierzasz zatem uczynić z twojemi skarżkami?

— Wszak posiadasz własne konto w banku — objaśnił mnie Ralf.

Było to istotnie prawdą, lecz główną zasługę, że się tak miało, przypisać należy właśnie Ralfowi, z którym współpraca pozwalała mi uśmierzać, w razie potrzeby, zniecierpliwienie mojego bankiera.

— Więc cóż z tego.

— Prostu wpłacisz do banku tę oto paczkę banknotów — zaszeleścił nowemi pieniędzmi — i dodasz mimobchodem, że miałeś doskonały tydzień w Liwerpolu, który pozwolił ci uzyskać większą gotówkę. Równocześnie zapytasz, czy możesz liczyć na przechowanie twojego srebra rodzinnego w banku na czas twego pobytu w Paryżu, gdzie zamierzasz spędzić wesoło święta Wielkanocne. Radziłbym również zwrócić mu uwagę na to, że skrzynia jest porządnie ciężka i zawiera mnóstwo przedmiotów srebrnych z czasów prababki Ewy, które miałbyś ochotę przechowywać w banku tak długo, dopóki się nie ożenisz.

Ostatnie słowa Ralfa uderzyły wprawdzie w bardzo bolesną strunę i wywołały we mnie gwałtowny odruch gorzkich wspomnień, lecz po krótkim namyśle zgodziłem się na propozycję przyjaciela. W takim tłumaczeniu nie było ostatecznie niczego nieprawdopodobnego. Ralf nie posiadał konta w banku tylko dlatego, ponieważ dla niego było absolutnem niepodobieństwem wytłumaczyć się z nagłego przybytku kapitałów, co się często u niego zdarzało. Nic zatem dziwnego, że chciał skorzystać z mojego skromnego konta, prawie zupełnie pustego wobec rozmaitych trosk finansowych, które trapiły mnie od dłuższego czasu. Nie mogłem, ani też nie chciałem odmówić jego prośbie i dzisiaj jeszcze czuję żywe zadowolenie, że się tak stało.

— Na kiedy zamierzasz przygotować skrzynię, aby można było przetransportować ją do banku? — zapytałem, chowając otrzymaną gotówkę. — I powiedz mi, jak zabierzemy się do tego, aby przewieść skrzynię do banku bez zbytecznego zwrócenia ogólnej uwagi?

Ralf skinął mi głową z uznaniem.

— Cieszę się z twych postępów, Bunny. Udało ci się tym razem wpaść na to, na czem polega właśnie twarde orzech do zgryzienia. Z początku planowałem przewiezienie skrzyni do twojego mieszkania w nocy. Odrzuciłem jednak ten projekt z dwóch powodów. Przedewszystkiem nawet w nocy trudno uniknąć spotkania z ludźmi, pozatem transport w nocy budzi podejrzenia daleko łatwiej, aniżeli we dnie, gdy odbywa się zupełnie jawnie. Za niecałych pięć minut dostaniesz się taksówką z twojego mieszkania do banku; jeżeli zatem wstąpisz do mnie jutro rano o godzinie, przypuścimy — hm — trzy kwadranse na dziesiątą, musi się wszystko doskonale powieść. Lecz

przedewszystkiem weź teraz dorożkę i jedź do banku, abyś mógł oddać te banknoty.

Krótkim skinieniem głowy pożegnał mnie, dając wedle swego zwyczaju znak, że temat uważa za wyzerpany, a rozmowę za skończoną. Lecz ja, jak na złość, miałem gwałtowną ochotę zapalić jeszcze jednego papierosa, równocześnie zaś wyjaśnić kilka ciemnych punktów, które mnie w tem wszystkim uderzyły. Tak na przykład chciałem wiedzieć, dokąd to Ralf zamierza wyjechać. Odpowiedź na to pytanie była wszystkim, co zdołałem od niego wyciągnąć.

— Do Szkocji — odparł nareszcie, podczas, gdy ja żegnałem się z nim powoli, zapinając rękawiczki.

— Na Wielkanoc do Szkocji? — zapytałem zdziwiony.

— Chcę poznać język miejscowy — odpowiedział wymijająco. — Jak wiesz, nie władam żadnym obcym językiem, poprzestając na rodzinnym angielskim, lecz ignorancję moją staram się pokryć znajomością djalektów, które dla mojego zawodu mają większą wartość. Niektóre mi się już istotnie przydały, jak ci to wiadomo z naszych przeżyć. Przypominasz sobie zapewne ową rozmowę, prowadzoną w londyńskiej gwarze Cockney, która uratowała mnie od bardzo przykrych następstw. Opanowałem zupełnie poprawnie język irlandzki, z hrabstwa Norfolk, z Dewonshire, prawdziwy Yorkshire i trzy djalekty, lecz mój szkocki Galloway mógłby być nieco poprawniejszy, a temu pragnę właśnie zaradzić.

— To wszystko bardzo pięknie, lecz ciągle jeszcze nie wiem dokąd mam wysłać listy.

— Sam jeszcze nie wiem, na wszelki wypadek ja pierwszy ci napiszę, mój Bunny.

— Pozwól zatem, że odprowadzę cię na dworzec kolejowy — prosiłem Ralfa, jak sztubak. — Przyrzec-

kam ci, że ani nie spojrzę na bilet kolejowy, tylko powiedz mi, o jakiej porze i którym pociągiem wyjeżdżasz.

— Ależ z miłą chęcią! Wyjeżdżam o godzinie 11.50, z dworca w Custon.

— Zatem o wpół do dziesiątej będę u ciebie — zapowiedziałem.

Na tem poprzestałem i pożegnałem go spieszenie, ponieważ widziałem dobrze, jak się niecierpliwił. Zresztą orjentowałem się już w sytuacji, bez bliższych komentarzy, czego Raffles nienawidził z głębi duszy, a co mnie wydawało się niezbędne w prawdziwej przyjaźni. Miałem do niego żal podświadomy za to, że nie zaproponował mi wspólnej kolacji bezpośrednio przed jego wyjazdem na czas dłuższy. W czasie jazdy przeliczyłem banknoty, które Ralf oddał do mojej dyspozycji z poleceniem oddania większej kwoty pieniędzy do banku. Czułem się jak gdyby upokorzony lub przekupiony, skoro po przeliczeniu przekonałem się, że Ralf chciał widocznie uśmierzyć moje niezadowolenie. Dał mi bowiem taką sumę pieniędzy, abym w czasie jego nieobecności nie odczuł żadnych braków. W banku powtórzyłem skrupulatnie bajeczkę, wymyśloną przez Rafflesa i przygotowałem teren dla umieszczenia skrzyni ze srebrem w ogniotrwałych skrytkach bankowych. Następnie udałem się do naszego klubu, ożywiony nadzieją, że może Ralf pytał się tam o mnie i moglibyśmy razem zjeść kolację. Niestety, zawiodłem się srogo, lecz rozczarowanie to było niczem w porównaniu z bolesnym zawodem, który oczekiwał mnie w hotelu Albany, gdzie stawiłem się nazajutrz rano, jak było umówiona między nami.

— Mr. Raffles wyjechał — zawiadomił mnie portier z pewnego rodzaju utajonym wyrzutem w głosie. Człowiek ten był ulubieńcem Ralfa, którego ten z

właściwą sobie bezwzględnością wyzyskiwał, lecz i równie hojnie nagradzał. Nasz stosunek do tego poczciwca był umiarkowanie i taktownie poufały.

— Niema go! — zawołałem zdumiony. — Ależ dokąd mógł się udać?

— Do Szkocji.

— Teraz?

— Nie, wczoraj w nocy, pięć minut przed dwunastą.

— Wczoraj w nocy! A ja sądziłem, że mr. Raffles ma na myśli pociąg, odchodzący 11.50 przed południem!

— Widocznie mr. Raffles domyślił się tego, widząc, że pana niema, ponieważ kazał mi powiedzieć panu, że wieczorny pociąg o tej porze wogóle nie istnieje.

Byłem wściekły na swoją głupotę i na twardą bezwzględność Ralfa. Gdyby nie jego brutalne zachowanie się wczorajsze i wyraźna chęć pozbycia się mnie, a także moja bezmyślność, byłoby nie doszło do tego wszystkiego. Z kwaśną miną zapytałem gospodarza:

— Ma mi pan może jeszcze coś do powiedzenia?

— Owszem, co się tyczy skrzyni. Mr. Raffles polecił mi powiedzieć panu, aby pan był łaskaw przełożyć skrzynię w czasie jego nieobecności u siebie. Zamówiłem już nawet tragarza, który pomoże naszemu człowiekowi przenieść skrzynię na dorózkę. Jest wprawdzie djabło ciężka, jak miałem sposobność się przekonać, lecz myślę, że dadzą sobie we dwóch radę, skoro ja z panem Rafflesem unieśliśmy ją bez większych trudności.

Przyznam się, że mnie niepokoił nietylko ciężar tego przekłętego pudła, ile raczej jego ogrom. Jadąc przez ulice Londynu kryłem się, jak się tylko dało, w głębi pojazdu, lecz i tak trudno byłoby mi wy-

przeć się łączności ze skrzynią, widoczną dla każdego. W mojej przedenerwowanej wyobraźni wymagoinowałem sobie, że potworna trumna ma ściany ze szkła, a każdy przechodzeń widzi jej zawartość. Zdarzyło się, że służbisty policjant zatrzymał w chwili naszego zbliżenia się ruch uliczny z powodu natłoku pojazdów, a ja w mojej manji prześladowczej byłem święcie przekonany, że akcja jego dotyczy wyłącznie mnie. Mali chłopcy krzyczeli swawolnie na nasz widok, zwyczajem uliczników; przysiągłbym na to, ocierając kroplisty pot z czoła, że wołają: „Łapać złodzieja!“ Ale skończmy już z opisem tej najnieprzyjemniejszej przejażdżki, jaka kiedykolwiek przypadła mi w udziale. Horresco referens.

W banku udało się wszystko doskonale, dzięki przewidującemu sprytowi Ralfa i jego hojności. Wynagrodziłem po królewsku szofera, nie skapiłem napiwku także służącemu w liberji, stojącemu przed bankiem do dyspozycji klientów, omal że nie obsypałem złotem wesołego urzędniczynę, który dodawał mi odwagi, opowiadając o zwycięstwach drużyny hockejoyej w Liwerpoolu. Gdy natomiast zapewnił mnie, że banki nie dają pokwitowania odbioru depozytów, mina moja zrzędała, że wyglądało, jakoby zawartość skrzyni stanowiła cały mój majątek, który obecnie postawiłem na jedną kartę.

Właściwie mógłbym resztę dni w czasie nieobecności Ralfa przeżyć wygodnie i wesoło, zwłaszcza, że pozbyłem się moralnie i fizycznie gniotącego ciężaru skrzyni, gdyby nie dziwny list, który otrzymałem pewnego wieczoru i to — od Ralfa. Przyjaciel mój należał do tego typu ludzi, którzy często depešują, lecz nie znoszą pisania listów. Od czasu jednak, o ile zaszło coś ważnego zwykł Ralf porozumiewać się ze mną listownie, posyłając zaledwie kilka słów przez człowieka zaufanego, Lecz ten list, pi-

ZWIĄZEK ZAW. PRAC. PRZEMYSŁ.
POLIGRAFICZNEGO
w POLSCE
Główny w BOCHNI
Oleg KARÓW

sany widocznie w pociągu, wrzucił Ralf zapewne dopiero o świcie w Crewe. Ze zgrozą przeczytałem słowa następujące: „Strzeż się króla artystów zawodowych! Gdy wyjeżdżałem, krążył po morzu. Jeżeli w banku okażą się najmniejsze trudności, natychmiast masz się wycofać i pozostać w mieszkaniu“.

P. S. Mam jeszcze inne powody, aby nakazać ci ostrożność, jak się o tem wkrótce przekonasz“.

A. R. R.

Był to niezły środek nasenny dla tak rozpalonej głowy, jak moja. Zasobność w środki finansowe i pozbycie się trosk chwilowych mogłoby mi zapewnić wcale miły wieczór, lecz tajemnicze to ostrzeżenie zepsuło mi humor z kretesem. Żałowałem, że nie zostawiłem listu przez noc w skrzynce.

Cóż miało oznaczać zagadkowe poselstwo? I jak miałem złemu zaradzić? Oto pytania, które rzuciły się na mój mózg z zajądłością wygłodzonych sępów i nie opuściły mnie nawet rano. Wiadomość o pojawieniu się Crawshaya nie zaskoczyła mnie wcale, ponieważ byłem święcie przekonany, że łotr ten daje się Ralfowi we znaki, chociażby nawet nie bezpośrednio. Człowiek ten i podróż Ralfa stały może w ściślejszym związku, aniżeli mi się to początkowo zdawało. Niestety, Ralf nigdy nie wtajemniczał mnie w swe zamysły. Tak czy inaczej trudno zaprzeczyć, czy skarby znajdowały się w przechowaniu zupełnie bezpiecznym. Nawet zachłanność Crawshaya nie mogła tu nic poradzić. Byłem przekonany, że nie śledził mnie w czasie transportu, gdyż przeczulone moje nerwy byłyby odczuły instyktownie jego obecność, a przerażenie przeniknęłoby mnie niewątpliwie do szpiku kości. Na sekundę olśniła mnie myśl, czy przypadkiem jeden z tragarzy, pomocnych przy wyładowywaniu skrzyni na dorożkę nie był identycz-

ny z Crawshayem, lecz wkrótce odrzuciłem ten domysł; były to typy wręcz przeciwne.

Aby ktokolwiek mógł dobrać się do tej przeklętej skrzyni i w jakiś zagadkowy sposób wywieść ją z banku, było niemożliwością, a jednak i nad tą ewentualnością zastanawiałem się godzinami. Zawsze starałem się spełniać jak najsumienniejsze poruczone mi przez Ralfa obowiązki, podobnie jak on nigdy nie uchylał się przed obowiązkami wobec mnie i od początku naszej przyjaźni poczuwał się do ich spełniania. Zbyteczną byłoby rzeczą tłumaczyć, dlaczego nie miałem ochoty osobiście pilnować tej obrzydliwej skrzyni, a jednak w obecnym moim nastroju już i na to byłbym przystał. Wszak Ralf narażał się dla mnie na większe niebezpieczeństwa, więc łatwo zrozumieć, że z ochotą pragnąłem mu pokazać, iż może na mnie liczyć w każdej okoliczności.

W mojej duchowej rozterce sięgnąłem po środek, który dotychczas okazywał się niezawodny, ilekroć wyczerpywała się moja pomysłowość i energja. Po skromnym posiłku udałem się do łaźni parowej. Mojemu zdaniem niema innego sposobu, któryby tak znakomicie przyczyniał się do oczyszczenia ducha i ciała, tak skutecznie zaostrzał zdolność myślenia i wyrokowania. Nawet Ralf, który nigdy nie był zmuszony sięgać po sztuczne środki uspakajające, utrzymywał, że jeżeli już wszystko zawiedzie, to kąpiel parowa daje oprócz zadowolenia fizycznego, także poniekąd dziwnie błogi spokój moralny.

Na mnie zaczynał działać czar parówki już w chwili przestąpienia progów kabiny, natychmiast po odłożeniu garderoby. Ciche, przytłumione kroki kąpiących się, szum łagodny wodotrysków, zarumienione postacie, cała ta czysta, ciepła atmosfera działała jak balsam na zbolełe nerwy. A właśnie w chwili największego zadowolenia, w najgorętszej kabinie

trafił mnie dotkliwy pocisk, tem dotkliwszy, że nieprzewidziany z gazety „Pall Mall“, którą sobie kupiłem, zanim tutaj przyszedłem. Właśnie rozkoszowałem się równikową temperaturą kabiny i rozleniwiałem się duchowo i fizycznie, gdy wtem uwagę moją zwrócił wydrukowany olbrzymiemi literami tytuł na trzy szpalty, który uderzył we mnie niby moralnym obuchem i na dłuższą chwilę pozbawił przytomności umysłu.

**Sensacyjne okradzenie banku w Westend.
Niebawale zuchwałe i zagadkowe w dziejach
kryminalistyki przestępstwo.**

„W banku Subur na Sloane Street, dokonano niesłychanie rafinowanego włamania, przyczem złoczyńcom udało się obrabować piwnicę bankową. Wedle dotychczas zebranych szczegółów dokonano rabunku wczesnym rankiem. Strażnik nocny Fawcett zeznaje, że wkrótce po północy posłyszał w pobliżu magazynów bankowych szelest. Prawe skrzydło piwnicy służy do przechowywania depozytów klienteli bankowej, jak biżuterji, srebra itp. Zanim Fawcett zdołał zaalarmować innych strażników, został nagle powalony o ziemię i zakneblowany. Trudno w tych warunkach podać bliższe informacje o bandycie, lecz Fawcett jest tego zdania, że włamania dokonało stanowczo kilka osób. Gdy biedak odzyskał wreszcie przytomność, okazało się, że złoczyńcy nie pozostawili żadnych śladów, prócz palącej się świecy. Drzwi do piwnicy zostały wylamane i zachodzi obawa, że łupem bandytów padły przechowywane na czas świąt wielkanocnych skrzynie ze srebrem. Widocznie rabusie byli doskonale poinformowani o wycieczkach świątecznych klientów

bankowych. Chodziło im widocznie szczególnie o prawe skrzydło piwnicy, w którym leżało w przechowaniu srebro, ponieważ nie przestąpili nawet innych ubikacji. Prawdopodobnie dostali się do środka przez piwnicę z węglem. Aż do chwili, w której to piszemy, nie udało się policji wytropić sprawców“.

Przysięgam, że mimo bardzo wysokiej temperatury w parówce, siedziałem obłany zimnym potem, zdrętwiały z przerażenia. Naturalnie była to niewątpliwie sprawka Crawshaya! I znowu zjawia się na naszym horyzoncie ten najzawziętszy wróg i współzawodnik Rafflesa, dybiący na jego skarby, zebrane na śliskiej drodze. W skrytości serca czyniłem Ralfowi ostre wyrzuty: zawiadomił mnie o niebezpieczeństwie zbyt późno! powinien był zatelegrafować mi natychmiast, abym nie oddawał skrzyni do banku, skoro wiedział, co nam grozi! Ralf okazał się tym razem głupcem, wybierając na srebro schowek tak wpadający w oczy. Dobrzeby mu się stało, gdyby właśnie ta skrzynia stała się łupem złoczyńców.

Gdy jednak uprzytomniłem sobie, co się w tej skrzyni znajdowało, przerażenie opanowało mnie na nowo. Wszak był to zbiór dowodów przeciw mojemu przyjacielowi, istna kopalnia dla detektywa!

Przypuśćmy, że to właśnie jego skrzynię rozbito i wyrabowano aż do ostatniego przedmiotu, to przecież każdy z tych ukochanych zabytków Ralfa wystarczał, aby w danej chwili zamienić się na najstraszliwszy akt oskarżenia i wtrącić go do więzienia! A Crawshay nie znał solidarności zawodowej i zdolny był do popełnienia najohydniejszej zemsty bez żadnych skrupułów, bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Dla mnie istniała teraz jedna tylko możliwość;

trzymać się ściśle instrukcji, zawartych w liście i ukryć gdziekolwiek, choćby dla mnie samego miało wypływać stąd niebezpieczeństwo. Dlaczego Ralf nie pozostawił mi bodaj swego adresu, abym mógł w jakikolwiek sposób ostrzedz go o grozie sytuacji. Takie myśli jednak nie wpływały na zmianę położenia i były tylko daremną stratą czasu. Postanowiłem uspokoić się całą siłą woli, na jaką mnie stać było i przede wszystkim poddać się ożywczemu działaniu kąpieli. A może jest to ostatnia moja kąpiel parowa na lata całe?

Byłem jednak nazbyt zdenerwowany, abym mógł i umiał wykorzystać przyjemność kąpieli, nie miałem nawet cierpliwości poddać się natryskowi — na co zazwyczaj cieszyłem się jako na najprzyjemniejszy punkt programu parówki, ani też nie zamierzałem poddać się masowaniu. Machinalnie stanąłem na wadze, której wynik zwykle leżał mi bardzo na sercu, lecz poruszałem się jak automat i zapomniałem dać posługującemu napiwek. Dopiero pełne wyrzutu spojrzenie tego człowieka oprzytomniło mnie poniekąd. Zrezygnowałem naturalnie z wypoczynku, gdyż byłem pewny, że moje ulubione miejsce zamieni się dzisiaj w Madejowe łożo mąk i udreki.

Ubierając się, słyszałem z sąsiedniej kabiny głosy, omawiające włamanie się do banku. Z zapartym oddechem nasłuchiwałem, czy nie usłyszę czegoś nowego, a nawet za każdym razem, gdy wyczekiwania mnie zawiodły, czułem poniekąd rozczarowanie.

Była to godzina tak obrzydliwa i przykra, że wspomnienie jej dręczy mnie jak sen koszmarne. Żywo i dotkliwie odczuwałem wrażenie, że ściga mnie policja, albo też zdawało mi się, że leżę już w celi więziennej na twardym tapczanie. Gdy wreszcie znalazłem się na ulicy Sloane Street, wiado-

mość o włamaniu się do podziemi bankowych wiadniała zdaleka, wydrukowana olbrzymiemi literami na wszystkich słupach reklamowych, a nawet nadzwyczajne wydanie jednego z dzienników miejscowych ogłosiło, że natrafiono już na ślad włamywaczy. Wówczas zdecydowałem się dzielić z moim przyjaciелеm los, na który w pełni zasłużyliśmy. Już zdaleka był widoczny natłok do kas banku City i Subur, a gdy przed bramą budynku stanęła moja taksówka, równocześnie wyjeżdżała jakaś widocznie zdenerwowana dama ze skrzynią pokaźnych rozmiarów. Dowcipny urzędnik, który onegdaj umiłał mi czas opowiadaniem wesołych facecyjek, przywitał mnie ponurem, jowiszowem zmarszczeniem brwi:

— Od rana czekam na pana — ofuknął mnie. — Nie ma pan powodu blednąć ze strachu, istotnie udało się panu.

— Jakto, czyżby nikt nie dobrał się do mojej skrzyni — zapytałem zdumiony.

— Pańska arka Noego ocalała, o ile mi wiadomo. Bandyci właśnie zamierzali dobrać się do niej, gdy im przeszkodzono i spłoszono, tak gruntownie, że widocznie mieli dosyć wrażeń i nie wrócili więcej.

— Jakto, więc nie otworzyli jej nawet?

— Słyszysz pan przecież, że zostali spłoszeni.

— Bogu dzięki!

— Powiedz pan to w swoim imieniu, nie w naszym.

— Co to ma znaczyć? — zapytałem zniecierpliwiony.

— To ma znaczyć — wrzasnął mój informator — że dyrektor jest tego zdania, iż panu tylko mamy cały ten kram do zawdzięczenia.

— Cóż to za pomysł? — zapytałem zaniepokojony.

— Ano tak, bo widocznie śledził ktoś pana, jadącego z takim olbrzymim kufrem przez ulice w jasny,

biały dzień. Wiedząc, że pan u nas przechowuje te skarby, włamał się ten ktoś do naszych piwnic specjalnie celem porwania pańskiej skrzyni — odparł urzędnik.

— Może dyrektor chciałby ze mną pomówić celeni zasięgnięcia informacji? — zapytałem odważnie nadrabiając miną.

— Nie razie nie objawił takiego życzenia, o ile mnie pamięć nie myli. Zresztą od samego rana zawracając mu głowę klienci, którym nie udało się wyjść cało z tej opresji, tak jak panu — odpowiedział gburowato bankowiec.

— W takim razie nie mam bynajmniej zamiaru zakłócać spokoju szanownej instytucji mojem srebrem, które narobiło wam już tyle ambarasu — odpowiedziałem z majestatyczną nonszalancją. — Wprawdzie początkowo chciałem pozostawić je dalej u was, naturalnie gdyby nic nie zaszło, lecz po tych grzecznych oświadczeniach, które od pana usłyszałem, ani myślę tak postąpić. Proszę natychmiast wydać służbie polecenie, aby przyniosła skrzynię na górę. Im prędzej to uczynią, tem lepiej wynagrodzę ich za to.

Tym razem jechałem bez najmniejszego niepokoju mimo, że byłem, jak w ów dzień fatalny obładowany ogromną skrzynią. Po pierwsze nie ja tylko wyjeżdżałem ze skrzynią tego rodzaju z banku, gdyż kto tylko mógł, ratował z nieszczęsnego budynku swe skarby, powtóre tak bardzo cieszyłem się z tego, iż sprawy przybrały dla mnie tak korzystny obrót, że w tej chwili nie umiałem się ani martwić, ani niepokoić. Zdawało mi się, że nigdy jeszcze słońce nie świeciło tak jasno, tak pogodnie i wesoło, jak w owym dniu, który przypadkowo był ponury i mglisty. Jakiś złoty pył wiosny unosił się z pączków drzew i krzewów, gdy przejeżdżałem koło Hyde-

Parku. Rozradowane twarze młodzieży szkolnej, jadącej na ferje świąteczne do domu, dziwnie harmonizowały z mojem pogodnem usposobieniem i z wiosennym nastrojem. Żadne z tych dzieci nie czuło się zapewne tak szczęśliwe, jak ja, obarczony wprawdzie niezwykle ciężarem na wozie, lecz z radosną ulgą na sercu. Na Mount Street okazało się, że skrzynia doskonale zmieści się we windzie, co mnie nad wyraz ucieszyło, nie musiałem bowiem zwracać moim transportem niczyjej uwagi. Portjer, pełniący służbę przy windzie, pomógł mi wnieść skrzynię do mojego pokoju. Wydawała mi się teraz lekka jak piórko. Poczulem w swoich mięśniach siły Samsona i szalona radość opanowała mnie, gdy znalazłem się wreszcie z moją arką Noego w pokoju. Z rozkoszą raczyłem się syfonem wody sodowej, gdy wtem...

-- Bunny!

'Ależ to głos Ralfa! To on przemówił — lecz daremnie rozglądałem się po pokoju, nigdzie go nie było. Zaczynałem przypuszczać, że to duch jego odezwał się z zaświatów, lecz trudno mi było w to uwierzyć, aby duch przemawiał głosem tak swawolnym, ani trochę grobowym, pełnym jakiegoś urwiszowskiego zadowolenia. Przypadkiem wzrok mój zabłądził w ten kąt, gdzie stała skrzynia — i nagle odkryłem w jej głębi twarz Ralfa, otoczonego aureolą srebrnego talerza, na którym spoczywała jego głowa.

To był Ralf we własnej osobie, Ralf żywy i zdrowy, śmiejący się tak serdecznie i radośnie, że omal nie popękały mu struny głosowe. Na twarzy jego nie było ani tragedji, ani zmieszania, jak lalka wystawił głowę z pudełka przez otwór w drugim wieżchu, który na poczekaniu sam wykroił. Gdy zastałem go wówczas pozornie zajętego pakowaniem przed mniemaną ucieczką na święta, widocznie molił się nad przygotowaniem tej całej awantury,

a kto wie, czy nie pracował nad tem pracowitem dziełem do późna w nocy. Podczas gdy gapilem się na niego, oniemiały z wrażenia, on najbezzwłoczniej śmiał mi się w żywe oczy. Po chwili udało mu się oswobodzić z oków rękę, w której trzymał pęk kluczy; jednym z nich otworzył zamknięcie, wieko odskoczyło — i oto stał przedemną Ralf w całej swojej okazałości, Ralf czarodziej.

— Więc to ty byłeś owym włamywaczem? — zdołałem wreszcie zawołać, ocuciwszy się niejako z wrażenia. — Tak prawdą a Bogiem jestem zadowolony, że nie wiedziałem o tem wcześniej.

Serdecznie uściskał mi dłoń, słysząc jednak moje ostatnie słowa, omal, że nie zmiażdżył mi ręki w uścisku.

— Bunny, jesteś chłop z wiary! — zawołał radośnie. — Jakżebyś mógł w przeciwnym razie zachowywać się tak bez zarzutu, jak się zachowałeś? I wogóle, który człowiek na świecie zdołałby w tych warunkach opanować sytuację? Nigdy w życiu nie potrafiłbyś tak wspaniale wywiązać się z roli, jaką ci poruczyłem. Przewyższyłeś wszystkie gwiazdy sceniczne, co nie udałoby ci się, gdybyś znał prawdę. Zważ mój kochany, że w mojem życiu widziałem i przeżyłem niejedną mistyfikację i aferę tego rodzaju; nigdy jednak nie zdarzyło mi się obserwować kapitalniejszej sceny, jak w Albany, tutaj w pokoju, lub w banku.

— No, w każdym razie nie wiem, kiedy byłem najbardziej pożałowania godny — odparłem, widząc zwolna sytuację w coraz mniej tragicznem świetle. — Wprawdzie nie kryjesz się z tem, że o moim sprycie masz nie bardzo wygórowane mniemanie, lecz zaręczam ci, iż nie gorzej wywiązałem się z poruczonego mi zadania, gdybym był wtajemniczony w sytuację. A nawet sprawa zyskałaby o tyle, że za-

chowałbym spokój nerwów i zimną krew, co jak wiadomo, nie posiada dla ciebie najmniejszego znaczenia, o ile o mnie idzie.

Mówiłem to z rozgoryczeniem, lecz Ralf starał się udobruchać mnie jednym z najmiłszych i najbardziej rozbajających swoich uśmiechów. Ubrany był w stare, podarte łachmany, sam był brudny i zaniedbany, lecz na ogół nie bardzo ucierpiał pod wpływem przejść ostatnich. Twarz jego opromieniał pogodny, zadowolony uśmiech, który czynił go nieodparcie sympatycznym.

— Ma się rozumieć, że spisałbyś się dzielnie, kochany Bunny, gdyż każdy, kto cię zna, wie o tem doskonale, że odwaga twoja nie ma granic, lecz zapominasz o tem, iż nawet bohaterom zdarzają się czasem chwile moralnej słabości i zaniku odwagi. O tem jednak nie wolno było mnie zapomnieć Bunny. Nie wolno mi było dokonać ani jednego fałszywego pociągnięcia. Nie przypuszczaj, jakobym ci nie ufał. Zwierzyłem ci przecież moje życie, a to powinno ci chyba wystarczyć. Jak myślisz, co stałoby się ze mną, gdybyś był stracił rezon i pozostawiłbyś mnie w piwnicy? Czy może sądzisz, że byłbym sam się wydostał z matni i wylazł z tej paki? Ale wiesz ty co, wyjątkowo nie zaszkodzi pokrzepić się dobrem winem, mimo, że jest to wbrew moim zasadom. Urok pewnych zasad i przepisów leży często w ich omijaniu i przekraczaniu.

Przygotowałem dla niego wino z wodą sodową i ulubionego Sulliwana. Ralf wyciągnął się z widocznym zadowoleniem na otomanie. Wyprostował znużone członki, rozkoszując się dymem papierosa i orzeźwiającem winem, stojącym na skrzyni, płacówce jego tryumfu, a mojego niepokoju i cierpień.

— Kiedy po raz pierwszy wyłonił się przedemną ten cały plan, to do rzeczy nie należy, lecz nie myśl,

drogi Bunny, że akcja przezemnie obmyślona polegała wyłącznie na komedji i łudzeniu ciebie. Istotnie postanowiłem usunąć się na pewien czas dla przyczyn, które ci wymieniłem, lecz postanowienie to dojrzało we mnie dopiero onegdaj. Być może, że przesadziłem nieco ich grozę i to celowo, lecz istniały niewątpliwie. Zaś wprowadzenie instalacji telefonicznej i nowej instalacji elektrycznej miałem rzeczywiedzie od dawna w planie.

— A gdzie u licha ukryłeś srebro?

— Właściwie nigdzie; stanowiło ono mój bagaż podróży, składający się z wielkiego kufra, walizki ręcznej i walizki z przyborami do krokietu. Zostawiłem wszystkie te przedmioty na dworcu kolejowym za recepisem. Dzisiaj jeszcze musi jeden z nas je odebrać.

— Mogę się tego podjąć — powiedziałem. — Ale wytłumacz mi jeszcze jedną kwestję: czyżbyś ty, istotnie pojechał aż do Crewe?

— Czy nie otrzymałeś mego listu? Wyjechałem do Crewe specjalnie w tym celu, aby móc ci stamtąd wysłać tych kilka słów, któreby mogły zmylić twoją czujność i w ten sposób nie wyprowadzić cię z równowagi. Jak wiesz, nie uznaję pracy połowicznej. Widzę obecnie, że ostrożność była w tym wypadku zupełnie uzasadniona, a pomysł mój przyczynił się do tego, że zachowałeś się tak dzielnie i mądrze, drogi Bunny. Ponadto okoliczności złożyły się dla mnie tak pomyślnie, że już za cztery minuty wracał pociąg z Crewe do Londynu. Wrzuciłem zatem list do ciebie na stacji w Crewe i natychmiast wróciłem.

— W Londynie byłeś o drugiej nad ranem?

— Koło trzeciej. Wślizgnąłem się wraz z roznosicielem „Daily Mail“ około 7-ej rano do bramy banku, tuż za mleczarzem. W każdym razie pozostawały mi aż do twego przyjścia, które zapowiedziałeś, dwie

godziny czasu — roześmiał się na wspomnienie tego kawału.

— Proszę cię, nie przypominaj lepiej, jak głupio dałem się nabrać! — zawołałem mimo woli.

— Sam na siebie przygotowałeś pułapkę — roześmiał się weselo Ralf. — Gdybyś nareszcie okazał trochę więcej zastanowienia i sprytu i zaglądnął do rozkładu jazdy, przekonałbyś się, że taki pociąg, jaki ty sam wymieniłeś, wogóle nie istnieje i przyznać musisz, że ja osobiście wcale nie obstawałem przy takim twierdzeniu. Nie przeczę jednakże, że chciałem wprowadzić cię w błąd, co mi się rzeczywiście udało. Wszystwo to uczyniłem celem zachowania pozorów. Niewątpliwie podróż w skrzyni, odbyta z takim, godnym pochwały, pośpiechem z banku do twego mieszkania, nieco mnie zmordowała i nie należała do przyjemności, lecz na szczęście trwała krótko. W piwnicy byłem zaopatrzony w świecę, zapalki, doskonałą lekturę, czekoladę, nie mogę powiedzieć, aby powodziło mi się najgorzej, wyjąwszy pewnego niemiłego incydentu.

— Opowiedz prędko Ralfie, co to było?

— Zaraz, tylko daj mi jeszcze jednego Sulliwana. Dziękuję. Poproszę jeszcze o zapalkę. Incydent ten polegał na usłyszeniu jakichś kroków w chwili najmniej spodziewanej i zatknięciu klucza do zamku przez jakiegoś nieznanego osobnika. Właśnie rozsiadłem się na czatach bardzo wygodnie na wieku skrzyni, gdy wtem ciszę przerwał szelest. Zaledwie miałem czas zgasić światło i ukryć się za skrzynią. Na szczęście był to dozorca, który przyniósł jeszcze jedną skrzynkę ze skarbami, a właściwie, wyrażając się ściśle, z biżuterją, którą jakiś klient zamierzał zdeponować w banku na czas swojej nieobecności w Londynie. Zaraz ją zresztą zobaczysz. Ani się spodziewałem, że moja wycieczka świąteczna przyniesie takie rezultaty.

Ostatnie jego słowa przypomniały mi „Pall Mall Gazette“, która leżała w mojej kieszeni od chwili opuszczenia parówki. Wyciągnąłem więc wilgotną gazetę i wskazałem Ralfowi odnośne miejsce.

— Cudownie! Podziwiam ich przenikliwość! Kilku bandytów, którzy dostali się do skarbcza jedynie przez piwnicę węglową! Jak widzę, mój podstęp udał się znakomicie. Trzeba ci wiedzieć, że umyślnie pozostawiłem liczne ślady świecy stearynowej w okolicy składu węgla, aby naprowadzić ich na taką myśl. Piwnica węglowa wychodziła jednak na zamknięte podwórko, a okienko jest tak wąskie, że nie zdołałby się przez nie przecisnąć nawet ośmioletni chłopczyk, lecz lepiej dla mnie, aby panowie detektywi pozostawali dalej w tem mniemaniu.

— Jak przedstawia się sprawa z tym człowiekiem, którego obaliłeś pono na ziemię? — zapytałem zaintrygowany. — Nie wygląda to na ciebie, mój Ralfie.

Przyjaciel mój przyglądał się w zamyśleniu obłoczkom dymu, unoszącym się w powietrzu, przyczem wyciągnął się swobodnie na otomanie. Jego czarne włosy opadały na poduszkę, a błądzący profil odcinał się ostro od światła.

— Masz rację, Bunny — wyrzekł z żalem. — Niestety, takie incydenty są nieodłączne od każdego ryzyka, zwłaszcza od każdego zwycięstwa. Właśnie usiłowałem rozbić trzecią skrzynkę z rzędu, chcąc wywołać wrażenie, że kilku sprawców włamało się do banku, gdy dozorca wniósł czwartą kasetkę. Być może, że kto inny na mojem miejscu starałby się unieszkodliwić świadka raz na zawsze i wpaść w jeszcze gorszą kabałę, lecz ja postąpiłem inaczej. Pozostawiłem światło w tem miejscu, w którym stało, przycisnąłem się do ściany, a gdy ów biedaczysko przechodził koło mnie, jednym uderzeniem pozbawiłem

go przytomności. Przyznaję, że było to uderzenie z zasadzki, lecz jak się okazuje, cios ten był wskazany, ponieważ ofiara złożyła już zeznania, które są mi rzeczywiście na rękę.

Ralf wypróżnił szklanke i odmówił wypicia drugiej, pokazując mi flaszkę z wódką, w którą zaopatrzył się na przymusowy pobyt w piwnicy, była jeszcze prawie pełna. Jak już miałem sposobność zauważyć, zaprowiantował się wogóle na święta zupełnie dostatecznie. Gdybym go zawiódł, miał zamiar w dniu Świąt Wielkanocnych lub następnym dać się przenieść wraz ze skrzynią do innego banku i stamtąd dopiero umknąć. Byłoby to jednak nazbyt wielkie ryzyko, to też byłem rzeczywiście dumny z tej myśli, że nie zawiódł się na mnie.

Klejnoty, zrabowane przypadkowo w piwnicy banku, umożliwiły nam podróż do Szkocji i dłuższy okres próżnowania, w którym zajmowaliśmy się grą w krokieta z wielkim zapalem. Jednym słowem ta właśnie przygoda zakończyła się nadspodziewanie dobrze. naturalnie chwilowo, mimo złączonych z nią tajemniczych poczynań, bez których Ralf nie umiał się obejść. Powiniennem był się do tej manieri postępowania Ralfa dawno przyzwyczaić, lecz przyznam się, że jego brak zaufania w moje siły zawsze dotykał mnie jednakowo boleśnie. Tym razem jednak pogodziłem się łatwo z tym stanem rzeczy, nie mogłem wszakże odmówić sobie wymówki, uczynionej Ralfowi ze względu na widmo Crawshaya, którym mi ustawicznie groził.

— Staraleś się wpoić we mnie przekonanie, że Crawshay znowu pojawił się na horyzoncie — powiedziałem. — Nie dziwiłoby mnie bynajmniej gdybym obecnie usłyszał od ciebie, że od dnia jego sławnej ucieczki przez to okno, wszelki śluch o nim zaginął.

— Ani nawet nie pomyślałem o nim, dopiero ty, przychodząc do mnie przedwczoraj, przypomniałeś mi go ponownie. Jedynym celem, jaki miałem, posługując się jego nazwiskiem w liście do ciebie, było wpojenie w ciebie odpowiedniej dozy strachu, któryby zabezpieczył cię przed czynieniem głupstw na cały czas mojej nieobecności.

— Cel twój jest dla mnie obecnie zupełnie jasny — odparłem. — Mojem zdaniem przeholowałeś nieco całą tę sprawę. Dlaczego jednak okłamałeś mnie niecznie, pisząc mi o tym drabie?

— Mylisz się, Bunny, bynajmniej tego nie uczyniłem.

— Ależ tak, napisałeś mi wszak najwyraźniej w świetle, abym się strzegł przed „królem włamywaczy“, który bawił w dniu twego odjazdu na morzu?

— Mój drogi, pisząc tak, nie skłamałem wcale — odrzekł Ralf z uśmiechem. — Niegdyś i ja byłem tylko dyletantem. Moje ostatnie afery upoważniają mnie jednak do nazwania samego siebie mistrzem nad mistrze i cieszyłoby mnie niezmiernie, gdybym w tobie powitał wnet mego godnego towarzysza.

ROZDZIAŁ III.

Kuracja wypoczynkowa

Już przeszło miesiąc nie widziałem Rafflesa i rada jego w pewnej sprawie była mi niezbędną. Mianowicie pewien podły lichwiarz obrzydził mi życie, uzyskując prawo zafantowania moich mebli w mieszkaniu na Mount Street i tylko zmieniając dorywczo mieszkanie, mogłem tego chciwca powstrzymać w zrealizowaniu jego zamiarów. Podwójne mieszkanie jednak było bardzo kosztowne i wyczerpy-

wało moje konto bankowe, to też znowu byłem zmuszony zwrócić się do Ralfa, mimo najsolenniejszych zamiarów poprawy. Jak na złość, szukałem go daremnie i nawet gdyby Ralf tkwił obecnie w mojej skórce, nie mógłby w większym powodzeniu zniknąć z powierzchni ziemi, jak to obecnie uczynił.

Właśnie było lato w pełni, koniec sierpnia. Ralf nie brał nigdy po pierwszym sierpniu udziału w zawodach krokietowych, gdzie zastępował go zazwyczaj wytrenowany gracz drugiej klasy, podczas gdy on sam udawał się na rozgrywkę na prowincję. Mimo że studjowałem dokładnie obydwie gazety sportowe, „Field“ i „Sportsman“, nie spostrzegłem ani razu nazwiska Ralfa Rafflesa. W klubie Albany nie wiadomo o nim zupełnie, ani też Ralf przed odjazdem nie udzielił żadnych wskazówek, gdzie należy odsyłać jego pocztę. Zaczynałem już żywić obawę, że wydarzyła mu się jakaś nieszczęśliwa przygoda. Przyznam się, że posunąłem swe obawy tak daleko, że badałem w ilustrowanych dodatkach dzienników niedzielnych twarze ujętych przestępców. Za każdym razem jednak oddychałem z ulgą, ponieważ nigdzie nie znalazłem wizerunku mojego przyjaciela. Kronika włamań nie wykazywała także ani jednego wypadku, któryby był godny mistrzowskiej rutyny i pomysłowości Ralfa. Bezstronnie przyznać muszę, że niepokoiłem się nie tyle o niego, co o siebie. W każdym razie spadł mi z serca podwójny ciężar, gdy pewnego dnia otrzymałem od Ralfa charakterystyczny i tylko jemu właściwy znak życia.

Po raz zapewne pięćdziesiąty zapytywałem się w klubie Albany o mojego przyjaciela i bezradnie zastanawiałem się, co należy w dalszym ciągu uczynić, gdy wtem na ulicy zaszedł mi drogę drab najgorszego gatunku i ukradkiem zapytał mnie w najordynarniejszej gwarze londyńskiej, czy jestem tym, któ-

rego poszukuje. Na moją odpowiedź, potakującą, wcisnął mi w rękę zgniecioną karteczkę mówiąc:

— W takim razie to dla pana — i oddalił się spiesźnie.

Była to wiadomość od Ralfa. Wyglądziłem starannie karteczkę i przeczytałem następujące, ołówkiem napisane, słowa: „Staraj się spotkać ze mną dzisiaj o zmierzchu w Holland Walk. Przechadzaj się tak długo, aż nie nadejdę. A. R. R.“

I to wszystko! Ani jednej literki ponadto, po tylu tygodniach oczekiwania, a nawet te tajemnicze słowa napisane były charakterem, nie przypominającym w niczem wytwornego pisma mojego przyjaciela. Tak czy owak byłem już nieco uspokojony, jakkolwiek była to metoda postępowania Ralfa dla mnie najniesympatyczniejsza.

Pierwszą osobą, która mi się wieczorem nasunęła, był właśnie ów tajemniczy pasażer, który oddał mi przedpołudniem wiadomość od Ralfa.

— Jakże tam, czy pan go już widział? — zapytał bezczelnie, dmuchając mi prosto w twarz kłęby dymu z obrzydliwej fajki.

— Nie, jeszcze nie — odparłem zniecierpliwiony i jednocześnie oburzony tą poufałością. — Ciekaw jestem, gdzie pan go spotkał? I dlaczego znikł pan dziś rano jak kamfora, nie dawszy mi żadnych informacji?

— Zaraz, zaraz, nie tak piorunem. Nie głupim puszczać pary z gęby, kiedy mi taki elegancki pan płaci za to, żebym trzymał język za zębami. Przecie mi się lepiej opłaci słuchać go, aniżeli gadać bez potrzeby.

— A kto pan jesteś u licha? — papytałem zawistnie. — Jakiego interesa łączą pana z mr. Rafflesem?

— Bunny, kiepski warjacie, proszę cię, bądź tak

uprzejmy i nie wrzeszcz, ogłaszając całemu światu, że jestem w mieście! — odpowiedział nagle drab, demaskując się jako prawdziwy Ralf, jednak w najgorszym wydaniu. — Nie brzydź się i weź mnie pod rękę, nie jest tak źle w istocie, jak się to z pozoru wydaje. Pamiętaj jednak, że nie ma mnie w mieście, ani w Anglii, ani nigdzie wogóle, prócz ciebie ani jedna istota na świecie nie wie, gdzie się znajduję.

— Ale tak między nami powiedziawszy, gdzie przebywasz naprawdę? — zapytałem.

— Przygotowałem sobie w pobliżu mieszkanie, w którym w czasie wakacji zamierzam przejść kurację wycieczkową wedle własnej recepty. Pytasz mnie dlaczego? O, wiele przyczyn skłania się na to, drogi Bunny. Przedewszystkiem jednak chciałem przez krótki czas być niewidzialny dla świata, aby tymczasem urósł mi zarost. Sam widzisz, że poczynił już imponujące postępy. Poza tem wątpię, czy mi uwierzysz — musiałem się ukryć, ponieważ w głównym komisariacie policji pewien spryciarz detektyw śledzi mnie uporezywie, jakkolwiek ukradkiem, co jest mi nie bardzo miłe. Pomyślałem zatem, że już czas najwyższy odwzajemnić się temu panu również baczna obserwacją i udało mi się o tyle doprowadzić mój zamiar do zamierzonego rezultatu, że dzisiaj przedpołudniem patrzałem mu niepoznany prosto w oczy. Równocześnie jednak ujrzałem ciebie, więc nie tracąc czasu, nagryzmołem tych kilka słów i wetknąłem ci karteczkę do ręki. Gdyby bowiem spotkał nas razem rozmawiających, nie ulega wątpliwości, że poznałby mnie natychmiast.

— Jak widzę, bawisz się w kryjówkę nie na żarty?

— Jak kto się na to zapatruje. Mojem zdaniem jest to tak dobry urlop wypoczynkowy od czynności zawodowych, jak i każdy inny. Gdy poznasz bliżej mój tryb życia, uznasz, że mam rację. Wprowadzi-

łem się na czas krytyczny do umeblowanego mieszkania, i to teraz w lecie, kiedy każdy opuszcza miasto i nikomu nie wpadłoby na myśl wynajęcie mieszkanie w murach miejskich. Nawet moi sąsiedzi nie wiedzą, że obok nich mieszkam, choć coprawda, większość z nich wyjechała. Nie trzymam naturalnie służby, lecz sam wszystko załatwiam, a przyznam ci się, że bawi mnie to nadzwyczajnie. Prostu mam wrażenie, że przebywam sam na odludnej wyspie. Staram się ograniczyć moje czynności do minimum, ot, prosto chciałbym raz wypocząć co się zowie. Już od lat nie studjowałem tak poważnej lektury, jak obecnie. To doprawdy paradna historia Bunny! Mianowicie człowiek, którego mieszkanie zająłem samowolnie, to ni mniej, ni więcej tylko naczelny dyrektor państwowego więzienia, a jego biblioteka jest istną skarbnicą dzieł naukowych na temat kryminalistyki. Wierzaj mi, że jest to bardzo zabawne studjum, przyglądać się swobodnie osobowości tego dygnitarza i widzieć ją tak, jak sobie inni tylko wmawiają, że ją widzą.

— Przypuszczam jednak, że nie zaniedbujesz swoich codziennych spacerów? — zapytałem, widząc, że Ralf prowadzi mnie krokiem sprężystym, który nie stracił ze swej elastyczności.

— Nie brak mi ruchu i to w takiej ilości, że jeszcze nigdy w życiu nie miałem go tak wiele — odparł Ralf -- i zaraz cię objaśnię, na czym ten ruch polega. Jest to także jedna z przyczyn, dlaczego wdałem się w tę skomplikowaną historję. Mianowicie ćwiczę się w najoryginalniejszym ze sportów, w bieganiu za taksówkami. Tak jest, Bunny, gdy tylko się zciemnia, staję na dworcu kolejowym na czatach, obserwuję bacznie przyjezdnych, wsiadających do dorożek i ofiaruję się, że pakunki, które się nie zmieszczą, zaniósę pod wskazanym adresem i będą na miejscu

równocześnie z dorożką. W ten sposób nie tylko nie wychodzę z fasonu, lecz zarazem mam sposobność zanotowania w pamięci rozmaitych rozkładów mieszkań, ponieważ często się zdarza, że wchodzę z pakunkami aż do przedpokojów moich klientów. Przyda się to nam w jesieni. Faktycznie, Bunny, mam wrażenie, że po lecie, spędzonym w ten sposób, nosząc zarost na brodzie i studjując lekturę pana dyrektora więzień, skorzystam tyle, że przyszła jesień przyniesie mi dostateczne dochody, abym mógł w zimie wypoczywać.

Uznałem za stosowne wtrącić wreszcie słówko o moich własnych sprawach, które nie przedstawiały się tak korzystnie. Nie miałem nawet potrzeby wtajemniczać Ralfa w moje kłopoty bardzo szczegółowo, ponieważ po kilku zaledwie słowach ogarnął całą sytuację. Miał on tę czarującą właściwość, że swój egoizm zrzucał ze siebie jak płaszcz i wczuwał się w moje troski, starając mi się bliższym i serdeczniejszym. W ten sposób powstała pewnego rodzaju łączność między mną, a tym niezwykłym człowiekiem, przewyższającym mnie pod każdym względem, o ile chodziło o zalety duchowe i fizyczne.

— Ależ Bunny, to się wybornie składa! — zawołał. Zaraz zabieram cię do mojej nowej siedziby, musisz ze mną zamieszkać, jednym słowem ukryć się razem ze mną. Nie wolno ci jednak zapominać, że pobyt nasz ma być traktowany jako prawdziwa kuracja wypoczynkowa. Nie chciałbym bowiem, aby urlop mój ucierpiał z powodu zaproszenia ciebie jako towarzysza. Pragnę bowiem dalej żyć tak swobodnie, jak żyłem bez ciebie. Jak zapatrujesz się na pomysł natychmiastowej przemiany nas obydwu na rodzaj braci Trapistów? Zgadzasz się? To dobrze. Słuchaj zatem: Oto ulica, przy której mieszkam; a to jest ów dom cudowny.

Była to jedna z owych cichych uliczek bocznych, składających się ze starych, otoczonych ogrodami domów i z will, budowanych w nowoczesnym stylu. Okna domów były przeważnie ciemne, a tak na trotoarze i na gościńcu nie widać było ani żywej duszy. Ralf zaprowadził mnie do wysokiego, wąskiego domu, przed którym stała latarnia. Po fasadzie pięło się dzikie wino, okna wykuszów były zamknięte na okiennice. Ralf otworzył bramę, wcisnąłem się za nim ostrożnie i cicho.

— Przedewszystkiem muszę przynieść światło — dodał szeptem. Chcąc go przepuścić, przycisnąłem się mimowoli do kontaktów elektrycznych, z których jeden bezmyślnie przekręciłem. Natychmiast światło zalało jasną kaskadą halę i schody, lecz w tejże chwili Ralf rzucił się na mnie wściekły i szybko zgasił tak lekkomyślnie przezemnie zaświecone światło. Dem znowu tonął w ciemnościach, a chociaż Ralf nie powiedział ani słowa wyrzutu, wiedziałem, że był na mnie oburzony, że aż sapał ze złości.

Zdawałem sobie zresztą sprawę z tego, że popełniłem głupstwo. Nagle błyskawiczne światło w hali, w której panował nieporządek, schody pozbawione dywanów, wykrzywioną złością twarz Ralfa w chwili, gdy gasił elektrykę, objaśniały mnie dostatecznie, w jaki sposób przyszedł Ralf w posiadanie tego prowizorycznego mieszkania.

— A zatem w ten sposób „wynająłeś“ mieszkanie? zapytałem szeptem. — Wynająłeś — nie, to cudowne określenie! To istotnie paradne!

— A co? Myślałeś może, że załatwił mi je pośrednik? — drwił Ralf. — Słowo honoru, Bunny, byłem przekonany, że jesteś na tyle domyślny, aby przejrzeć sytuację bez komentarzy!

— A dlaczego nie miałbyś wynająć mieszkania w sposób normalny?

— Jakiś ty naiwny, mój Bunny! Dlatego, aby zaoszczędzić sobie meldowania i innych biurokratycznych ceregieli, któreby naprowadziły na mój ślad tych, którzy mnie szukają. W sprawie urlopu wypoczynkowego mówiłem z tobą zupełnie serjo, gdyż istotnie tak pojmuję pobyt w tym domu.

— Ralfie, niepoprawny bandyto! A zatem znowu mieszkasz w domu, do którego włamałeś się, aby obrabować właściciela?

— Mylisz się Bunny! Nie ukradłem niczego i nie mam zamiaru tego uczynić. Korzystam jedynie z nie-dobrowolnej gościnności właściciela, wyłącznie celem zakosztowania spokoju i wypoczynku, który jest niezbędny każdemu człowiekowi pracy.

— Ale ja nawet tutaj nie znajduję spokoju — westchnąłem.

Ralf roześmiał się serdecznie i zaświecił zapalkę. Znajdowaliśmy się w pokoju, który służy każdej burżuazyjnej rodzinie angielskiej jako rodzaj drugiej bawialni. Właściciel mieszkania, dyrektor więzień państwowych, zamienił pokój ów na gabinet do pracy, wypełniając drzwi pułkami, na których umieścił bogatą bibliotekę.

Natychmiast zabrałem się do zbadania księgozbioru naszego gospodarza, lecz miłą tę czynność przerwało mi zajęcie się starego kapelusza od świecy, którą Ralf umieścił w tak oryginalnym lichtarzu. Ralf zreformował zatem swój system oświetlenia pokoju, wycinając dno kapelusza. W ten sposób powstał na suficie owalny krążek światła, który skąpo rozjaśniał mroki pokoju.

— Wybacz Bunny — rzekł Ralf, siadając na dolnej części staroświeckiego biurka, z którego zdjął górną szafkę i zamienił ją na barykadę swojej ad hoc utworzonej latarni. We dnie pozwolę ci korzystać ze sztucznego światła, ile tylko zechcesz, ponie-

waż na świecie jest jasno i nikt nie dostrzeże z zewnątrz, że pokój jest oświetlony. Nikt nie przeszkodzi ci wówczas ani w czytaniu, ani w pisaniu. W nocy jednak nie pozwalam niszczyć elektryczności, nafty, lub świec. Jak widzisz, nasz gospodarz zaopatrzył okna w specjalne okiennice, które są jednak zupełnie szczelne i oświetlona szpara musiałaby zdradzić nas przed sąsiadami, którzy dowiedzieliby się, że ktoś gospodarzy w mieszkaniu. Uważaj także na ten telefon! Jeżeli dotkniesz się słuchawki, natychmiast na poczcie dowiedzą się, że mieszkanie nie jest próżne. Nie dziwiłoby mnie to wcale, gdyby pułkownik odjeżdżając, dał znać na poczcie, że wyjeżdża i kiedy zamierza powrócić. To człowiek systematyczny. — Widzisz te paski papieru, za pomocą których stara się zabezpieczyć od pyłu swoje książki?

— Czyżby dyrektor był w randze pułkownika? — zapytałem Ralfa, widząc portret mężczyzny w mundurze.

— Tak jest, służył przy pionierach, pozatem jest kawalerem krzyża Wiktorji. Zasłużył się w jakichś walkach kolonialnych i za to otrzymał stanowisko dyrektora, czy też inspektora więzień państwowych.

Jego ulubionem zajęciem w czasie wypoczynku jest — nigdybyś nie zgadł — strzelanie do celu! Doprowadził już do mistrzostwa tę sztukę, nie radziłbym nikomu mieć z nim do czynienia!

— A gdzie on teraz przebywa? — zapytałem lekko zaniepokojony. — Czy jesteś pewny, że nie znajduje się już w drodze powrotnej.

— W Szwajcarji — odparł Ralf, śmiejąc się serdecznie. — Trzeba ci bowiem wiedzieć, że był na tyle uprzejmy, iż pozostawił nam swój adres, celem pouczenia nas, że na razie nie grozi nam niebezpieczeństwo jego niespodziewanego powrotu. Ale bądź spokojny, wiem z doświadczenia, że ze Szwajcarji

nie wraca nikt przed początkiem września. Poza-
 tem trudno przypuścić, aby pan dyrektor był tak pracow-
 wity, iżby wracał przed powrotem służby, której
 najwidoczniej dał urlop. Przewidziałem także kwe-
 stję niespodziewanego powrotu służby. Spreparowa-
 lem zatrask przy wejściu w ten sposób, aby to wy-
 glądało, że sam się zatrzasnął. Podczas gdy służące
 pobiegną do ślusarza, my tymczasem oddalimy się
 spiesznie.

— Prawdopodobnie obrałeś tę samą drogę, aby się
 tutaj dostać?

— Nie Bunny — mimo mroku zauważyłem, że
 Raffles miał minę niezadowoloną. — Przykro mi, że
 muszę ci wyznać, iż dostałem się tutaj przez okno w
 dachu. Malowano właśnie fasadę sąsiedniego domu,
 a jakkolwiek nie przepadam za drapaniem się po
 drabinach i rusztowaniach, uważałem jednak, że w
 tym wypadku lepiej będzie zrezygnować z popis-
 waniem się specjalnością otwierania zamków, zwa-
 szcza przed samym sobą i lepiej skorzystać ze sposo-
 bności, aby w jasny biały dzień nie prowokować
 przedstawicieli władzy.

— A może gospodarz pozostawił ci klucze od mie-
 szkania?

— No, tak daleko nie posunął swojej kurtuazji.
 Nie zapominaj, że zamieszkuje ten dom w roli Ro-
 binsona Kruzoe i wynalazczość moja pozwala mi na
 własnoręczne fabrykowanie kluczy. A zatem kocha-
 ny Piętaszku, chodźmy zwiedzić naszą wyspę, czy
 nie zaszły na niej jakieś niebezpieczne i zatrważają-
 ce zmiany. Będzie to z korzyścią dla naszego spo-
 czynku nocnego. Zdejm przedtem buciki, jeśli faska.

Schody, po których dostałimy się na piąterko, hy-
 ły bardzo strome. Serce biło mi żywo, gdy sły-
 załem ich przeraźliwe w ciszy nocnej skrzywienie, lecz
 Ralf mimo właściwej mu ostrożności, o której ni-

gdy nie zapominał, był zupełnie spokojny. Przecho-
dząc przez platformę schodów, których okno wycho-
dziło na podwórze, zgasił światło w cylindrze dyre-
ktora i zaświecił je dopiero po przejściu schodów
przed drzwiami salonu. Ujrzałem przelotnie ramy
obrazów i fortepian, otulony w pokrowiec. Po chwili
znaleźliśmy się przed drzwiami do łazienki, która
prezentowała się istotnie zachęcająco.

— Zaraz się okąpię — zawołałem z zachwytem,
widząc komfort, którego się nie spodziewałem.

— Zrezygnujesz z tego zamiaru, mój kochany —
ofuknął mnie Ralf. — Zważ Bunny, że wyspa nasza
jest w posiadaniu wrogich plemion, które pilnie
obliczają ubytek wody. Pozatem mógłby ktoś zwró-
cić uwagę na hałas, wywołany wypuszczaniem wo-
dy z łazienki. Ostrożność moja posuwam do tego
stopnia, że kąpiąc się, wyczerpuję wodę z wanny
i wylewam skrzętnie do zlewu w kuchni. Zastosuj
się do tego mój drogi i zanim będziesz manipulował
koło kurka, zapytaj mnie łaskawie o wskazówkę.
Oto twój pokój, nie wchodź jeszcze ze światłem, do-
póki nie zasunę stor. Jest to pokój lokaja. Tak, teraz
możesz wejść. Widzisz, jaką masz piękna toaletę?
Spójrz w jak pedantycznym porządku rozwieszona
są ubrania! To dopiero stary goguś! Jeszcze nigdy
nie widziałem tylu urządzeń, godnych opatentowa-
nia, jak utrzymywać w fasonie krawatki, lub buci-
ki! Wszystko to wskazuje, że jest to typowy pedant
co się zowie. Ciekaw jestem, jaką minę miałby,
gdyby przyłapał nas przy swojej garderobie?

— Miejmy nadzieję, że w tym wypadku z przera-
żenia straciłby bodaj na chwilę przytomność, abyś-
my mogli zwać na czas — dodałem, drżąc na samą
myśl o tem.

— Wolałbym nie opuszczać się na taką ostatecz-
ność — odparł Ralf. — Zemdlenie nie jest częste w

podobnych okolicznościach i skłonność do niego objawiają jedynie ludzie chorzy na serce. A zresztą, jak już powiedziałem, nie zamierzam zwędzić tutaj niczego, lecz chcę tylko mieszkać spokojnie. Te ubrania nie nadają się i tak na żadnego z nas. Choćmy teraz do sypialni, Bunny. Chyba nie weźmiesz mi tego za złe, że zagarnąłem ją dla siebie. Spójrz na ój chłopcze, to jedyny pokój, którego używam i który urządziłem wyłącznie dla siebie.

Wszedłem za nim do obszernej sypialni, której wielkie okna były skrupulatnie osłonięte i nie przepuszczały ani jednego promyka światła dziennego lub elektrycznego. Tuż obok łóżka zwisała lampa, oświetlona zamiast umbrą, grubym, nieprzepuszczającym światła lejmem, Ralf odkręcił światło, którego jasny krążek padł na stół, obciążony mnóstwem książek.

— Oto miejsce wypoczynku mojego ciała i zarazem ćwiczenia ducha — rzekł z patetycznym humorem Ralf. — Już dawno marzyłem o tem, aby oddać się pouczającej i zarazem interesującej lekturze tego rodzaju, to też każdej nocy przestudjowuję jeden tom historii kryminalistyki. I tobie przydałaby się taka pouczająca lektura. Jak nazywa się nasz gospodarz? — Crutchley, pułkownik Crutchley, inżynier, dyrektor więzień państwowych i kawaler krzyża Wiktorji.

— Może wystawimy na próbę jego waleczność, czy krzyż ten dano mu sprawiedliwie? — zapytałem żartobliwie, czując się w znacznie lepszym nastroju po odbyciu naszej wędrownki inspekcyjnej.

— Nie mów tak głośno, może nas kto usłyszeć — szepnął Ralf — nie zapominaj, że oddzielają nas tylko jedne drzwi od...

Ralf zamilkł nagle, jak gdyby jakaś tajemnicza siła pozbawiła go głosu. W ciszy nocnej huknęło

ogłuszająco trzaśnięcie drzwiami, które odbiło się przeraźliwym echem w pustym domu, a na domiar grozy w tej samej chwili Ralf zdmuchnął świecę i wokół nas zaległy nieprzebite ciemności. Serce moje łomotało tak głośno, że groziło pęknięciem. Obydwaj wstrzymaliśmy oddech. Na platformie schodów pierwszego piętra zachowywaliśmy się tak cicho, jak gdyby nas zupełnie nie było. Wreszcie z piersi Ralfa wydarło się westchnienie ulgi, równocześnie doszedł mnie odgłos zamykania furtki ogrodowej.

— No, chwała Bogu, już po strachu, Bunny! To był listonosz który nas częściej odwiedzi, jakkolwiek pewien jestem, że pułkownik nie omieszkął przed odjazdem udzielić swoich instrukcji, aby pocztę odsyłać mu pod wskazanym adresem. Ci niedbalcy na poczcie usłyszą od niego ładne kazanie! Przyznam ci się jednak szczerze, że byłem w porządnym strachu.

— Co się mnie tyczy, to strach stanowczo nie jest odpowiedniem nazwaniem tego, co w tej chwili przeżywałem — wyjąkałem przerażony. — Muszę się stanowczo czegoś napić, inaczej zemdleję.

— Ależ Bunny, napoje alkoholowe nie należą do naszej kuracji!

— W takim razie żegnaj mi. Nie wytrzymałbym takiego nadmiaru wrażeń na dłuższy przeciąg czasu! Wprawdzie wruszająca historia Robinsona Kruzoe, na którym my się wzorujemy, opowiada o śladzie stopy ludzkiej, która ze strachu pozbawiła zacnego kolonistę przytomności, lecz wyobrażam sobie, co odczułby Robinson Kruzoe, gdyby usłyszał ni stąd ni zowąd ogłuszające trzaśnięcie drzwiami w swoim pałacu!

— Nie wiadomo, kto był w korzystniejszej sytuacji, my, czy też Robinson — dodał Ralf z filozoficznym spokojem. — Przyznaję, że chwila, którą co

tylko przeżyliśmy, nie należała do najprzyjemniejszych. Ale wracając do rzeczy — zapowiadam ci, że nie mam innego napoju, oprócz herbaty.

— A na czym ją gotujesz? Czy nie obawiasz się, że przed odjazdem naszego gospodarza gazomierz był odczytany?

— To moja tajemnica, względnie dodatek do mojej wynalazczości. Nasz zawód wymaga, aby znać się na arkanach sztuki monterskiej.

— Jestem przekonany, że czcigodny pułkownik ma doskonale wyposażoną piwnicę.

— Mój kochany, wszak dosyć jasno postawiłem kwestję. Nie chcę niczego ruszyć w tym domu, stosuje się to także do piwnicy naszego gospodarza. Mieszkam tutaj nie w interesach, lecz na urlopie. Zapowiadam ci, że nie dopuszczę do tego, aby ci ludzie ponieśli przez nas bodaj najmniejszą stratę. Za zużyte światło elektryczne, gaz i t. p. zamierzam pozostawić kwotę należną na stole w jadalni z odpowiednim komentarzem.

— Nie rozumiem, dlaczego nie moglibyśmy uczynić tak samo z winem; pożyczmy sobie jedną butelkę i zwrócimy właścicielowi odszkodowanie.

Widocznie Ralf dał się przekonać mojem logicznem rozumowaniem, ponieważ poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu. Zawsze zresztą ulegał mi wówczas, gdy okazywałem na tyle odwagi w argumentacjach i umiałem mu się sprzeciwić. Nigdy jeszcze żadne z moich drobnych zwycięstw nie okazało się tak lukratywne, jak obecne. Piwnica była wprawdzie bardzo mała, a raczej była to wpuszczona w mur szafa, zabezpieczona nędznym zamkiem, lecz jakże wybornie zaopatrzona! Nie brakło tam ani doskonałej czystej wódki, ani win zagranicznych, ani wybornych nalewek. Na najwyższej półce poły-

skiwał kusząc rząd pozłacanych szyjek fiaszek z szampanem. Podniosłem w górę cylinder ze świecą.

— Mumm! I to stary, kilkunastoletni mumm! — szepnął Ralf z ukontentowaniem. — Wprawdzie, jak ci wiadomo, nie należę do zwolenników kieliszka, lecz mam uznanie dla każdego dobrego towaru i spodziewam się, że i ty ocenisz trunek, który będziesz miał zaszczyt i przyjemność pić. Jest to ostatnia butelka z tego rocznika i nie sędzę, abyśmy mogli zwrócić właścicielowi tę stratę. To też zastanówmy się nad tem Bunny, czy to nie zwyczajne świństwo, co chcemy popełnić, wbrew wszelkim uczuciom sprawiedliwości i raz powziętym zamiarom. Na naszą korzyść przemawia jednak fakt, że szkoda takiego boskiego trunku dla tego starego skąpca, który nawet nie uznaje za stosowne uraczyć się nim i chowa go zazdrośnie w piwnicy. Chodź, Bunny, prowadź i oświeć drogę. Zaprawdę gra warta świeczki w całym tego słowa znaczeniu!

Tak więc szampanem uczciliśmy pierwszy wieczór spędzony w willi zacnego dyrektora więzień państwowych. Spałem w następstwie tego tak dobrze, jak mi się to już dawno nie zdarzyło. Było to jednak dziwne uczucie słyszeć dzwoniącego do bram innych domów mleczarza i listonosza. Widziałem budzące się życie dnia we wszystkich domach okolicznych, mycie, zmiatanie, czyszczenie, tylko w naszym domu panowała martwa cisza. Ralf widocznie już od kilku godzin był na nogach. Zwiedzając pokoje przekonalem się, że były już wietrzone. Było to najwidoczniej dzieło Ralfa, lecz jak on zdołał tego dokonać, Bóg raczy wiedzieć. Z kuchni doleciało moich wuszu apetyczne skwierczenie i smażene, a mnie ślinka przyszła do ust.

Wątpię, czy jakiegokolwiek pióro zdołałoby opisać dokładnie wrażenia i drobne, pozornie bez znaczenia

przygody, które przeżyłem wówczas pod jednym dachem z Ralfem! Dzisiaj wydaje mi się ten epizod mojego życia bardzo oryginalny i zajmujący, lecz wówczas dni płynące wydawały mi się szare i bezbarwne, już choćby ze względu na oświetlenie, które nie pozwoliło mi widzieć nawet Ralfa. Miałem stale Lecz wówczas Ralf chciał mieć spokój etaintain uczucie, że rozmawiam z duchem. Dopiero przy świetle elektrycznym znikало to niesamowite wrażenie, skłonny do pogawędki, ponieważ przez kilka godzin czekał na okazję, aby móc bezkarnie zaświecić światło i oddać się czytaniu. Z śmieszną, komiczną powagą i wręcz dziecinnym uporem przeprowadzał Raffles swoją idjotyczną kurację. Godzinami całem leżał wyciągnięty na łóżku nad książką, na której widniał krążek światła elektrycznego wielkości deserowego talerza. Nie wypadalo mi nic innego, jak pójść za jego przykładem i rozczytywać się w lekturze kryminalnej, straszliwej w swojej grozie, i w gruncie rzeczy obcej mojej naturze. Nieraz czulem dreszcz przerażenia, przechodzący mnie niby prądem elektrycznym od czubka głowy, aż po pięty. Byłem tak zniecierpliwiony i zdenerwowany tego rodzaju trybem życia, że często nachodziły mnie najrozpaczliwsze pomysły. Pragnąłem dokonać czegoś rewelacyjnego, zdumiewającego, niezwykłego, aby wreszcie obudzić Ralfa z jego martwoty. Razu pewnego zdobyłem się nawet na takie bohaterstwo, że przerwałem ogólną ciszę silnem uderzeniem we wszystkie klawisze fortepianu. Nic dziwnego — sposób w jaki mnie Ralf traktował, był oburzający. Byłem dla niego przedmiotem, powietrzem, niczem.

Dzisiaj uznaję roztropność Ralfa i widzę, jak mądrzem i przewidującym było jego postępowanie, zwłaszcza unikanie wszelkiego hałasu. Także jego tajemnicze, samotne wycieczki, na które nigdy nie brał

mnie ze sobą, były najzupełniej uzasadnione, mimo, że mnie to wówczas tak upokarzało, jako dowód braku zaufania dla mojej zręczności. Jasno dziś widzę, że Ralf miał niesłychaną wprawę w zakradaniu i wymykaniu się z poszczególnych domów, a moje towarzystwo naraziłoby go tylko na niepotrzebny kłopot i niebezpieczeństwo. Przyznaję również, że Ralf okazywał mi dużo względów i cierpliwości, lecz wówczas byłem tak poirytowany jego pozornem lekceważeniem mnie, że planowałem nawet małą zemstę.

Trudno zaprzeczyć, że Raffles zyskał wiele na swem przebraniu. W garniturze — jednym, który jeszcze posiadał — rozpadającym się na strzępy, z brodą dziko zarosniętą upodabniał się coraz bardziej do pospolitego bandyty. Zmieniona ta powierzchowność pozwalała mu coraz częściej bez szkody oddalać się z domu, co także było jedną z przyczyn, dlaczego coraz częściej zostawiał mnie samego w domu. Postanowiłem jednak usunąć tę właśnie przyczynę. Gdy pewnego razu spostrzegłem rano, że ptaszek znowu wyfrunął z gniazdka, przystąpiłem do urzeczywistnienia planu, który już dawno dojrział w moim umyśle. Pułkownik Grutchley był żonaty, lecz nie było dowodów, aby małżeństwo to posiadało dzieci. Niewątpliwie, jak z rozmaitych oznak wynikało, żona jego była damą wielkiego świata. W szafach w jej apartamentach wisiała moc sukien, w każdym kącie graciarni na strychu leżały stosy pudeł od kapeluszy. Widocznie, sądząc z portretów, była rosłą niewiastą, lecz ja nie należę do wysokich mężczyzn. Podobnie jak Raffles, nie goliłem się od czasu rozpoczęcia naszego urlopu w tym domu. Wówczas jednak poraz pierwszy ogoliłem się znaną w pokoju pułkownika brzytwą bardzo starannie. Następnie spenetrowałem pokoje pa-

ni domu i dokonałem wyboru odpowiedniej dla moich planów toalety.

Jestem blondynem i zazwyczaj noszę włosy dosyć długie. Za pomocą rurek mrs. Crutchley udało mi się skrócić je w piękne loki. Wielki, czarny kapelusz z białymi kwiatami dopełnił stroju. Wprawdzie kapelusz był zimowy, podobnie jak i reszta toalety, ponieważ zacna dama zabrała ze sobą letnią garderobę na lotnisko i w grubych aksamitach pociełem się dokuczliwie, zwłaszcza ze względu na upalny dzień sierpniowy, lecz kolory na twarzy, wywołane gorącem, dawały tem lepsze złudzenie mej kobiecości. Mimo to z ulgą usłyszałem kroki uciekiniera, który widocznie już wracał. Szybko przypudrowałem jeszcze błyszczący nos i policzki. Ralf udał się do gabinetu, przez co zyskałem na czasie i mogłem uzupełnić moje przebranie. Miałem zamiar przedewszystkiem napędzić mu porządnego strachu, na który sobie, mojem zdaniem, zasłużył, pozatem pragnąłem mu udowodnić, że nie ustępuję mu w niczem w przebieraniu się i jestem niezgorszem fachowcem w tej dziedzinie, a towarzystwo moje na ulicy nie naraziłoby go na poznanie i kłopoty. Pamiętam doskonale, że jako elegancka dama ubrałem rękawiczki, lecz niestety ze względu na objętość mojej dłoni były to rękawiczki męskie. Jak najciszej, prawie bezszelstnie przemknąłem się do pokoju Ralfa. Światło elektryczne świeciło się jak zazwyczaj za dnia, oświetlając jasno postać, której podobnej nie udało mi się spotkać podczas całej mojej kariery włamywacza.

Był to mężczyzna suchy, muskularny, w średnim wieku, opalony i zaszuszony, jak skamieniały owoc, osobnik zuchwały i niebezpieczny w najgorszym stylu, którego wyglądowi nie dorównywała nawet powierzchowność Ralfa, z jego najlepszych czasów

rozgrywek sportowych. Człowiekiem tym mógł być jedynie groźny, żelazny pułkownik, dyrektor więzień państwowych, nasz prawowity gospodarz. Przygotowany na spotkanie, stanął przedemną okowami, grożąc mi rewolwerem, wyciągniętym wi-
 docznie z jednej z zamkniętych na klucz szuflad w biurku, których Ralf stanowczo nie chciał wyłamać. Celem lepszego wycelowania zmróżył jedno oko, w drugim silnie rozwartem połyskiwał monokl. Złośliwy, zjadliwy uśmiech wykrzywił wargi w pergaminowej twarzy.

— Patrzcie państwo, kobieta! A gdzie twój gach, ty dziewczko? — zawołał zasuszony pan.

Przyznam się, że gardło wyszło mi kompletnie ze strachu i nie zdołałem wypowiedzieć ani jednego słowa. Przerażenie moje jednak i groza, malująca się na napudrowanej twarzy, licowały tak wybornie z rolą, którą odgrywałem, że trudno było obmyśleć lepsze warunki.

— Tylko bez strachu — zawołał skrzeczącym głosem drewniany człowieczek. — Nie bój się kółeczko, nie przebiję cię kulą tak ni stąd ni zowąd! Przymierzam ci nawet, że jeżeli przyznasz się bez oporu do wszystkiego i wydasz swego współnika, nie stanie ci się nic złego, a nawet wynagrodzę cię sowicie, moją pięknotką. Widzisz, oto odkładam to mordercze narzędzie i — ależ tak, niech mnie kaczka kopnie, wszak ta bezczelna dziwa przebrała się w suknie mojej żony!

Gdyby pułkownik wiedział, ile trudu kosztowało mnie „przeoblenie się“ w zbyt ciasne szatki zacnej jego połowicy, miałby dla moich wysiłków chociażby odrobinę uznania. Obecne czułem dotkliwie ciasnotę tych damskich szmatek, które omal, że nie pękały na mnie. Muszę jednak być sprawiedliwym wobec mojego przeciwnika i przyznaję bezstronnie,

że odkrycie to nie wzmogło bynajmniej jego gniewu na mnie. W oczach jego zabłysnął nawet pewnego rodzaju humor i jako urodzony gentleman zamierzał schować rewolwer do kieszeni.

— Jak widzę, stało się doskonale, że przypadkowo zaglądnąłem do mojej siedziby — dodał w dalszym ciągu. — Moim zamiarem było odebrać tylko pocztę, lecz w ten sposób skróciłem waszą sielankę o cały tydzień. Gdy tylko przestąpiłem próg domu, poznałem zaraz, co się tu święci. A teraz moja mała, bądź narzeczcie rozsądna i wyznaj, gdzie ukrywa się twój najdroższy.

Ze łzami w oczach odgrywałem rolę biednej dziewczyny, która mimowoli stała się bohaterką tajemniczej afery i zaklinałem się na wszystko w świecie, że włamałem się zupełnie sam i nie posiadam żadnego współnika. Zapewnienia te wyrzucałem ze siebie chaotycznie, w zdenerwowaniu, głosem tak ochrypłym, iż cud, że mnie nie zdradził. Stary wyga potrząsnął szronem siwizny pokrytą głową.

— To wcale ładnie z twojej strony, że nawet za cenę darowania ci przestępstwa nie chcesz wydać swego współnika — dodał. — Nie myśl sobie jednak, że masz do czynienia z pierwszym lepszym ciemięgą, który da się wywieść w pole. To prawda, że nie zmuszę cię do zeznań, których nie chcesz dobrowolnie złożyć. Żałuję mocno, lecz w razie dalszego oporu wezwę do pomocy ludzi, którzy to za mnie uczynią.

Błyskawicznie przejrzałem jego zamiar. Na biurku leżała przygotowana książka telefoniczna, z której prawdopodobnie interlokutor mój pragnął odczytać numer odnośnego urzędu policyjnego, który miał mu zapewnić pomoc przeciwko mojemu wtargnięciu. Obecnie poraż drugi pochylił się nad spisem. Była to chwila dla mnie bardzo korzystna, którą natychmiast postanowiłem wyzyskać. Z przytomnością

umysłu zazwyczaj tak mało mi właściwą, że mogę się nią w tym wypadku pochlubić, rzuciłem się na stojący w kącie aparat i z całej siły uderzyłem nim o ziemię. Równocześnie czułem, że ja sam znalazłem się w przeciwnym rogu pokoju. Aparat był gratem starego systemu i pochlebiam sobie, że siła mojego uderzenia uszkodziła go na czas dłuższy.

Przeciwnik mój nie zadał sobie nawet na tyle trudu, aby stwierdzić stan aparatu, lecz w świetle elektrycznym wpatrzył się we mnie zdumionym, osłupiałym wzrokiem. Widocznie obawiał się napaści z mej strony, ponieważ włożył rękę do kieszeni, w której tkwił rewolwer. A ja — w mojej determinacji, nie zdając sobie sprawy z tego co czynię — pochwyliłem za pierwszy lepszy przedmiot, mogący mi posłużyć do samoobrony i wywijałem nim, jak Indjanin tomachawką. Była to, jak się później okazało, flaszka z nieszczęsnego szampana, którego napiliśmy się ku uczczeniu wstąpienia mojego w te niesamowite progi.

— Głowę daję za to, że to ty właśnie jesteś bandytą który się do mnie włamał! — wrzeszczał pułkownik, potrząsając tuż przed nosem uzbrojoną w rewolwer pięścią. — Ach, ty wilku w przebraniu niewinnej owieczki! Jak prędko umiałeś dobrać się do mojego wina! Rzuć tę butelkę, rzuć natychmiast, albo przedziurawię cię na sito tym oto rewolwerem w ciągu kilku sekund! No widzisz. Przysięgam ci mój chłopcze, że za to musisz odpokutować! A niech ci się nie zachce przypadkowo sprzeciwić mi się teraz! Zastrzeliłbym cię natychmiast jak psa! A to łajdakiwo! Wypić mi moją ostatnią flaszkę starego szampana! Ty drabie, ty bezczelny obwiesiu!

Wypowiadając tę tyradę, zapychał mnie z wolną w przeciwny kąt pokoju, wraz z jego własnym krzesłem. Teraz stał pochylony nademną, wymachu-

jąc w jednej ręce pustą butelką, w drugiej rewolwerem, podczas gdy sine oczy i purpurowa od gniewu twarz dyszały żądzą mordu. Trudno powtórzyć potok wściekłością nabrzmiiałych słów, który nie przestawał wypadać z jego rozdętej od krzyku i wybuchów wściekłości krtani. Rzecz dziwna! Na widok sukien żony uśmiechnął się bez najmniejszych oznak rzetelnego gniewu. Spostrzegając wypróżnioną butelkę ukochanego trunku, stał się okrutnym, krwi chciwym zwierzęciem. Szeroko otwarte źrenice nie potrzebowały monoklu, któryby je rozwierał. Mimo grozy sytuacji spostrzegałem te wszystkie szczegóły, zastanawiając się, jak mogą oczy tak bardzo wystawać z twarzy. W tem — ujrzałem ponad nieszczęsnym, pieniającym się z gniewu oficerem upragniony widok — twarz Ralfa.

Wsunął się on niepostrzeżenie w czasie ostatniej burzliwej sceny, jaka się między nami rozgrywała. Wyzyskał z właściwą sobie zręcznością odpowiedni moment, w którym, nie obserwowany przez nas, mógł zbliżyć się jak kot do mojego przeciwnika. Podczas gdy cała moja uwaga skierowana była tylko na dyszącego gniewem pułkownika, Ralf, niespodziewanie chwycił w żelazne kleszcze swej muskularnej dłoni rękę pułkownika, uzbrojoną w rewolwer i wykręcił ją tak silnie, że oczy napadniętemu omal nie wyszły z orbit. Stary wojskowy jednak posiadał jeszcze na tyle siły, że umiał się bronić i zanim uświadomiłem sobie grozę sytuacji, zamachnął się z całym impetem butelką z szampana na Ralfa, szkło rozprysło się w drobne kawałki na jego nodze.

Czas był najwyższy, abym wystąpił czynnie i przechylił zwycięstwo na stronę mojego przyjaciela, co też uczyniłem. W mgnieniu oka zakneblowaliśmy niespodziewanego intruza i posadzili w fotelu, do

którego przywiązaliśmy go grubym sznurem. Krwawo okupiliśmy to zwycięstwo. Rafles krwawił silnie z otwartej rany, pozostawiając w ten sposób ślad dla policji, który związany nasz przeciwnik śledził z nietajoną satysfakcją.

Zdawało mi się, że jeszcze nigdy nie widziałem człowieka lepiej i okrutniej związanego.

Zdawało się jednak, że wraz z upływem krwi tracił Ralf właściwą sobie litość i wyrozumiałość. Z pasją pokrajał obrusy, poodcinał sznury firanek, zdarł z mebli w jadalni płócienne pokrowce i wzmocnił tem wszystkim więzy nieszczęśliwego pułkownika. Nogi uwięzionego przywiązane były do siedzenia fotelu, ramiona do oparcia. Widok tego człowieka, skępowanego z okrutną bezwzględnością, z kneblem w ustach, w którym tkwiła jakaś linijka, przywiązanego niemiłosiernie rzemieniem, umocowanym na tyle głowy, był wprost odrażający. Mimo wszystko oczy więźnia spoglądały na nas tak nieubłaganie i dziko, że trudno mi było wzrok ten wytrzymać. Ralf jednak wyśmiał taką wrażliwość i chcąc zaszanować moje nerwy, zarzucił na więźnia jakąś chustę. Lecz nawet kontury tej postaci były tak straszne, że wybiegłem z pokoju jak oparzony.

Tak, był to Ralf w najgorszym wydaniu, Ralf doprowadzony do szału wściekłości, tak okrutny i dziki, jakiego nigdy nie widziałem przedtem, ani potem. Miałem wrażenie, że walka, którą staczał, szła o śmierć lub życie. Prowadził ją bez skrępułów, jak każdy pospolity bandyta. Mimo tej dzikości i zawziętości, którą dyszał, przyznać mu muszę, że manieri jego były przez cały czas bez zarzutu, godne dystygowanego arystokraty. W ciągu walki nie wypowiedział w impecie złości ani jednego grubiaństwa, ani jednego przekleństwa, nie uderzył nawet przeciwnika i starał się pokonać go bez zadania mu

najmniejszego bólu fizycznego, mimo, że sam cierpiał strasznie wskutek rany. To prawda, że to on był napastnikiem i włamywaczem, przeciwnik zaś niewinną jego ofiarą. Ralf zachował jednak wrodzoną mu humanitarność. Mnie samemu trudno pojąć, jak mógł połączyć tyle ostrożności z tak stanowczą i bezwzględną walką o naszą skórę. Gdyby nawet targnął się na życie swego przeciwnika, uczyniłby to wszakże jedynie w obronie własnej.

Teraz dopiero w łazience, w jasnym świetle dziennym ujrzałem, jak ciężką ranę zadał pułkownik Ralfowi butelką w nogę. Zdałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie z tej rany mogło dla niego wyniknąć.

— Czeka mnie dzięki temu przygodnie długi miesiąc rekonwalescencji, kto wie nawet, czy nie jestem skazany na kalectwo. Pozatem po ranie tej łatwo będzie można rozpoznać mnie, skoro nasz kawaler orderu Wiktorji wyswobodzi się z więzów i wróci do zdrowia po dzisiejszej przygodzie.

Kawaler orderu Wiktorji! To utrudniało naszą sytuację, a ja w mem nielogicznym umyśle widziałem już wyobraźni najstraszliwsze ewentualności. Trudno jednak było przypuścić, aby nasz więzień nie uduśli się pod kocem i wyszedł cało z tej opresji.

— Naturalnie, że wyjdzie cało — zawołałem w odpowiedzi na moje własne myśli. — Na to musimy być w każdym razie przygotowani!

— Czyżby powiedział ci, że oczekuje powrotu służby, lub przyjazdu żony? Gdyby tak było, to przyznaję, że musimy zmykać stąd i to jak najszybciej.

— Nie Ralfie. Obawiam się, że nie oczekuje nikogo, ponieważ powiedział mi, że zaglądnął tylko do mieszkania w celu odebrania zaległej poczty. Gdyby mu to nie wpadło na myśl, moglibyśmy przedłu-

żyć naszą idyllę o cały tydzień. W tem właśnie tkwi sęk tej niefortunnej sprawy!

— Ja jestem innego zdania, Bunny. Myślę, że się wszystko doskonale składa.

— Jak to, czy nie zdajesz sobie z tego sprawy, że w ten sposób nasz przeciwnik jest skazany na śmierć?

— A cóż mnie to obchodzi?

Z twardem, bezlitosnem spojrzeniem w jasno-niebieskich oczach wyglądał Ralf tak strasznie, że omal krew mi w żyłach nie zastygła. Mój przyjaciel tak wyrachowanie okrutny, to było dla mnie coś zupełnie nowego!

— Mamy wybór między jego życiem, a naszą wolnością, niech więc każdy z nas postąpi tak, jak uważa za stosowne. Ja osobiście już przesądziłem sprawę, kneblując i wiążąc pułkownika — rzekł Ralf. — Jeżeli jednak jesteś innego zdania, w takim razie możesz pozostać i ułatwić mu uwolnienie się z więzów. Szkoda byłoby w tym wypadku, że jego skrupowania dokonałem tak starannie, z takim nakładem trudu i czasu. Bunny, zastanów się dobrze nad tem, co czynisz. Tymczasem wypiorę sobie spodnie i wysuszę nad piecem gazowym. Zajmie mi to przynajmniej godzinę czasu, który wypełnię czytaniem ostatniego tomu bardzo zajmującej powieści kryminalnej.

Zanim gotów był na opuszczenie mieszkania, czekałem na niego zupełnie ubrany, lecz w usposobieniu tak strasznie, że z obrzydzeniem wspominam tę chwilę. Kilkakrotnie zajrzałem do jadalni, gdzie Ralf siedział przed piecem. Także i on pragnął zwać stąd jak najprędzej, lecz czekał, aż wyschną parujące przed piecem spodnie. Przez ten czas czytał najspokojniej w świetle ulubioną powieść. Do gabinetu nie miałem ochoty zaglądnąć, obawiając się

straszego widoku naszego więźnia. Ralf wszedł tam jednak kilka razy z zupełnym spokojem, porządkując książki, które wyjął i usuwając ślady naszego pobytu w tem mieszkaniu. Słyszałem, jak szybko zdjął z uwięzionego chustę, którą go poprzednio zakrył, poczem wolnym, swobodnym krokiem, jakgdyby był gospodarzem, opuścił mieszkanie, wołając mnie za sobą.

— Uważaj Ralfie, obserwują nas! Spójrz, na rogu ulicy stoi policjant!

— Znam go doskonale — odparł Ralf, odwracając głowę w przeciwną stronę. — Uprzedniej niedzieli zaczął mnie, lecz wytłumaczyłem mu zupełnie spokojnie, że jestem byłym żołnierzem pułkownika i przychodzę co kilka dni do jego mieszkania, aby przewietrzyć pokoje i przynieść z poczty listy, które się zarzuciły. Dla ostrożności zawsze miałem przy sobie kilka listów, zaadresowanych do pułkownika do Szwajcarii, których nie omieszkalem pokazać policjantowi. Był zupełnie uspokojony i przekonany. Po tem spotkaniu jednak nie miało żadnego sensu badać w dalszym ciągu sytuację.

Nie odpowiedziałem mu ani słowa. Irytowała mnie jego bezgraniczna chytryść, jego przemyślane finty i podstępny, którymi zawsze umiał się ratować z opresji, w które jednakże nie raczył mnie nigdy wtajemniczać. Zdawałem sobie z tego sprawę, dlaczego on tak właśnie ze mną postępuje. Uważał, że jestem ograniczony, zbyt mało sprytny, abym mógł bez narażenia siebie i jego na niebezpieczeństwo wchodzić i wychodzić do naszej kwatery. Chcąc odstraszyć mnie od samotnych wycieczek przesadzał o niebezpieczeństwach, związanych z naszym pobytom. A gdy uraził moją miłość własną ironicznym komplementem na temat mojego przebrania, zbyłem go nadąsanem milczeniem.

— Powiedz mi Bunny, dlaczego łazisz za mną? — zapytał, gdy znaleźliśmy się na jednej z głównych ulic Nottinghill.

— Albo wyratujemy się, albo utoniemy razem — odpowiedziałem mrukliwie.

— Istotnie tak sądzisz? Przyjm zatem do wiadomości, że mam zamiar wypłynąć gdzieś na prowincję, po drodze ogolić się, postarać się o nową odzież i to etapami, po jednej sztuce, kupić sobie nowe przybory do krokieta, ponieważ stare są już zniszczone i kulejącym krokiem dostać się do mojego mieszkania do klubu Albany. — Rany nabawiłem się swego czasu przy krokiecie. Wykręcę się z sytuacji wymówką, że przez cały ten czas brałem udział pod pseudonimem w rozgrywkach w golfa i krokieta na prowincji w jednym z klubów prywatnych. Jest to jedyne możliwe usprawiedliwienie na opuszczenie własnego klubu na tak długi okres czasu. Oto plan mojej podróży, Bunny. Mimo wszystko jednak trudno mi zrozumieć, dlaczego uparłeś się mi towarzyszyć.

— Ciekaw jestem, co stoi temu na przeszkodzie? — odpowiedziałem gniewnie.

— Jak chcesz, mój chopecze — odparł Raffles. — Obawiam się jednak, że będziesz mi nieodstępnie towarzyszył nawet na szubienicę.

W tem miejscu pozwolę sobie zapuścić zasłonę na przebieg naszej wycieczki na prowincję. Czynię to nie dlatego, abym wstydził się przyznać do brania udziału w małych eskapadach Ralfa. Na to, przyznaję, nie miałem nawet odwagi. Wspomnienie ostatniej naszej awantury nazbyt mnie gnębiło i budziło bardzo niemiłe refleksje. Widok dzielnego pułkownika, zakneblowanego i przywiązanego do krzesła, dręczył moje sumienie ustawicznie, jak straszna senna zmora. Widziałem go przed sobą o każdej po

rze dnia i nocy, niby uporeczywą halucynację, ze wzrokiem skierowanym na mnie z nieposkromioną wściekłością, albo też jako martwą, nieruchomą masę. Przeżywałem dnie zatrute tym widokiem, po nocach spać nie mogłem. Wraz z naszą ofiarą przechodziłem wszystkie etapy męczarni; myśl moja zbaczala tylko wówczas od nieszczęśliwego pułkownika, gdy dla odmiany dręczył ją obraz szubienicy, o której żartem mówił Ralf. Wszak mogła przy takim trybie życia przyoblec się w realne kształty. Nie mogłem z lekkim sercem wyczekiwać tak okropnej śmierci. Gdybym miał jednak do wyboru, to wolałbym się poddać rygorowi ustawy, aniżeli męczyć się dłużej w tej niepewności. Wreszcie po nocy bezsennie spędzonej, zdecydowałem się częściowo oddać naprawić zło i przyjąć na siebie następstwa strasznego czynu. Postanowiłem uratować życie pułkownika, którego pozostawiliśmy w strasznym niebezpieczeństwie, o ile jeszcze był czas po temu. Po powzięciu tego postanowienia ciężar spadł mi z serca. Zamierzałem podzielić się tym zamiarem z Ralfem.

W pokoju hotelowym, który obecnie zamieszkiwalismy leżały w nieładzie pakunki i nowiuteńkie ubrania, niby wyprawa ślubna narzeczonego. Przypadkowo wziąłem do ręki torbę Ralfa z przyborami do krokietu. Wydawała mi się znacznie cięższa, jak być powinna. W łóżku spał Ralf, wygolony, czysty, podobny znowu do samego siebie. Na twarzy miał spokojny uśmiech człowieka, którego nie trapią żadne wyrzuty sumienia. Szarpnąłem go lekko; obudzil się z najweselszą miną na świecie.

— Ach, to ty Bunny? Chłopcze — ależ w oczach twoich czytam, co cię do mnie sprowadza! Chcesz zapewne wyspowiadać się — zaczekaj jeszcze, radzę ci dobrze. Wątpię, aby policję miejscową wprawiło

w dobry humor przebudzenie o tej porze! A zresztą czekaj, może to wpłynie na zmianę twoich zamiarów. Tam na podłodze leży gazeta wieczorna; spójrz na rubrykę „Po zamknięciu kroniki“, mój Bunny i powiedz mi, co o tem myślisz.

Z drżącym sercem odszukałem wskazane mi przez Ralfa miejsce. I oto co przeczytałem:

„Zagadkowa zbrodnia.

Pułkownik Crutchley, królewski inżynier i kawaler orderu Wiktorji padł w swoim mieszkaniu przy Peter Street ofiarą włamania zachwałych bandytów. Gdy niespodziewanie powrócił z wilegjatury, zastał w mieszkaniu dwóch drabów, którzy rzucili się na zasłużonego oficera, zakneblowali go i związali, zastosowując bez skrupułów najbrutalniejszą przemoc. Dzielna i ruchliwa policja w Kensington znalazła biednego pułkownika ze związanymi rękami i nogami, w stanie najwyższego wyczerpania“.

— Dzielna i ruchliwa policja w Kensington! — zauważył sarkastycznie Ralf. Był zupełnie spokojny i zrównoważony, podczas gdy ja trzęsem się cały z obłędnej trwogi.

— Jak ci się podoba taka blaga! Nigdy nie byliby wpadli na pomysł odwiedzenia pułkownika, gdyby nie mój list!

— Twój list? — zapytałem zdziwiony.

— Napisałem do policji w Kensington kilka słów wyjaśnienia. Wykorzystałem czas, który spędziłem, oczekując nadejścia pociągu w Caston. Niewątpliwie otrzymali mój list jeszcze tego samego wieczoru, lecz starym, biurokratycznym zwyczajem nie raczyli go nawet otworzyć i dopiero nazajutrz uwolnili pułkownika. Naturalnie obecnie policja

przypisuje wyłącznie sobie całą zasługę. Zresztą i ty nie byłeś lepszy, mój kochany. Wszak i ty popełniłeś wobec mnie niesprawiedliwość.

— Jakto — więc nie zamierzałeś zgładzić pulkownika ze świata?

— Ja miałbym skazać niewinnego człowieka na śmierć? Ależ Bunny, na miłość Boską, zastanów się! Sądziłem, że znasz mnie lepiej. Dwanaście godzin przymusowego bezwładu — oto na co mogłem go najwyżej narazić.

— Powinieneś był uprzedzić mnie o tem Ralfie!

— A ty mój kochany przyjacielu mogłeś mi przynajmniej na tyle zaufać!

ROZDZIAŁ IV.

Klub kryminologów.

— Ale co to za ludzie i gdzie się zazwyczaj schodzą. Powiedzże mi Raffles — w księdze adresowej daremnie szukałem ich lokalu!

— Jest to klub kryminologów. Liczy tak mało członków, że nie posiada własnego lokalu. Zaś ze względu na swój charakter musi być ekskluzywny i dlatego nie znajdziesz nazwisk członków w żadnym informatorze. Klub zalicza w skład swoich członków grono poważnych panów, ludzi wiedzy, którzy zajmują się bardzo serjo istotą i objawami współczesnej zbrodniczości. Od czasu do czasu schodzą się oni bądź to w lokalach innych klubów, bądź też u siebie w domu i dyskutują na ulubiony temat.

— No dobrze — ale w jaki sposób wpadli na ten szatański pomysł, aby nas zaprosić na kolację?

Zadając to pytanie, wskazałem na białe arkusiki zaproszeń, na których najwyraźniej w świecie widniały nasze nazwiska. Podpisany na nich był sam

jaśnie wielmożny hrabia Thornaby, który najuprzejmiej prosił o zaszczyt spożycia kolacji w mojem towarzystwie w pałacu Thornaby, Lane Park, gdzie mieliśmy się zejść z klubem czcigodnych kryminologów. Przyznam się, że w uprzejmości tej wietrzyłem podstęp; niepokój mój zamienił się w prawdziwe przerażenie, gdy dowiedziałem się, że i Ralphowi wysłano zaproszenie.

— Zaprosili mnie jako wybitnego sportowca, ponieważ któryś z zacnych starszków wpadł na pomysł, że wszelkie zawody sportowe stanowią przekleństwo i grób nowoczesnego sportu. Specjalnie zaś napawa ich trwogą i odrazą sportowiec zawodowy, to też pragną dowiedzieć się, czy moje doświadczenia zgadzają się z ich teorją.

— Ej, tak tylko mówią! To chyba pretekst!

— Nie, to ich istotny zamiar. Na dowód, że mają rację, przytaczają cały szereg wypadków samobójstw i morderstw na tle zawiedzionej ambicji sportowej. Wiesz przecież, że studja nad tym przedmiotem wchodzą niejako w zakres mojego zawodu.

— Ale co ja mam z tem wspólnego? — zawołałem zniecierpliwiony. — Nie, mój drogi, mylisz się tym razem. Poprostu zarzucili na nas wędkę i zamierzają wziąć nas pod dokładną obserwację. Inaczej nigdy nie wpadliby na pomysł, aby i mnie zaprosić.

Raffles śmiał się serdecznie z mojego przerażenia.

— Chciałbym mój kochany, abyś miał rację — rzekł Ralf z uśmiechem. — Cała ta heca miałaby jeszcze większy urok, aniżeli się zapowiada. Aby cię jednak uspokoić, poczuwam się do obowiązku wyjaśnić ci drogi Bunny, że to ja właśnie zwróciłem ich uwagę na ciebie. Powiedziałem im mianowicie, że jesteś daleko wspanialszym kryminologiem odemnie. Cieszy mnie to niezmiernie, że posłuchali mojej rady. A zatem spotkamy się na tej niesamowitej uczcie.

— Nie wiem, czy przyjmę zaproszenie — odparłem w tonie nagany, na którą Ralf zasługiwał, narzucając mi w tak lekceważący sposób swoją wolę.

— Jeżeli odmówisz, pozbawisz się przyjemności przygody, która jest zarówno w moim, jak i w twoim guście. Zastanów się, co robisz Bunny! Ci uczeni panowie schodzą się pod płaszczykiem studjów psychologicznych jedynie w tym celu, aby emocjonować się dreszczykiem grozy, opowiadając straszliwe historie o bandytach. My zaś rozkoszujemy się temi sprawami pozornie taksamo, jak gdybyśmy należeli do ich świata i nie wiedzieli na ten temat więcej od nich. Niejeden z nich wspomni tam o naszych sprawkach, nie domyślając się nawet, że ma sprawców w najbliższym sąsiedztwie. W ten sposób wydostaniemy od nich, co świat myśli o naszych uczynkach i co ludzie kombinują. Jako bohaterowie ich opowiadań i krytyk usłyszymy ich mniemanie o nas i ich doświadczony sąd o naszej metodzie włamań. Będzie to dla nas nie tylko zabawne, lecz i pożyteczne. Gdy znowu kiedyś puścimy się na bystre wody, nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie, cośmy usłyszeli od tak sławnych kryminologów. A pozatem nie należy wzgardzić doskonałą kolacją, która nas oczekuje, o ile nie zawiedzie ustalona opinja naszego gospodarza.

— Czyżbyś go znał? — zapytałem zdziwiony.

— Poznałem go niegdyś na placu gry w krokieta i dziwię się, że jego lordowska mość raczy sobie znajomość ze mną przypomnieć — odparł zgryźliwie Ralf. — Chociaż on nie wie niczego o mnie, ja jednak jestem doskonale poinformowany o jego osobie. Przez pewien czas był prełożonym klubu gry w krokieta w Middlesex. Trudno o lepszego prezesa. Zna się doskonale na grze, jakkolwiek zwyczajem wszystkich przewodniczących klubów sportowych, sam ni-

gdy nie bierze w grze udziału. Wogóle jest bardzo inteligentny i na wszystkim zna się po trochu, chociaż się niczem nie zajmował. Nawet nie ożenił się i, jak twierdzą wtajemniczeni, nigdy ust nie otwiera bez widocznej potrzeby. Mimo wszystko ma opinię najmądrzejszego członka dostojnego zgromadzenia. Opinia ta musi być poniekąd uzasadniona, ponieważ sam słyszałem jego doskonale przemówienie z okazji przybycia do nas Australczyków na rozgrywkę o mistrzostwo. Jest niesłychanie oczytany, lecz sam nie pisał ani słowa. Nielada to zasługa w naszych grafomańskich czasach. Mówią o nim, że w teorii jest ciężki jak wieloryb, natomiast w praktyce ruchliwy i elastyczny jak złota rybka. W kwestji kryminologii zdaje się jednoczyć obydwie właściwości.

Ralf zaintrygował mnie do tego stopnia, że poczułem żywe pragnienie osobistego poznania tego wybitnego męża. Oświadczyłem to mojemu przyjacielowi, na co on skinął głową z taką miną, jak gdyby nigdy nie wątpił w moją gotowość. Teraz dopiero widzę jak dyplomatycznie zignorował mój opór. Niewątpliwie obmyślił sobie poprzednio wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Spisując obecnie te wspomnienia jak najdokładniej, dzięki mojej wybornej pamięci, odnoszę takie wrażenie. Jak wiem z doświadczenia, Ralf nigdy nie był bardziej wyrachowany, jak wtedy, gdy paląc nieodłączną fajeczkę, udawał, że mówi tylko tak, od niechcienia i daje się ponieść obranemu tematowi. Z czasem poznałem się na tych jego manewrach, lecz wówczas przyjaźń nasza znajdowała się jeszcze w stadium początkowym. W każdym razie znałem go dokładniej, aniżeli ktokolwiek inny.

Wówczas to schodziłem się z Ralfem bardzo często, wyjątkowo nawet on odwiedzał mnie częściej, aniżeli ja jego. Swoim zwyczajem przychodził bez

zapowiedzenia, kiedy jemu było najdogodniej, często nawet nie w porę, gdy wybierałem się do miasta. Nieraz zastawałem go w mojem mieszkaniu po powrocie do domu, ponieważ dawno już oddałem mu drugi klucz do dyspozycji. Było to w lutym najmniej sympatycznym dla mnie miesiącu. Przegwarzyliśmy niejedną wieczór, dyskutując namiętnie o sprawach społecznych, o sztuce, sporcie, tylko nie na temat naszego dziwnego trybu życia i niezgodnych z ustawą postępów. W rzeczywistości jednak nie było wówczas sposobności do omawiania naszych uczynków. Ralf prowadził w owym czasie najprzekładniejszy tryb życia i przebywał w bardzo poważnych towarzystwach. Słuchając jego rady, spędzałem cały wolny od zajęć czas w naszym klubie.

— O tej porze roku nie mamy wszak nic lepszego do roboty — zwykł mawiać Ralf jak gdyby na usprawiedliwienie. — W lecie grywam w krokieta, zachowując w ten sposób pozory przez cały rok uczciwie pracującego człowieka. Należy przestawać w towarzystwie ludzi od rana do wieczora, a nie wpadnie im na myśl zastanowić się, co my robimy w nocy. To najlepszy sposób odwrócenia uwagi od siebie.

Jednem słowem nasze zachowanie się w ostatnich czasach tak dalece bez zarzutu, że owego dnia, w którym miał się odbyć ów słynny obiad u lorda Thornaby, obudziłem się bez cienia niepokoju, a nawet zagadkowy klub kryminologów przestał zupełnie być dla mnie groźny. Jedyne mojem życzeniem było zjawić się w jaskini lwa w towarzystwie mojego wspaniałego przyjaciela, toteż prosiłem go, aby przyjechał po mnie swoim autem. Niestety brakowało zaledwie pięć minut do pory oznaczonej na zaproszeniu, a Ralfa jak nie było, tak nie było. Byliśmy zaproszeni na godzinę trzy kwadranse na ósmą, punktualnie o godzinie ósmej miał się rozpocząć

obiad; nie pozostawało mi wreszcie nic innego, jak samemu udać się do pałacu lorda Thornaby.

Na szczęście miałem drogę niedaleką, ponieważ pałac znajdował się na tej samej ulicy, na której wówczas mieszkałem. W chwili gdy zamierzałem zadzwonić do bramy, nadjechał elegancki kocz dwukonny. Myślałem, że to Ralf dogonił mnie w ostatniej chwili, lecz zawiodłem się. Mimowoli stanąłem pod balustradą, obserwując, kto wysiadał z powozu. Wyskoczyło kilku panów i podczas gdy jeden z nich płacił dorożkarzowi, dwaj pozostali zamienili następujące słowa:

— Słyszałem, iż Thornaby z założył się o poważną kwotę, że prędzej czy później ptaszek wpadnie w zastawione sidła. Ma się rozumieć, że zakład ten nie rozstrzygnie się dzisiaj, w każdym razie osobnik ów wnawia sobie, że został zaproszony w charakterze znakomitego gracza w krokiet!

— Chciałbym, aby Thornaby wygrał zakład z Fredem Verekerem — odparł drugi pan, głosem brzmiącym niemile i chropawo, podczas gdy głos jego towarzysza był dźwięczny i łagodny — lecz jestem przekonany, że to wszystko są czcze wymysły i brednie bez sensu.

— A jednak przekona się pan, że więcej jest na rzeczy, aniżeli się panu zdaje — odparł ten pierwszy i w tej chwili zamknęły się drzwi za nimi.

W bezradnej rozpaczce opuściłem ręce. A zatem Ralf został zaproszony na tę niesamowitą kolację nie w charakterze gościa, lecz podejrzanego przestępcy! To właśnie Ralf, ten nieomylny Ralf był tym razem w błędzie i nie przeczuwał zasadzki, zaś ja miałem wyjątkowo trafne przecucie! Tymczasem czas upływał, a jak na złość Ralf się nie zjawiał. Nawet nie mogłem go ostrzec, że grozi mu zasadzka, niestety, była właśnie godzina 8-ma.

Nie dziwnego, że nawet dzisiaj na wspomnienie tej strasznej chwili, dreszcz mnie przenika. Jestem przekonany, że nawet dźwięk bijącego zegara odebrał mi do reszty przytomność umysłu, i że właśnie dzięki temu zagrałem moją nędzną rolę automatycznie i tem samym doskonale. Mimo ogólnej tępoty umysłu, która jak gdyby spowiła moją zdolność odczuwania sytuacji w gęstą mgłę, nigdy jeszcze mój zmysł spostrzegawczy nie był tak bystry, jak w owej chwili. Zachowałem w pamięci wszystkie szczegóły tej fatalnej sceny: zdaje mi się, że słyszę jeszcze przeraźliwy dźwięk dzwonka, na który otworzyły się podwoje pałacu. Wewnątrz przedstawił mi się widok, przypominający jakąś uroczystość kościelną. Po obydwu stronach schodów ustawił się podwójny rząd lokajów w liberji, czarnych, jedwabnych spodkach i takichże pończochach. Na czele służby stał marszałek dworu z buławą, jak gdyby kapłan, udzielający pastorałem błogosławieństwa. Uspokoiłem się nieco i odetchnąłem swobodniej. Po pewnym czasie znalazłem się w bibliotece, gdzie grono poważnych panów zabawiło się ożywioną rozmową. Ku mojemu zdumieniu zastałem tam Ralfa, dyskutującego z zapalem z jakimś panem o twarzy buldoga. Jak się później okazało, owym „buldogiem“ był właśnie nasz znakomity gospodarz.

Wybałuszył na mnie swoje wypukłe oczy bez wyrazu, witając się ze mną, i porucił opiece jakiegoś wysokiego, starszego niezdary, do którego zwracał się z wymuszoną powagą. Nazwiska jego nie zdołałem się nigdy dowiedzieć. Ten zaś — w towarzystwie nazywano go Ernestem — z niezgrabnym, nieśmiałym ukłonem przedstawił mnie jakimś dwom panom. Jak się okazało, byli to właśnie owi mężczyźni, którzy rozmawiali przed domem o Ralfie. Jeden z nich przedstawił mi się jako adwokat Kingsmill, drugiego

Jaś poznałem na pierwszy rzut oka z fotografii, wystawionej w oknie pobliskiej księgarni. Był to znany nowelista, który świeżo wszedł w modę, autor wydanego niedawno tomu „Opowiadań z głębi lasu“, Parrington. Obydwaj stanowili groteskowy kontrast; adwokat Kingsmill był to tłuściutki pan o pielęgnowanej, napoleońskiej twarzy, zaś literat był najbardziej zaniedbanym człowiekiem we fraku, jakiego zdarzyło mi się kiedykolwiek spotkać. Zaden z nich nie zwracał na mnie specjalnej uwagi, natomiast zauważyłem, że obydwaj przez dłuższy czas przyglądali się bacznie Ralfowi.

W tej chwili lokaj zaanonsował uroczyście: „podano do stołu!“ Zajęliśmy miejsca przy okrągłym stole jadalnym, w olbrzymiej, ponurej hali, w której nasz stół i nasze szczupłe grono gubiło się formalnie. Na tak nieliczne zebranie nie byłem przygotowany, to też z ulgą w sercu pomyślałem sobie dosyć niemądze, że w najgorszym razie przypadnie zaledwie dwóch na jednego. Lecz już wkrótce uznałem mylność mojej rachuby i tęskniłem do tłumu, w którym zdaniem ogółu bezpieczeństwo jest znacznie pewniejsze, ponieważ łatwiej można się stracić. Było nas zbyt mało przy stole, aby dało się rozmawiać poufnie ze sąsiadem bez wciągania w rozmowę wszystkich współbiesiadników. A nawet ogólna konwersacja przeszła wkrótce w tak sprytnie obmyślany i tak perfidnie przeprowadzony atak na Ralfa, że nie mogłem sobie wyobrazić, w jaki sposób Ralf zmiarkuje, że akeja ta jest przeciw niemu skierowaną napaścią. Przytem nie miałem pojęcia, jak ostrzec go przed niebezpieczeństwem. Czy i ja byłem przedmiotem intrygi, uknutej przeciw mojemu przyjacielowi, o tem do dnia dzisiejszego nic nie wiem. Bardzo być może, że zdawano sobie sprawę z charakteru mojej osoby, lekceważono mnie jednak jako mniej interesujący przedmiot obławy.

Pierwszy pocisk wycelował przeciw Ralfowi bezpośrednio po zjedzeniu przekąski sam gospodarz, który siedział między Ralfem po prawej, a nowelistą Parringtonem po lewej ręce. Mnie przypadło w udziale siedzieć w sąsiedztwie adwokata i pana Ernesta, prawdopodobnie krewnego gospodarza.

— Mr. Raffles — przemówił lord Thornaby — opowiadał mi przed chwilą interesującą historję. Chodzi tu mianowicie o owego nieszczęśnika, którego powieszono ubiegłej wiosny. Wspaniały zgon, moi panowie, zaiste wspaniały zgon! Był wprawdzie na tyle nieuprzejmy, że odciął kobiecie głowę, lecz w każdym razie śmierć jego zasługuje na zaszczytną wzmiankę w historii szubienicy. Proszę, mr. Raffles, może zechce pan łaskawie opowiedzieć panom tę se isacyjną historję. Przypuszczam, że i wam, moi panowie będzie równie obca, jak mnie.

— I owszem, powtórzę ją dosłownie, jak ją słyszałem zeszłego roku w czasie rozgrywek krokietowych; o ile mi wiadomo, dzienniki nie doniosły o tem zupełnie — rzekł Ralf poważnie. — Panowie przypominają sobie zapewne, jakie szalone zdenerwowanie wywołało swego czasu zdobycie przez naszą drużynę w Australji mistrzostwa gry w krokietu. Rozstrzygnięcie meczu przypadło na ten sam dzień krytyczny, który był zarazem ostatnim dniem tego nieszczęśliwca na ziemi. Zbrodniarz ów jednak błagał na wszystkie świętości, aby zaczękano z egzekucją, aż do chwili ogłoszenia zwycięstwa. Odnieśliśmy je wówczas na całej linji. Gdy skazaniec dowiedział się o tem, uradował się niezmiernie i oznajmił, że teraz może już spokojne pobujać na szubienicy.

— Powtórz pan, co wówczas jeszcze powiedział! — prosił lord Thornaby, zacierając pulchne ręce.

— Gdy ksiądz czynił mu wyrzuty, że w ostatniej chwili życia absorbują go kwestje sportowe, miast

troska o zbawienie duszy, skazaniec odpowiedział z tupetem: „Ależ na wynik meczu czekają całe rzesze potępieńców w piekle! Jestem przekonany, że pierwsze pytanie, jakie mi zadadzą, będzie na temat, która drużyna krokietowa odniosła zwycięstwo!“

Historja ta była dla mnie zupełną nowością lecz nie miałem czasu zastanowić się nad znaczeniem pointy. Natomiast bacznie obserwowałem towarzystwo, jakie wrażenie uczyniła opowieść mojego przyjaciela. Pan Ernest zanosił się przez dłuższą chwilę od śmiechu. Natomiast mój sąsiad po lewej, sławetny literat zachwycał się opowiadaniem z entuzjazmem, a nawet utrwalił je ołówkiem na powierzchni mankietu. Na adwokacie Kingsmillu opowiadanie Ralfa nie wywarło pozornie najmniejszego wrażenia, dopiero gdy przemówił, spostrzegłem, że byłem w błędzie.

— Cieszy mnie to niezmiernie — oznajmił swoim słodko ckliwym głosem. — Nie spodziewałem się po tym człowieku innej śmierci, jak właśnie tak odważnej, tak — powiedziałbym — bohaterskiej!

— Czyżby pan go znał osobiście? — zapytał lord Thornaby.

— Bronilem go z urzędu — odparł prawnik, mrugając oczyma. — Byłem niejako jego przewodnikiem do krainy śmierci!

Cios ten wymierzony był wprawdzie mimo woli, lecz nie mniej był bardzo dotkliwy. Lord Thornaby spojrział z pod oka na okrutnego adwokata, mądry Ernest przerwał na chwilę wybuchy wesołości swej, Parrington szukał nerwowo ołówka, a ja wypilem jednym duszkiem wino, mimo że było dosyć mocne i mogło to zwrócić uwagę. Wystarczyło spojrzeć na przerażoną twarz Ralfa, aby zmiarkować, że bynajmniej nie ma się na baczności.

— O ile sobie przypominam, wypadek ten nie obu-

dził zaciekawienia ani współczucia — zauważył Ralf, przerywając ogólne milczenie.

— Istotnie, prawie żadne — odpowiedział adwokat.

— Musiało to być dla pana osłoda po poniesionej porażce — zauważył Ralf oschle.

— Dla mnie byłoby to w każdym razie stanowiło osłoda — zapewnił z zapalem literat, podczas gdy adwokat uśmiechał się ironicznie. — Natomiast byłoby mi niezmiernie przykro, gdybym musiał odegrać jakąkolwiek rolę w procesie Peckhama i Solomonsa, których onegdaj stracono.

— Dlaczego właśnie ta sprawa tak pana obchodzi? zapytał gospodarz.

— Ponieważ ci biedacy bynajmniej nie mieli zamiaru uśmiercić tej starej damy, którą napadli.

— Ależ te zbiry udusiły biedaczkę w jej własnem łóżku, jej własną poduszką!

— To obojętne — odparł srogi literat. — W każdym razie nie morderstwo było celem ich napadu na staruszkę. Cóż oni temu winni, że ta stara warjatka narobiła takiego wrzasku, że musieli zatykać jej usta! Nie udało się im i na tem właśnie polega pech zbrodniarzy!

— Istotnie, pecha mieli ei spokojni, wzorowi złooczyńcy, pełniący najprzykładniej w świecie swój zawód — dodał ironicznie lord Thörnaby. A gdy zwrócił się do Ralfa, uśmiechając się z zarozumiałą pewnością siebie, wiedziałem, że część programu wieczoru, którą można było nazwać „wypróbowaniem Ralfa“, dobiegała końca. Obliczono widocznie dokładnie, że tę część wieczoru zakończy podanie szampana. Nie omieszkałem wyrazić mojego uznania na widok tak pożądanej zaprawy naszej uczyty. Ralf zaś śmiał się z dowcipu naszego nadętego gospodarza tak serdecznie, z miną tak nieświadomą grozy sytuacji,

że nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż dlatego tak zręcznie gra rolę człowieka nie przeczuwającego zasadzki, ponieważ istotnie nie zdawał sobie z niej sprawy. Przyznaję się, iż mimo przerażenia odczuwałem pewną podświadomą satysfakcję, że także nieomylny, zawsze przedrwiwający moją nieudolność Ralf daje się raz wziąć na kawał. Świadomość ta miała dla mnie tyle uroku, iż nagle odzyskałem humor i apetyt na doskonałe dania, wchodzące w skład przyjęcia jego lordowskiej mości. Wyborna pieczeń sarnia bynajmniej nie zepsuła mi apetytu na duszoną kuropatwę i z utęsknieniem wyczekiwałem deseru, gdy nagle pewna uwaga gaduły literata znowu naprowadziła rozmowę na porzucone przed chwilą tory.

— Zapewne pański talent retoryczny uratował wielu zbrzdniarzy na szkodę społeczeństwa, a temsamem pańskich przyjaciół i rodziny? — zwrócił się Parrington do adwokata.

— Wielu — hm — to mała przesada. W każdym razie kilku młodzieńców, posadzonych mniej lub więcej uzasadnienie o rozmaite przestępstwa. W Londynie zajmuję się niechętnie sprawami kryminalnymi.

— Jest to jedyny dział, kolidujący z ustawą spraw, który mnie, jako literata, zajmuje — wtrącił Parrington, zajądając galaretkę owocową.

— Zgadzam się z panem najzupełniej — przyznał nasz gospodarz. — Gdybym był adwokatem, najsympatyczniejszym dla mnie klientem byłby właśnie zuchwały, nieustraszony włamywacz.

— Niewątpliwie musi to być najbardziej interesująca gałąź zbrodni — zauważył Ralf, podczas gdy ja wstrzymałem oddech z przerażenia. Lecz ton jego odezwania się był tak lekki, tak swobodny, że gdyby nawet był świadomy niebezpieczeństwa, co do czego

ja ciągle jeszcze nie miałem pewności, artyzm jego gry musiałby mu przynieść zaszczyt. W tej chwili jednak zauważyłem, że nareszcie Ralf zmiarkował, co się święci. Nieznacznie odsunął od siebie szampan, który ja w mojem zdenerwowaniu wypilem duszkiem jak wodę. Lecz niebezpieczeństwo polegać musiało na czem innem, jak ja sobie to wyobrażałem. Ralf nie miał powodu niepokoić się tematem, na który byliśmy obydwaj przygotowani, bawiąc w klubie kryminologów. Także ataki jego przeciwników miały charakter stosunkowo zupełnie spokojny i nie zaszło nic takiego, co mogłoby budzić specjalne obawy człowieka, nieświadomego, że jest podejrzany.

— Nie mam zbyt pochlebnego wyobrażenia o mr. Sikeu — lekko rzucił uwagę adwokat, jak gdyby dając znak umówiony.

— Ależ to mamut przedpotopowy — odparł lord. Z powodu jego nieudolności połało się ostatnio wiele krwi skazańców.

— Najzręczniejszym włamywaczem ostatniej doby, który zakończył życie na szafocie, był tak zwany piękny Willjam. Od tego mniej więcej czasu mamy spokój — dodał widocznie znudzony dyskusją literat.

Ale nie tak łatwo było odwieść lorda od raz obranego tematu.

— Tak William jak i „długi Karol“ to wielkości pośledniego gatunku w porównaniu do pewnego draba, który jako włamywacz niewątpliwie uzyska nieśmiertelną sławę. Jest to ów spryciarz, który niedawno obrabował sklep biednego jubilera Danby na ulicy Bond Street — oznajmił lord na pozór zupełnie obojętnie. Nagle uczułem, że krew stygnie mi w żyłach.

— Znam go doskonale — rzekł Ralf, obrzucając wzrokiem obecnych.

Lord Thornaby spojrział na Ralfa zarazem zdu-

miony i przerażony. Po raz pierwszy uśmiech na napoleońskiej twarzy adwokata miał nieszczerzy i wymuszony charakter. Literat, który przez cały czas zajadał łakomie ser nożem, miał na wusach kroplę krwi, wywołanej nagłem draśnięciem. Jeden Ernest, który, jak to już dawno zauważyłem, nie był w spisek wcale wtajemniczony, śmiał się w dalszym ciągu z niezmaconym spokojem.

— Co?! — zawołał lord, tracąc zimną krew — więc pan zna osobiście tego ptaszka?

— Pragnąłbym tego szczerze — odparł Ralf, śmiejąc się serdecznie. — Nie, milordzie, miałem na myśli ofiarę opryszka, biednego jubilera Danby, u którego załatwiam zawsze moje sprawunki, ilekroć która z moich kuzynek wychodzi zamąż.

W tej chwili z piersi trzech spiskowców wyrwały się trzy westchnienia ulgi.

— A to istotnie dziwny zbieg okoliczności — zauważył oschłym tonem lord Thornaby — ponieważ, jak mnie pan poinformował, znał pan również osoby, u których okradziono lady Melrose, pozbawiając ją drogiego naszyjnika.

— Naturalnie, że ich znałem, wszak byłem tam w charakterze zaproszonego gościa — odparł skwapliwie Ralf. Żaden samochwał i snob nie skorzystałby tak ochotnie ze sposobności pochwalenia się, w jakich towarzystwach się obraca, aniżeli Ralf w tej chwili.

— Jesteśmy tego zdania, że to sprawka tego samego łotra, który okradł Danby'ego — odezwał się znacznie łagodniej lord Thornaby, przemawiając widocznie w imieniu kryminologów.

— Pragnąłbym kiedyś spotkać się z tym jego mościem — odparł Ralf skwapliwie — bo trzeba panom wiedzieć, że jest on jako typ przestępcy da-

leko więcej w moim guście, aniżeli wasi mordercy, napadający niewinne staruszki, lub w chwili śmierci interesujący się krokietem.

— Ha ha — a to byłaby historia, gdyby on przebywał w tej chwili w tym domu — rzekł lord, patrząc bystro Ralfowi w oczy. Miał minę aktora, który doskonale zdaje sobie z tego sprawę, że gra rolę nieodpowiednią, lecz mimo wszystko zdecydowany jest nie zrezygnować ze zwycięstwa i odegrać ją konsekwentnie do końca. Do tego niemiłego uczucia dołączała się świadomość przegranej zakładu, uczucie przykre nawet dla najbogatszego człowieka.

— Ależ byłby to znakomity kawał — dodał nowelista.

— Absit omen! — dodał Ralf. — Nie wywołujcie panowie wilka z lasu.

— Przyzna pan jednak, że byłaby to niebывała okazja przyłapania go na gorącym uczynku — powiedział adwokat Kingsmill. — A nawet licowałoby to z charakterem owego bandyty zjawić się nieustraszenie w jaskini lwa, odwiedzić samego prezesa klubu kryminologów i w dodatku wybrać właśnie ów wieczór, w którym klub znajduje się w komplecie.

W wycieczce tej brzmiało znacznie więcej wewnętrzznego przekonania i świadomości sytuacji, aniżeli w słowach naszego wytwornego gospodarza. Akcent ten należało jednak położyć na karb fachowej sztuki maskowania się doświadczonego obrońcy. Lecz lordowi Thornaby bynajmniej nie uśmiechała się ewentualność, poruszona przez prawnika, a która była właściwie kontynuowaniem gry przez niego rozpoczętej. To też nagle przemówił do swego marszałka dworu:

— Panie Legett, proszę zaglądnąć, czy wszystkie pokoje na górze są pozamykane i czy w pokojach panuje normalny porządek.

To — doprawdy, nieprzyjemna myśl, która wyległa się w mojej czy też w pańskiej głowie, panie Kingsmill — dodał nasz gospodarz, starając się z niedającym się ukryć wysiłkiem przybrać znowu uprzejmą maskę. — Nie przypominam sobie, kto sprowadził nasz temat z bystrych i porywających nurtów morderstwa na grząskie wody włamania. Gdyby ziściło się wasze życzenie, moi panowie, byłibyśmy nieuchronnie i gruntownie ośmieszeni. — Mr. Raffles, czy zna pan arcydzieło De Quiceya „Morderstwo traktowane jako sztuka“?

— Nie przypominam sobie dokładnie, lecz zdaje mi się, że czytałem tę książkę — odparł Ralf niezdecydowanie.

— To niech ją pan koniecznie przeczyta, a przekona się pan, że jest to najbardziej wyczerpujące i ciekawe opracowanie tego interesującego tematu. No i cóż, Legett? — zapytał wchodzącego właśnie majordomusa.

Sapiąc i kurczowo łapiąc oddech podszedł Leggett do swego pana. (Dotychczas nie zauważyłem, że starszek cierpiał na astmę).

— Wasza wysokość wybaczy, lecz mam wrażenie, że wasza wysokość zapomniał...

— Co zapomniałem, jeśli wolno zapytać, mój kochany? — Przesadnie słodki, jak gdyby do skoku zaczajony głos lorda dziwnie odbijał się od zachrypłego głosu starca.

— Milord zapomniał widocznie, że zamknął tak zewnętrzne jak i wewnętrzne drzwi garderoby — zdołał wreszcie wyjąkać nieszczęśliwy Legett. — Sam byłem na górze ,aby się o tem przekonać i za-

stałem tak jedne jak i drugie drzwi zamknięte od wewnątrz!

Na te słowa okazał wytworny rozkazodawca więcej jeszcze przerażenia, aniżeli służący, który widocznie stracił zupełnie panowanie nad sobą. Na czole, rasowem, władcem czole arsytokraty nabrzmiały żyły, jak gdyby lada chwila miały pęknąć, policzki omal, że nie uległy naporowi wzburzonej krwi. — W tej chwili lord zapomniał najwidoczniej o obowiązkach gospodarza i jak oparzony wybiegł z pokoju. Za nim pobiegli goście, nie zważając na dobry ton.

Ralf okazywał zdenerwowanie tak samo żywe, jak my wszyscy, a nawet powiedziałbym, że jeszcze nas prześcignął. Prawnik z anielskim uśmiechem ubiegał się na wyścigi ze mną o uzyskanie przedostatniego miejsca w pochodzie gości. Wreszcie udało mi się go zwyciężyć. Za nami, niby tylna straż honorowa postępowali, sapiący marszałek na czele służby. Nasz bezceremonjalny literat pierwszy ofiarował swoje rady i usługi.

— Wylamanie drzwi od zewnątrz jest w tym wypadku zupełnie bezcelowe — wołał literat. — Prawdopodobnie zniszczymy drzwi, lecz nie zdołamy ich otworzyć. Milordzie, czy w domu jest drabina sznurkowa?

— Prawdopodobnie musi być przygotowana na wypadek pożaru — odparł niepewnie lord, podczas gdy wzrok jego błądził po naszych twarzach. — Gdzie jest schowana, panie Legett?

— William przyniesie ją w tej chwili, milordzie, odpowiedział służbiście marszałek.

Jak wiewiórka pobiegły dwie opięte w jedwabne pończochy muskularne nogi na górę.

— Nie musi jej znosić ze strychu — zawołał zde-

nerwowany poeta. — Wystarczy spuścić ją przez okno strychu na okno pokoju lorda, a ja zejść po niej i wejść do pokoju. Zobowiązuję się niezwłocznie otworzyć jedno lub drugie drzwi, dłutem i świdrem.

Zamknięte drzwi, o których była mowa, znajdowały się w prawym kącie platformy, którą obecnie zajmowała nasza gromadka. Lord Thornaby uśmiechał się do nas kwaśno, odnosząc się do literata, jak myśliwy do psa gończego.

Jak to dobrze, że mamy tutaj naszego przyjaciela Parringtona — rzekł z uśmiechem lord. — Wszak okazuje on o wiele więcej zapału dla sprawy i doświadczenia w tym kierunku, aniżeli ja, mimo że jestem prezesem klubu kryminologów i sprawa ta zasadniczo dotyczy mnie jednego.

— Jest to woda na jego młyn — uczynił Ralf uwagę dobrodusznym tonem.

— Kto wie, czy pan nie odgadł! Być może, iż całą tę historję przeczytamy w następnym jego romansie.

— Spodziewam się jednak, że przedtem usłyszymy o niej w sądzie karnym — odparł Parrington.

— Słusznie, słusznie! Jak to pięknie, jeżeli wraz z poetycznym umysłem łączy się praktyczność i zapał do czynu! — dodał dziwnym tonem Ralf.

Jakkolwiek uwaga ta wydawała mi się w ustach Ralfa dosyć banalna, to jednak ton, w jakim wypowiedziane były te słowa, uderzył mnie dziwnie. — Wyjątkowo pojąłem znaczenie tego tonu: ze słów Ralfa przebijała wdzięczność za to, że literat, pragnąc wyświecić tę sprawę, usiłował tem samem niejako oczyścić go z zarzutu. Nagle w moim umyśle zrodziła się myśl dziwna: kto wie, a może Parrington, który był wtajemniczony w spisek na Ralfa,

pragnął wykorzystać podejrzenie przeciw niemu skierowane i sam upiec na tym ogniu swoją pieczeń? A jeżeli był to drab skończony, który chciał dla własnego zysku wykorzystać nastrój przeciw Ralfowi? Już znowu bez namysłu zmieniłem o nim moje zdanie, gdy wtem usłyszeliśmy jego kroki w garderobie lorda. Z okrzykiem tryumfu powitał nas i w kilka chwil później drzwi garderoby były już wyłamane. Przed nami stał Parrington, zgrzany, i rozczochrany, uzbrojony w żelazne dłuto.

Wewnątrz panował nieład nie do opisania. Dokoła sterczały porozrzucane szuflady, których zawartość leżała porozsypywana na dywanie. Szafy wyłamane, puste kasety na kołnierze i spinki świeciły otwartymi wnętrzami. Zegar, owinięty w ręcznik, leżał na krześle, jak gdyby w ostatniej chwili porzucony przez włamywacza. Z otwartej, wmurowanej w ścianę szafy, wyzierało wieko stalowej skrzyni. Wystarczyło spojrzeć na przerażeniem wykrzywioną twarz lorda Thornaby, aby przekonać się o tem, że skrzynię zrabowano doszczętnie.

— Cóż za komiczny wybór! — rzekł lord, starając się opanować przerażenie i trwogę. Wkrótce udało mu się przybrać swą twarz buldoga w maskę humoru. — Jak widzę, zlakomił się złoczyńca na mój płaszcz i insygnia para Anglii.

W milczeniu otoczyliśmy gospodarza, jak przystało w takich okolicznościach. Spodziewałem się, że nasz literat zdradzi się jednak i okaże swoje niezadowolenie, iż znalazł się ktoś, kto go ubiegł, lecz nawet on udawał żal i przerażenie — a może odczuwał je istotnie?

— Zapewne każdy z was, moi panowie, myśli w tej chwili, że wybrałem nieszczególne miejsce do przechowywania odznak mojej godności i pamiątek rodzinnych — lecz gdzież u licha miałem je umie-

ścić? — rzekł lord Thornaby. — Teraz dostaną się one w ręce jakiegoś bandyty, który zaszarga moją nieskalaną dotychczas tarczę herbową. Na przyszłość postaram się jednak lepiej troszczyć o bezpieczeństwo moich klejnotów i insygniów rodowych.

I z zupełnem opanowaniem sytuacji zaczął dowcipkować, jak gdyby to nie on był poszkodowany. Żaden z nas nie przypuściłby nigdy, że małowówny ten człowiek, przed chwilą tak przerażony, potrafi swobodnie przejść nad wypadkami tego rodzaju do porządku dziennego. Lecz przyczyna tego dobrego humoru dopiero potem wyszła na jaw. Po chwili opuściliśmy pokoje lorda i oddaliśmy teren działaniu policji. Lord Thornaby ujął Ralfa pod ramię i tak schodzili razem ze schodów. Jego krok stał się giętki i elastyczny, powierzchowność zyskała wiele, nawet jego dobry humor stracił poprzednią złośliwość i sarkazm. Zaraz odgadłem, jaki ciężar spadł z gościnnego serca naszego gospodarza.

— Pragnę gorąco, aby ta przygoda dopomogła nam do zaznajomienia się z tym panem, o którym poprzednio była mowa i do stwierdzenia jego identyczności — odezwał się lord — wszystko bowiem wskazuje na to, że sprawcą włamania jest ten sam człowiek, o którym poprzednio przy stole była mowa.

— O, i mnie się tak wydaje — odparł Ralf z szelmowskim uśmiechem, patrząc na mnie z pod oka.

— Ja zaś jestem o tem niezłomnie przekonany — rzekł lord Thornaby. — Do takiego zuchwalstwa, które nie ma równego sobie w dziejach kryminalistyki, tylko on jest zdolny. Już sam fakt okradzenia domu prezesa związku kryminologów w czasie zgromadzenia członków, stanowi dla mnie wyraźny dowód, że moje przypuszczenia są uzasadnione. Wy-

darzenia tego nie należy przypisać jedynie zbiegowi okoliczności, lecz wyrafinowanej, obliczonej akcji, która miała w stosunku do nas być niejako moralnym policzkiem, wymierzonym związkowi kryminologów. Taki postępek nie wpadłby na myśl żadnemu z przestępców angielskich, tylko właśnie jemu.

— Niewątpliwie ma pan rację — dodał z niewinną, obojętną miną Ralf. Być może, że do zagrania roli obojętnego widza skłonił go wyraz mego spojrzenia, które rzuciłem mu, pragnąc go wszelkim sposobem ostrzec przed niebezpieczeństwem.

— Następnym dowodem, że moje przypuszczenia są słuszne, jest fakt, że żaden włamywacz na całym świecie nie umiałby po tak genialnie przeprowadzonym planie dać swemu dziełu tak olśniewającego zakończenia — ciągnął dalej lord Thornaby. — Jestem przekonany, że pan komisarz policji jest tego samego zdania.

W międzyczasie bowiem na arenie wypadków ukazała się nowa osoba: komisarz policji, który zapukawszy, wszedł właśnie do pokoju bibliotecznego.

— Przepraszam, nie dosłyszałem, co wasza lordowska mość raczyła zauważyć...

— Chciałem powiedzieć, że sprawca tego humorystycznego zamachu jest niewątpliwie identyczny z dżentelmenem-włamywaczem, który przed kilku laty obrabował w tak pomysłowy sposób lady Melrose, pozbawiając ją biżuterji i który zdołał w rafinowany i sprytny sposób opróżnić sklep tego nieszczęsnego złotnika Danby'ego.

— Mam wrażenie, że domysł waszej lordowskiej mości jest najzupełniej trafny.

— I że jest to ten sam niezrównany i wytworny spryciarz, który skradł lordowi Timbleyowi klej-

noty rodzinne, aby je potem, jak panu zapewne wiadomo, odesłać lordowi z wyrazami ubolewania.

— Być może, że z waszą lordowską mością postąpi również elegancko.

— Nie sędzę, aby się w tym wypadku tak stało — odparł lord Thornaby. — Nie mam jednak bynajmniej zamiaru wylewać gorzkich łez z powodu strat poniesionych, lecz z całego serca użyczam temu drabowi tych wszystkich bogactw, któremi zdołał się tutaj obłowić. Cóż to znowu nowego — zapytał lord, zwracając się do komisarza, który uczynił zdziwioną minę, jak ktoś, kto dokonał decydującego odkrycia.

— Stwierdzam, że kradzież popełniono o godzinie 8.30.

— To niemożliwe! Skądżeż na Boga może pan wiedzieć o tem z zupełną pewnością?

— Ponieważ znalazłem właśnie zegar, na który widocznie ptaszek miał apetyt, lecz mu przeszkodzone. Zegar ten stanął właśnie na godzinie 8.30, to znaczy, że o tej porze zawinięto go w ręcznik, celem zabrania go ze sobą.

— Czy przesłuchał pan mojego służącego?

— Tak jest, mylordzie. Twierdzi stanowczo, że przebywał w pokojach mylorda aż do godziny 8.15.

— Przypuszcza pan zatem, że złoczyńca ukrywał się w domu?

— Tego nie mogę powiedzieć z całą stanowczością. W każdym razie jest rzeczą wykluczoną, aby mógł jeszcze tutaj przebywać, ponieważ w rachubę wchodzi jedynie pokój sypialny lub garderoba. Te zaś obydwa pokoje przeszukaliśmy jak najdokładniej, lecz bez żadnego rezultatu.

Po chwili komisarz pożegnał nas, widocznie zadowolony z wyniku swojej misji. Lord zaś zwrócił się znowu do nas:

— Zależało mi przedewszystkiem na stwierdzeniu

tego właśnie faktu, ponieważ byłem przekonany, że wszystko to stało się z powodu niedbalstwa mojego służącego. Rad jestem, że sprawa przedstawia się inaczej i że mój służący jest niewinny.

I ja powinienem się być cieszyć z takiego obrotu sprawy, ponieważ moje podejrzenia względem naszego literata, jako sprawcy, okazały się zupełnie nieuzasadnione. Jego zachowanie jednak mogło mnie w błąd wprowadzić. Nie miałem o to do niego urazy, lecz mimowoli odczuwałem pewnego rodzaju rozczarowanie. Nie ulega wątpliwości, że jakkolwiek stanowczo należało wykluczyć wszelką możliwość, jakoby on był sprawcą, to jednak moje przypuszczenia, iż nasz literat chciał upiec na tym ogniu swoją pieczeń, były najzupełniej umotywowane. Jego zachowanie się zmieniło się całkowicie od chwili otwarcia nam drzwi do pokoju toaletowego. Z poufale wesołego przeobraził się Parrington w nadąsanego i mrukliwego. Teraz dopiero przypominam sobie dokładnie, że i lord Thornaby tolerował tę poufałość tak długo, jak długo spodziewał się odnieść z tego korzyść. Z chwilą tą jednak, gdy misja jego gościa skończyła się, nagle i niespodziewanie zmienił front i stał się nieprzystępny i opryskliwy.

Koniec końcem jednak Parrington nie uchodził w moich oczach za winowajcę, lecz i Ralf temsamem został zrehabilitowany w mniemaniu tych, którzy do niedawna byli przekonani, że swemi podejrzeniami utrafili w samo sedno. Przez niepojęty, cudowny zbieg okoliczności oczyścił się całkowicie ze stawianych mu zarzutów w mniemaniu tych, którzy do niedawna spodziewali się, że wkrótce już zdołają wymierzyć przeciw niemu cios ostateczny. Cud ten jednak stał się faktem dokonany i ujawniał się na twarzy każdego z obecnych, nawet w brzmieniu głosu kryminologów. Nie mam naturalnie na myśli

pana Ernesta, którego wogóle nie wtajemniczono w spisek przeciw Ralfowi. Ten filuterny kryminolog stracił w tem pierwszym zetknięciu się ze zbrodnią humor i pewność siebie i przyglądał się dalszemu biegowi wypadków trwożnie i osowiale. Pozostali trzej towarzysze na wyścigi starali się poprawić błąd popełniony. Słyszałem, jak adwokat Kingsmill z największą, na jaką go stać było uprzejmością, zapraszał mojego przyjaciela, podając mu najodpowiedniejszą porę. Zapewniał Ralfa, iż nie omieszka mu dać znać o każdym interesującym wypadku zbrodni i zarezerwuje mu miejsce na sali rozpraw. Parrington plótł coś o dedykacji Ralfowi swoich dzieł zbiorowych i oświadczeniem tem zjednał sobie znowu względy gospodarza. Co się tyczy samego lorda Thornaby, to obita mi się o uszy nazwa klubu „Ateneum“, najbardziej ekskluzywnego i arystokratycznego w Londynie i paragraf 2, warunkujący przyjęcie na członka. Obydwaj panowie siedzieli jednak tak blisko siebie, że nie mogłem słyszeć dokładnie, o czem była mowa.

Policja ciągle jeszcze kręciła się po pokojach na piętrze, badając przebieg i teren zbrodni, gdy wreszcie rozeszliśmy się w rozmaitych kierunkach, syci wrażeń i chwały. Z trudem udało mi się namówić Ralfa do wstąpienia do mojego mieszkania, mimo, że jak poprzednio wspomniałem, mieszkałem w pobliżu pałacu lorda Thornaby. Wreszcie ustąpił, ponieważ uważał prowadzenie rozmowy na temat włamania za mniej ryzykowne w zamkniętem mieszkaniu, aniżeli na ulicy. Zaledwie znaleźliśmy się u mnie, opowiedziałem mu o niebezpieczeństwie, jakie groziło mu u lorda Thornaby. Przedstawiłem mu cały przebieg wypadków, począwszy od sceny przed bramą, gdy udało mi się podsłuchać tych kilka słów, które objaśniły mnie o sytuacji, wykazując,

jak krucho było jego bezpieczeństwo i jak łatwo mógł wpaść w kabałę. Jemu było to wszystko naturalnie najzupełniej obojętne, ponieważ nie przeczuwał, co się święci, lecz powinien mieć to na względzie, jakie męczarnie przechodziłem, wiedząc o wszystkim, a nie mogąc niczemu zapobiec. Było nas tak mało przy stole, że nie byłem w stanie nawet palcem ruszyć, aby go ostrzec.

Raffles pozwolił mi się wypowiedzieć, wreszcie, zaciągnąwszy się ulubionym papierosem, odrzucił niedopałek i zdobył się wreszcie na replikę.

— Nie, dziękuję ci, paliłem już dosyć. Chcę teraz odpowiedzieć na stawiane mi przez ciebie zarzuty, mój Bunny. Sądzisz zatem, przyjacielu, że od początku nie przejrzałem ukartowanej gry tych nadętych głupców?

Przyznam się, że wątpiłem w to, aby Ralf znał sytuację jeszcze przed kolacją, lub przeczuwał zasadzkę. Dlaczego zatem nie uważał za stosowne uprzedzić mnie o tem? Byłem na zupełnie fałszywym tropie, jak się okazało z przebiegu całej sprawy. — Z oburzeniem powiedziałem mu to w oczy. Wszak nie sądzi chyba, abym ja był na tyle naiwny i wierzył, iż naraża swe bezpieczeństwo ot, tak sobie, dla emocji lub rozrywki! A zresztą cóż za sens miałyby takie wciąganie mnie w niebezpieczeństwo, jedynie dlatego, abym się przyjrzał jego szaleństwu?

— Zapominasz o tem Bunny, że mogłeś mi się przydać. Nie wiele już do tego brakowało!

— Czyż moja uczciwa twarz miała stanowić dla ciebie rękojmię zaufania kryminologów i gwarancję bezpieczeństwa?

— Twoje towarzystwo zawsze przynosiło mi szczęście i napawało mnie otuchą w powodzenie przedsięwzięcia. Ani nawet nie wiesz, jakim bodd-

cem do czynu jest dla mnie twoja obecność w takich razach.

— O ile cię dobrze rozumiem, stanowią twoją galerję i suflera w jednej osobie?

— Doskonale to określiłeś, Bunny! Zapominasz jednak, że bynajmniej nie wchodził tu w grę jakiś pusty żart dla zabicia czasu, lecz że ryzykowałem poważną stawkę, mój chłopcze! Każda chwila groziła niebezpieczeństwem, a poczucie, że w razie groźnego zwrotu w sytuacji mogłem liczyć na twą pomoc i to liczyć niezawodnie, miało dla mnie w danych okolicznościach zasadnicze znaczenie.

— Ależ na co mogłem ci się przydać, Ralfie?

— Na to, aby ułatwić mi przedarcie się przez zastęp wrogów i ewentualnie ucieczkę — odparł, zaciskając usta z wyrazem zawziętej stanowczości, przyczem z szarych jego oczu błysnął promień wesołości i łobuzerstwa.

Zdumiony zerwałem się z krzesła.

— Chyba nie chcesz powiedzieć przez to, że włamanie u lorda to twoja sprawka?

— Tak jest, moja i niczyja zresztą, Bunny.

— Ależ to niemożliwe, wykluczone! Przecież w chwili krytycznej siedziałeś razem z nami przy stole. Chyba miałeś współnika, specjalnie wynajętego celem zmylenia śladów, o co zresztą już nie pierwszy raz cię podejrzwam.

— Wierzaj mi Bunny, że jeden mi najzupełniej wystarczy — odpowiedział Ralf suchym tonem, sięgając po drugi papieros. I ja przyjąłem papierosa z jego papierośnicy, gdyż, jak wiedziałem z doświadczenia, obrażać się na Ralfa nie miało najmniejszego celu. Przytem nie mogłem zlekceważyć jego uwagi — a nuż ten szatański człowiek miał słusność?

— O ile istotnie ty osobiście jesteś wykonawcą tej całej niesamowitej afery, — rzekłem wreszcie, — nie będę naturalnie krytykował sposobów, za pomocą których ci się to udało. Dokazałeś rzeczywiście cudów nadludzkich. Pokonałeś nie tylko bardzo groźnego przeciwnika, który postawił sobie za zadanie zgubić cię nieuchronnie, lecz ponadto wpoiles w spiskowców przekonanie, że cię skrzywdzili, podejrzewając niesłusznie. Jest to dla ciebie okoliczność bardzo ważna ze względu na to, że teraz będą się starali naprawić wyrządzoną ci w ich mniemaniu krzywdę, zabiegając o twe względy. To wszystko, co ci tu powiedziałem, opiera się jednak na tem jednym słóweczku „gdyby“. Nie sądzisz bowiem, abym uwierzył w to, że ty sam, bez niczyjej pomocy, dokonałeś tego wszystkiego. Przysięgam na świętego Jerzego — zawołałem ze szczerym zapałem — że mnie jest zupełnie obojętne, jak to uczyniłeś, lub kto ci w tem dopomógł. Tak, czy owak, jest to najwspanialszy czyn, na jaki zdobyłeś się w czasie całej twojej kariery włamywacza!

W każdym razie nigdy jeszcze nie widziałem Ralfa tak promieniejącego i zadowolonego ze siebie, jak w tej chwili. W oczach miał ten miły wyraz swawoli, którego nie widziałem u niego od dawnego czasu.

— Jeżeli mnie posłuchasz i nie będziesz mi się sprzeciwiał, dowiesz się o wszystkim, aż do najdrobniejszych szczegółów — rzekł mi w odpowiedzi.

- Gadaj, gadaj prędko, umieram z ciekawości!
- Zgaś światło!
- Wszystkie żarówki?
- Ma się rozumieć.
- Dobrze, opowiadaj zatem!

ZWIĄZEK ZYM. PRAC. POLSKICH
POLIGRAFICZNEGO
W POLSCE
CZŁONK. W. BOCHNI
OKRĘG KRAKÓW

— A teraz idź do okna, wychodzącego na podwórzec i podnieś storę.

— No i cóż dalej?

— Zaraz, zaraz, idę już do ciebie. Wspaniale! — O tej porze nigdy jeszcze nie wyglądałem przez twoje okno! Widzisz? To małe okno w dachu przeciwnielego domu jest jeszcze oświetlone.

Mówiąc to wskazał na małe okienko, które widniało zdala, jak migotliwa, jasno-żółta plama. Wychyliłem się przez otwarte okno, aby przyglądnąć się dokładnie przedmiotowi obserwacji Ralfa.

— Chyba nie zechcesz wmówić we mnie, że to jest dom lorda Thornaby? — zawołałem, nie orjentując się wcale w sytuacji widoku z mojego okna na podwórze.

— A właśnie, że tak, niebożątko. Przyglądnij się tylko domowi przez lunetę polową, która oddała mi już niejedną usługę u ciebie.

Zanim jednak nastawiłem szkła, już wiedziałem wszystko. Nagle otwarły mi się oczy. Pojąłem jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, dlaczego w ostatnich czasach Ralf tak często przesiadywał u mnie, a zwłaszcza dlaczego zastawałem go najczęściej między godziną 7-mą a 8-mą wieczorem, pograżonego w jakichś tajemniczych kontemplacjach, z tą właśnie lunetą w ręku. Uważnie wyjrzałem przez okno. Jasna plama, którą wskazał mi Ralf, migotała, jak wielki robaczek świętojański. Trudno mi było wglądać przez wskazane okno do wnętrza, lecz cienie osób, kręcących się po pokoju, odcinały się wyraziście od tła spuszczonej rolety. Zdawało mi się, że widzę nawet drabinę odznaczającą się ciernią nitki na ścianie domu, ową drabinę, po której spuścił się nieustraszony Parrington, aby oddać mi wszystkim przysługę.

— Jesteś wreszcie na właściwym tropie — rzekł Ralf, obserwując moje zdumienie. — Jest to właśnie to samo okno, które stanowiło przedmiot mych studiów z tej oto placówki. Za dnia możesz widzieć wszystkie okna, wychodzące na tę stronę domu na innych piętrach. Między innymi znajduje się również okno tego pokoju, w którym przebiera się lord w strój galowy. Jest to poprostu szczęśliwy zbieg okoliczności. Spostrzeżenia tego dokonałem dosyć szybko. Pewnego dnia wczesnym rankiem — spałem jeszcze w najlepsze — widziałem lorda, poddającego się zabiegom upiększającym swego fryzjera. Wieczorem zatrzymuje się zazwyczaj kamerdyner lorda nieco dłużej w pokoju, aby uporządkować rzeczy. Musiałem, chcąc usunąć nieporządanego świadka, użyć podstępu. Studjując życie prywatne tego szlacheckiego męża, stwierdziłem, że oddał swoje serce pewnej nadobnej dziewczynie z sąsiedztwa. Zatelefonowałem mu zatem w jej imieniu, że oczekuję go przed domem lorda o godzinie 8-ej wieczorem. Naturalnie nieszczęsna ofiara miłości nie przyznała się do tego wykroczenia, na co naturalnie liczyłem. Aby utwierdzić lorda i policję w mniemaniu, że biedny chłopiec spełnił swój obowiązek i był o oznaczonej porze w pokoju, uporządkowałem pokój nienagannie, zanim jeszcze zabrałem się do mojej roboty i dopiero potem doprowadziłem go do stanu, w którym go wszyscy widzieliście.

— Jednej rzeczy nie rozumiem: kiedy znalazłeś czas na to wszystko?

— Pochowanie części garderoby lorda zabrało mi zaledwie minutę czasu. Zegar nastawiłem naprzód na godzinę 8.20, aby w ten sposób zyskać alibi. Jest to zresztą stary podstęp, aby nastawiać zegar stosownie do sytuacji. Przyznasz jednak, że urządziłem

to zęcnie i że wyglądało to tak, jak gdyby zegar przygotowany był przez złodzieja do zabrania go. W ten sposób mogło się zdawać, że włamania dokonano wówczas, gdy siedzieliśmy wszyscy przy stole. W rzeczywistości sprawa przedstawiała się w ten sposób, że w jednej minucie wyszedł z pokoju toaletowego lord Thornaby, za nim bezpośrednio jego służący, ja zaś dostałem się do pokoju w następnej minucie.

— Przez okno?

— Ma się rozumieć. Czekałem na dole w ogrodzie. Posiadanie ogrodu w mieście jest z wielu względów kosztownym zbytkiem. Widziałeś mur, otaczający ogród i małą zgrabną bramkę od tyłu? Otóż zamek w tej furtce był poniżej wszelkiej krytyki.

— Ale jak dostałeś się do okna? Znajduje się wszakże na pierwszym piętrze?

— Zaraz ci to wytłómaczę. — Mówiąc to, odkręcił Ralf rączkę swojej laski i wyjął z niej kilka coraz to cieńszych lasek bambusowych. Następnie wyciągnął z kieszeni gruby hak żelazny i umocował go na jednym końcu laski, podczas gdy do drugiego przywiązał cieniutką, mocną linkę manilową. Linka ta była w odstępach zaopatrzona w haki do wchodzenia po niej.

— Spodziewam się, że teraz rozumiesz już wszystko. Hak ten przyczepiam tu oto, — Ralf rozpiął kamizelkę i pokazał mi pas, zaopatrzony w kółcho — zaś drugi koniec zaczepiam o pierwszy lepszy przedmiot, wystający z fasady. W tym wypadku nie byłem w kłopotcie, ponieważ z łazienki lorda wystaje na zewnątrz fasady oficynowej kilka rur wodociągowych, których istnienie stwierdziłem, dokonując oględzin domu za dnia, w przebraniu.

— Linkę tę sporządziłeś zatem wyłącznie w tym

celu, aby wystrychnąć panów kryminologów na dutków?

— Mój drogi Bunny, jak wiesz, jestem zasadniczym przeciwnikiem wszelkiego używania drabinek w naszym zawodzie. Postanowiłem sobie jednak, że jeżeli będę kiedykolwiek zmuszony do wdrapywania się, użyję w tym celu drabinki własnego systemu, najlepszej, na jaką się zdobędę. Ta oto drabinka jeszcze nieraz może mi się przydać.

— Jak długo przygotowywałeś się do tej całej historii?

— Użyłem na to tyle czasu, aby oderwać się od matki ziemi i na nią powrócić. Dzisiaj wystarczyło mi nie całe pięć minut.

— Co?! Chyba ne zechcesz mi wmówić, że zdążyłeś w ciągu pięciu minut wydrapać się do góry, spenetrować mieszkanie, wszystkie szafy i szafeczki, wylamać ów kufer z płaszczem i insygniami para Anglii, zaryglować wszystkie drzwi i wynieść się cichaczem wraz z zabranym łupem?

— Ani mi się śni. Któż ci to powiedział?

— A zatem wytłómacz mi, jak dokonałeś tego wszystkiego?

Nocy poprzedniej urządziłem próbę generalną i wówczas zabrałem ze sobą wszystko, na co miałem ochotę i co mi było potrzebne. Przez cały ten czas chrapał nasz wytworny przyjaciel w najlepsze w przyległym pokoju. Sam przyznałeś, że spisałem się nieźle. Nie tylko bowiem wziąłem ze sobą wszystko co uznałem za łup odpowiedni, lecz także pozostawiłem teren działania w nieskazitelnym porządku. Jako dobrze wychowany młodzian, pozasuwałem wszystkie szuflady, pozamykałem wszystkie kasety, chowając je na swoim miejscu, aby pokój pozostać w tym stanie, w jakim go zastałem. Natu-

ralnie czynność ta zajęła mi znacznie więcej czasu. Dzisiaj natomiast zainscenizowałem tylko włamanie, do czego wystarczyło powyrzucać kilka kasetek, otworzyć i pozostawić w nieładzie kilka szafek i szuflad, aby upozorować pospiech i obawę przed przyłapaniem. Na tem polegała cała kwintesencja mojego kawału. Nie tylko bowiem przekonałem kochanych kryminologów, że to nie ja dokonałem tego włamania i że było to fizyczną niemożliwością, lecz wpołem w nich przekonanie, że istnieje drugi taki osobnik, który jest w stanie dokazać tej sztuki, lecz że w zaślepieniu swoim wypuścili go z rąk i zamienili go ze mną.

Myślałby kto może, że wpatrywałem się w mojego przyjaciela w niemym podziwieniu, zdumiony treścią jego słów. Lecz ja już dawno wyszedłem z tego stadium. Gdyby mi Ralf powiedział, że w tej chwili udało mu się włamać do banku angielskiego lub nawet do pałacu królewskiego, nie wątpiłbym w to ani chwili. Dla mnie byłoby to zupełnie naturalne, gdybym w tej chwili poszedł z nim do jego mieszkania i znalazł w jego pudle na kapelusze klejnoty koronne. Sięgnąłem po palto z zamiarem odprowadzenia go, lecz Ralf ani słyszeć nie chciał tego wieczoru o mojem towarzystwie.

— Nie, daj spokój drogi Bunny, obecnie pragnę jedynie snu i wypoczynku. Jestem przesycony nazbyt emocjonującymi wrażeniami. Prawdopodobnie nie wierzysz mi i uważasz mnie za potwora, pozbawionego uczucia wdzięczności, lecz wierzaj mi, że tych pięć minut nawet dla mnie były nazbyt męczące i wyczerpujące. Zaproszenie wystosowane było na godzinę trzy kwadransy na ósmą z uwagą, że punktualnie o ósmej zasiądzie się do stołu, a ja — wyznam ci to szczerze, — brałem w rachubę, że spo-

trzebuję dwa razy tyle czasu, niż istotnie zużyłem. Lecz żaden z gości nie zjawił się przed godziną 7.50, wobec czego i lord nie okazywał zbytniego pośpiechu. W każdym razie nie chciałem budzić podejrzeń i przyjść ostatni. Istotnie udało mi się zjawić się w salonie punktualnie pięć minut przed ósmą. Kosztowało mnie to jednak więcej nerwów, aniżeli przypuszczałem.

Najciekawsze jest jednak zakończenie tej całej historii, a mianowicie: co uczynił Ralf z szatą para Anglii, dostojnego Earla of Thornaby. Opowiadał mi o tem, zbierając się już do odejścia. Postąpił mianowicie z insygniami lordowskiemi zupełnie identycznie, jak nam opowiadali przy kolacji członkowie klubu kryminologów, gdy była mowa o owym tajemniczym złoczyńcy, który skradł klejnoty pewnego arystokraty angielskiego i następnie mu je odesłał. W ten sposób udało mu się tem bardziej wpoić w nich przekonanie, że sprawcą włamania u lorda jest ów nieznany włamywacz. Obawiając się w tym wypadku skorzystać z usług jakiejś firmy spedycyjnej, a tem mniej poczty, zawiózł Ralf drogocenny fant do garderoby dworca kolejowego Charing Cross i przesłał pocztą lordowi Thornaby receptis pakunkowy.

ROZDZIAŁ V.

Niesamowita noc.

Zbliżał się wkrótce termin pewnego wesela, którem interesowaliśmy się potajemnie wraz z Ralfem. Narzeczona mieszkała u swojej niedawno owdowiałej matki, w starym domu nad brzegiem Moli, prowadząc cichy i jednostajny tryb życia. Narzeczony należał do znanej i zamożnej rodziny, którą, podo-

bnie, jak rodzinę oblubienicy, żywiła od stuleci ta sama żyzna podmiejska ziemia. Ze wszystkich stron nadeszła dla narzeczonych taka moc drogocennych upominków ślubnych, że wystawione na pokaz gości zaproszonych, stanowiły istną fortunę. Zaangażowano nawet specjalnego detektywa, celem strzeżenia skarbów i zaasekurowano je przeciw kradzieży. W jaki sposób zdołał Ralf zdobyć te wszystkie wiadomości, nie mogę już dzisiaj powiedzieć. Wiem tylko tyle, że okazały się zupełnie ściśle aż do najdrobniejszych szczegółów. Chwilowo jednak nie bardzo interesowałem się tą całą sprawą, ponieważ Ralf zapewniał mnie, że jest to zadanie, nadające się do wykonania tylko dla jednego człowieka, którym naturalnie chciał być on sam. Dopiero w ostatniej chwili zmieniła się sytuacja, ponieważ Ralf został wybrany do reprezentacyjnej drużyny krotkietowej, jako członek słynnej „Jedenastki“. Mecz ten miał zdecydować o mistrzostwie Anglii w krotkiecie.

Natychmiast zorientowałem się w sytuacji i powziąłem pewien zamiar. Postanowiłem skorzystać ze sposobności i przeskoczyć kilka szczebli w mojej karierze włamywacza, wykazując moc zdolności w tym kierunku. Już od kilku lat Ralf nie miał sposobności przysłużyć się ojczyźnie na polu sportowym i nawet nie spodziewał się tego zaszczytu, że zaproszą go do wzięcia udziału w rozgrywce reprezentacyjnej. Radości jego nie umniejszała nawet kolizja, w jakiej się znajdował ze względu na planowaną imprezę. Datę meczu ustalono na trzeci czwartek, piątek i sobotę lipca, zaś tamto drugie przedsięwzięcie miało być wykonane we czwartek wieczór, w dniu następującym po uroczystości wesela w East Moseley. Ralf musiał zatem zdecydować się

między jedną a drugą emocją. Tym razem wyjątkowo pomogłem mu w powzięciu decyzji. Przekonywująco i logicznie wyjaśniłem mu, że podejmuję się zastąpić go przynajmniej na mniej zaszczytnej placówce włamywacza. Zaapelowałem do jego patriotyzmu, błagając go we własnym i ojczyzny imieniu, aby godnie sprostął swoim obowiązkom.

Jak już wyżej wspomniałem, argumenty moje znalazły tym razem posłuch. Raffles telegraficznie zawiadomił członków drużyny „Jedenastki“, że przyjmuje zaproszenie. Odpowiedź jego nadeszła do klubu w wilję rozgrywki. Niezwłocznie udaliśmy się do Esher i przestudjowaliśmy jak najdokładniej każdy cal terenu operacyjnego, używając metody właściwej wyłącznie Ralfowi. O godzinie 6-ej wieczorem otrzymałem jeszcze ostatnie wskazówki działania od mojego przyjaciela, oczekującego w wagonie jadącym sygnалу odjazdu pociągu.

— Musisz mi przyrzec to jedno, drogi Bunny, że nie weźmiesz ze sobą rewolweru — przekonywał mnie szeptem Ralf. — Oto masz moje klucze. W jednej z szuflad biurką znajdziesz doskonały straszak najnowszego systemu. W ostatecznym razie zabierz go na wyprawę, choć znając ciebie, mam poważne obawy, że i tym instrumentem gotów jesteś uśmiercić jakiegoś niewidocznego wroga. A nie zamień go przypadkiem z prawdziwym, starym rewolwerem, który tam również spoczywa w zapomnieniu.

— O cóż ci chodzi?... Rzykuję wszakże jedynie własną głowę! — odparłem również przyciszonym głosem. — Nie obawiaj się Ralfie; cokolwiekby się stało, ciebie napewne nie wciągnę w matnię. Przekonasz się, że wywiążę się z zadania ku pełnemu twojemu zadowoleniu, lepiej nawet aniżeli się spo-

dziewasz i że można mi śmiało powierzyć od czasu do czasu jakąś bardziej odpowiedzialną misję. W przeciwnym razie pragnę się przekonać, na czem polega twój brak zaufania do mnie i przyczyna niepowodzeń.

Postanowiłem niezłomnie wykorzystać tym razem prawo spółki i wprowadzić w czyn moje pogroźki. Zły i zniecierpliwiony odwróciłem się na obcasie, podczas gdy Ralf opuszczał dworzec, ukazując mi zdziwione oblicze z okna szybko uciekającego pociągu. W jego wzniesionych brwiach i przenikliwym spojrzeniu malowała się troska o moje bezpieczeństwo, lecz właśnie jak na przekór opanowało mnie dziwne beztroskie uczucie pewności siebie. — Oto nareszcie nadarzyła się długo wyczekiwana sposobność, aby wykazać memu przyjacielowi, jak bardzo mnie nie doceniał. Szalony gniew ogarniał mnie na myśl o tem, że Ralf nie miał zaufania do mojej odwagi ani panowania nad sobą. Wszak nigdy jeszcze nie zdarzyło się, abym go zawiódł w stanowczej chwili! Nie opuszczałem go nigdy, ani w doli, ani w niedoli. Niejednokrotnie znajdowaliśmy się w tarapatach, lecz śmiało rzec mogę, że nieustraszenie spoglądałem niebezpieczeństwu w oczy i pod tym względem bynajmniej nie ustępuję Ralfowi. Byłem jego prawą ręką, a jednak Ralf nigdy nie poniżył naszej przyjaźni do tego stopnia, aby zepchnąć mnie do roli narzędzia. Tym razem jednak nie chciałem odegrać ani biernej roli jego adlatusa, ani też wykonawcy jego rozkazów. Nareszcie przyszła chwila, w której miałem zagrać pierwsze skrzypce i nawet dzisiaj jeszcze czułbym się szczęśliwym na myśl, gdybym wiedział, czy Ralf uświadamiał sobie, z jak bezgraniczną satysfakcją przygotowałem się do zagrania tej nowej roli.

Nazajutrz pierwszy wypadłem z pociągu, przepelnionego o tej porze publicznością teatralną i pobiegłem w stronę posiadłości w Esher. Noc była ciemna i parna. Ulica ta do dnia dzisiejszego jest ciemna i pusta, mimo, że dotarł już i do tych przedmieść ruch budowlany. Pierwsza mila ciągnie się przez wąską aleję, tworzącą w lecie istny tunel z liści. — Przez cały czas nie padł na drogę ani jeden promyk światła z okna lub latarni. Naturalnie, na tym odcinku drogi wmawiałem sobie, że prześladowa mnie jakiś niewidoczny nieprzyjaciel. Zwolniłem zatem kroku, lecz jak mi się zdawało, mój prześladowca uczynił niezwłocznie to samo. Przyspieszyłem kroku — i usłyszałem za sobą również przyspieszone stapanie tajemniczego towarzysza. Otarłem pot z czoła i ponowiłem próbę. Wkrótce jednak nabrałem przekonania, że ulegałem przez cały czas złudzeniu i że słyszałem jedynie odgłos własnych kroków. Istotnie natychmiast, skoro tylko dostałem się na właściwą drogę, echo zagadkowych kroków ustało, a na gościńcu nie zauważyłem nikogo. Zbadałem dokładnie drogę, którą miałem przebyć, co udało mi się zupełnie gładko, wyjąwszy małej przygody. Mianowicie gdy przeszedłem most na Moli i miałem właśnie skrócić na lewo, niespodziewanie stanąłem oko w oko z policjantem, krocącym cicho na gumowych podszwach. Natychmiast udało mi się opanować mój przestach. Uważałem za stosowne zagadać mego przeciwnika tytułem „pana inspektora“, lecz spotkanie to naraziło mnie na nałożenie drogi o kilkaset kroków, zanim przedostałem się na właściwą drogę.

Wreszcie wślizgnąłem się przez furtkę ogrodową na nieoświetlony, rosą wieczorną okryty gazon. — Spacer nocny w pośpiechu i zdenerwowaniu rozgrzał mnie i wyczernił to też z prawdziwą rozko-

szą rzuciłem się na ławkę pod rozłożystym drzewem, którego cień zaciemniał jeszcze bardziej nieprzebitą ciemność nocy. Odpocząłem chwil kilka, poczem rozsznurowałem buciki, celem zaoszczędzenia czasu i raz jeszcze uprzytomniłem sobie program zamierzonego postępowania z opanowaniem nerwów, które miało być godne mojego mistrza i przyjaciela. Dzisiaj dopiero dochodzę do przekonania, że moja zimna krew była sztuczna i tem się różniła od chłodnej decyzji Ralfa, czem różni się każde naśladownictwo od wrodzonego genjuszu. Małpowanie Ralfa posunąłem do tego stopnia, że zapaliłem zapałkę, pocierając ją o spodnie i zapaliłem papierosa, w ten sposób wmawiając w siebie samego zimne zrównoważenie i opanowanie sytuacji. Nawet Ralf, jak sądzę nie miałby w takiej chwili odwagi. Mnie jednak zależało specjalnie na tem, abym mógł się potem pochwalić mojem bahaterstwem. Istotnie odczuwałem w tym krytycznym momencie dreszcz emocji, mile łechtający moją miłość własną. Nie doświadczałem żadnej trwogi, a raczej ciekawość, jakie wyjście będzie miała ta bądź co bądź denerwująca sytuacja. Z pewną niecierpliwością oczekiwałem walki i wreszcie nie mogłem doczekać się epilogu dzieła zamierzonego i wysiedzieć spokojnie tak długo, jak początkowo postanowiłem, co nawet było nieodzowne dla imprezy. Wreszcie zdecydowałem się zgasić papierosa na wilgotnej murawie i zamierzałem zdjąć obuwie, aby przejść cichaczem przez wysypaną zwirem drożynę ogrodową, prowadzącą do cieplarni, gdy w tem powstrzymał mnie jakiś szmer tajemniczy. Było to jak gdyby tłumione sapanie gdzieś w pobliżu. Stałem jak wryty; postać moja musiała zapewne uwidocznic się na tle trawnika, oświetlonego teraz jasnym światłem księżyca, ponieważ zostałem zauważony. Jakiś chra-

pliwy głos odezwał się ostro z okna na pierwszym piętrze:

— Kto u licha kręci się tam na dole?

— Jestem tajnym agentem, przysłanym przez towarzystwo ubezpieczeń dla ochrony podarków ślubnych — odpowiedziałem pewnym głosem.

Nie zawahałem się ani sekundy nad odpowiedzią. Była ona obmyślana i przygotowana przez Ralfa na wypadek tego rodzaju przeszkody w działaniu. Powtórzyłem zatem wyuczoną lekcję. W oknie pannało przez chwilę milczenie, przerywane jedynie niesamowitem sapaniem mojego interlokutora.

— Nie pojmuję, w jakim celu przysłano pana tutaj. Policja miejscowa czuwa chyba dostatecznie nad nami — wyrzekł wreszcie sapiący nieznajomy. — Każdej chwili spodziewamy się przybycia przedstawicieli władzy.

— Wiem o tem, mr. Medlicott — odparłem na własną odpowiedzialność. — Przed chwilą spotkałem jednego z policjantów na rogu ulicy i on mnie o tem poinformował.

Serce waliło mi jak młotem. Nareszcie postępowałem samodzielnie, nie według wyuczonych na pamięć otrzymanych od Ralfa wskazówek.

— Czyżby to on powiedział panu, jak ja się nazywam? — zapytał mnie nieufnie nieznajomy, sapiąc dalej jak miech kowalski.

— Nie, powiadomiono mnie o tem, zanim mnie tutaj wysłano — odpowiedziałem. — Przykro mi jednak, że mnie pan zauważył. Moje przybycie miało stosownie do praktykowanych u nas zwyczajów pozostać w tajemnicy dla domowników, aby nikogo nie inkomodować. Polecono mi nadzorować okolice domu, lecz w zapale wypełnienia obowiązku jak najdokładniej zaszedłem może nieco zbyt daleko. Jeżeli pan sobie życzy, to proszę oświadczyć mi to

bez skrupułów, a cofnę się na moje właściwe stanowisko.

Był to mój pomysł, którego wynik wzmocnił jeszcze zaufanie we własne siły i inicjatywę.

— Ależ bynajmniej — odparł młody Medlicott z pewnego rodzaju akcentem drwiny w głosie. — Właśnie przed chwilą przebudził mnie atak nieznosnej astmy i prawdopodobnie do świtu będę zmuszony przesiedzieć w fotelu, męcząc się z powodu duszności. Może pan zechce odwiedzić mnie i spełniając dzieło miłosierdzia, pełnić zarazem poruczony panu obowiązek. Nie, niech się pan wstrzyma jeszcze, w tej chwili zejść na dół i wpuszczę pana do środka.

Było to zawikłanie sytuacji, którego nawet wszystko wiedzący i przeczuwający Ralf nie byłby absolutnie przewidział! Grać narzuconą mi okolicznościami rolę w ciemności, na zewnątrz domu, nie było wcale rzeczą trudną, lecz kontynuować tę scenę oko w oko z przeciwnikiem, wewnątrz domostwa, zmieniało gruntownie postać rzeczy i mogło spowodować groźne komplikacje. Wprawdzie celowo zjawiłem się na miejscu działania w płaszczu i kapeluszu tajnego agenta policji, lecz, jak dobrze wiedziałem, ani mój wygląd, ani też zachowanie nie przypominało w niczem typu wywiadowcy. Poza-tem zdawałem sobie z tego sprawę, że moje wahanie się, aby przestąpić na zaproszenie pana domu mieszkanie, w którym, jak poprzednio zaznaczyłem, miałem poruczone strzec drogocennych upominków przed apetytem niepowołanych amatorów, musiało wzbudzić nieufność. Przytem nie wolno mi było nazbyt skwapliwie skorzystać z zaproszenia, aby nie zdradzić się, że dostanie się do owego domu było właśnie celem moich odwiedzin. Refleksje te zadecydowały o mojem postępowaniu i po krótkim

namyśle postanowiłem stawić czoło niebezpieczeństwu.

Widocznie dom nie posiadał oświetlenia elektrycznego, ponieważ wkrótce usłyszałem w pokoju, przylegającym do ciepłarni trzask zaświeconej zapalniczki. Otwarte okno ukazało swą czeluść niby rama, nie wypełniona obrazem, po ścianach i suficie pokoju przesuwiał się gigantyczny cień Medlicotta. W tej chwili wpadło mi na myśl, że byłoby na czasie zawiązać sznurowadła moich bucików. Wreszcie po dłuższej chwili oczekiwania ukazało się na tle staroświeckich szybek bocznych drzwi wchodowych migotliwe światło świecy. Drzwi otworzyły się i na ich tle zobaczyłem nędzną, litości godną postać. trzymającą świecę na wysokości naszych twarzy.

Wielokrotnie zdarzyło mi się spotykać starców, którzy zachowali wygląd mężczyzn w najlepszych latach, lub przeżytych młodzieńców o starczym wyglądzie, lecz po raz pierwszy w życiu spotkałem młodzieńca, pochylonego jak dziewięćdziesięcioletni starzec. Nieszczęśliwy oddychał z najwyższym trudem, każda chwila groziła mu uduszeniem. Znużenie pochylało biedną ofiarę astmy to w tę to w ową stronę, przyczem rzeził, jak gdyby lada chwila miał przenieść się na tamten świat. Mimo wszystko przez dłuższy czas przyglądał mi się w milezeniu, widocznie egzaminując mnie wzrokiem, wreszcie zdecydował się powierzyć mi światło.

— Nie powinienem był schodzić na dół... To mi... zaszkodziło... Wyjść na górę — będzie jeszcze gorzej — wykrztusił ze siebie urywanym głosem. — Musi mi — pan — podać — ramię. Zgoda? To pięknie. Nie jestem — tak chory i bezsilny, jak — wyglądam. Mam na górze w kredensie — doskonałą wódkę. Upominki znajdują się — w największym porządku. Gdyby miało coś zająć, to — w każdym

razie — łatwiej będzie panu opanować sytuację — wewnątrz domu, niż z ogrodu. No — nareszcie — dziękuję panu. Proszę zachowywać się możliwie spokojnie — moglibyśmy zbudzić matkę.

Zanim wyszliśmy na pierwsze piętro, upłynęło kilka minut czasu. Na wąskich stopniach było załedwie tyle miejsca, abym mógł podać mojemu przewodnikowi ramię, drugą ręką wspierał się na poręczach schodów. W ten sposób posuwaliśmy się krok za krokiem, odpoczywając na każdym stopniu, wreszcie na piętrze po wyczerpującej walce z astmą, dostaliśmy się do przestronnego pokoju bibliotecznego, przylegającego do sypialni. Lecz natężenie pozabawiło mego towarzysza oddechu i mowy; jego zmagające się z brakiem oddechu płuca wydawały potężny świst, jak miech kowalski. Na migi wskazał mi otwarte drzwi do sypialni. Zrozumiałem go i niezwłocznie je zamknąłem. Następnie, ulegając jego niememu wezwaniu, podałem mu szklankę wody, którą chciwie wypił. Wkrótce atak uspokoił się nieco i biedaczysko siedział zgarbiony w fotelu, oddychając ciężko.

— Głupi byłem, że dałem się skusić do położenia się do łóżka. Spoczynek djabli wzięli, noc zapowiada się bardzo ciężko. Bądź pan łaskaw podać mi ze stołu te małe brunatne papierosy. Dziękuję — poproszę jeszcze o zapalki.

Astmatyk zachłysnął się od dymu papierosa i widocznie dusił się, zaciągając się chciwie. Nowy atak kaszlu zdawał się wytrzepywać z nieszczęśliwego resztki życia. Nie istniał chyba w tym wypadku bardziej radykalny środek powolnego samobójstwa. Niespodziewanie jednak nastąpiło zwolna znaczne polepszenie, biedaczysko mógł przynajmniej wyprostować się w fotelu i wypić z widoczną przyje-

mnością szklanek wina. I ja odetchnąłem z widoczną ulgą, ponieważ przed chwilą byłem świadkiem straszliwej walki o życie człowieka w zaraniu młodości, w dodatku człowieka, który uczynił na mnie nader sympatyczne wrażenie. Jego uśmiech po pierwszym ataku męczarni opromienił zmęczoną twarz miłym, szlachetnym wyrazem, pierwsze jego słowa, była to serdeczna podzięką za wyświadczoną mu przysługę, którą podyktowało mi uczucie humanitarności.

W tej chwili uprzytomniłem sobie, jakim naiwnym głupcem byłem w gruncie rzeczy. Postanowiłem nie ulegać tak łatwo impulsowi i mieć się więcej na baczności. W ten sposób byłem poniekąd przygotowany na pierwsze natarcie, które nastąpić po jeszcze skrupulatniejszym egzaminie, aniżeli ten, jakiemu byłem poddany poprzednio.

— Wie pan, muszę panu powiedzieć, że bynajmniej nie posiada pan wyglądu detektywa, jak go sobie zawsze wyobrażałem! — rzekł młody Medlicott po chwili milczenia.

— Uwaga pańska jest dla mnie bardzo pochlebna — odparłem niezmieszany. — Cóżby ze mnie był za agent policji, gdyby można było poznać po mnie mój zawód na pierwszy rzut oka!

Mój przygodny towarzysz uspokoił mnie chrapliwym śmiechem.

— Ma pan najzupełniejszą rację i mojem zdaniem należy się towarzystwu ubezpieczeń gratulacja za to, że udało się im pozyskać dla tego bądź co bądź niezaszczytnego stanowiska człowieka pańskiego pokroju. A także winszuję samemu sobie — nie omieszkał dodać z pośpiechem — że los pozwolił mi mieć przy sobie pana w jednej z najcięższych chwil mojego życia. Tak uporeczywego ataku już

dawno nie pamiętam. Zjawił się pan jak pomoc opatrności. Czy nalał pan sobie wina? Doskonale. A może ma pan przy sobie ostatnie wiadomości? Ciekaw jestem, jak wypadły nasze zawody krokietowe.

Niestety, zostawiłem gazetę w pociągu — odpowiedziałem z żalem.

— A nie może mi pan powiedzieć, jak sprawy stoją?

— Na razie nie ogłoszono jeszcze wyniku, lecz wygrana jest najprawdopodobniej po naszej stronie.

— A kto jest naszym głównym graczem?

— W pierwszym rzędzie Ralf Raffles. Miał 62 punkty jeszcze przed finałem gry.

Mimowoli przebijał się w moich słowach ton podziwu, jakkolwiek we własnym interesie starałem się go ukryć. Lecz podziw i zapał młodego Medlicotta przewyższył mój własny i stanowił dla mnie doskonałą pokrywkę. Jego pełen zachwytu śmiech długotrwały nie mógłby być szerszy, gdyby nawet był osobistym przyjacielem Ralfa. Znowu zakrztusił się tak silnie, że przez chwilę byłem w obawie, aby nie nastąpiła recydywa ataku.

— Niezrównany stary Raffles! — wydusił z siebie w przerwie między jednym wybuchem kaszlu a drugim. — Mimo, że wezwano go tak późno do ratowania sytuacji, umiał dać sobie radę! Oto gracz w moim guście! Daję słowo, musimy wypić na jego zdrowie! Taka już jest ta astma, że alkohol nie uderza człowiekowi do głowy, lecz przynosi ulgę i pomoc w krytycznej chwili. Nawet lekarze nie mają nic przeciw alkoholowi w moim wypadku. Niestety, na razie nie wynaleziono przeciw astmie prawdzi-

wie skutecznego lekarstwa. Raz zdarzyło się, że lekarz dał mi skuteczną dawkę amyli, lecz równocześnie omal, nie pozbawił mnie życia. Astma jest wogóle komicznym cierpieniem; mimowoli zdwaja wrodzoną odwagę, ponieważ człowiek zdaje sobie dokładnie z tego sprawę, że nie wie, czy przeżyje najbliższą chwilę. Nic nie jest groźne, niczem się człowiek nie przejmuje. A zatem zdrowie Ralfa Rafflesa, daj Boże, aby jutro do wieczora miał ponad sto punktów!

Z trudem podniósł się entuzjastyczny zwolennik Ralfa, aby spełnić ten toast na jego pomyślność, podczas, gdy ja wypilem wino siedząco. Podświadomie odczuwałem niczem nieuzasadniony żal do Ralfa, który i teraz stanął mimowoli w poprzek moim zamiarom, odnosząc zwycięstwo na meczu i nie troszcząc się wcale o mój los. A ja tymczasem siedziałem tutaj z synem właściciela domu, który zamierzałem zrabować, pijąc wino, podając choremu środki łagodzące i starając się pomóc mu w jego smutnej doli. Była to sytuacja zawikłana, zaiste nie do pozazdroszczenia; jak mogłem okraść tego człowieka po tem wszystkim? Przymuszałem się do tego, lecz nadaremnie. Nie, Ralf nie może mnie zrozumieć!

Lecz nie to było najciemniejszą stroną mojego położenia. Byłem o tem przeświadczony, że młody Medlicott nie ma do mnie pełnego zaufania. Przechybiłem to od samego początku, a obecnie, po drugiej szklance wina (która na człowieka w jego stanie, jak sam przyznał nie czyniła najmniejszego wrażenia), przyznał mi się do tego otwarcie.

— Widzi pan, bo astma, to dziwna, komiczna choroba, czyni człowieka tak obojętnym na wszystko, że nawet nie dziwiłoby mnie, gdybym nagle odkrył,

że przyszedł pan tutaj na to, aby zabrać ze sobą powierzone panu kosztowności.

Odpowiedziałem na ten dowcip kwaśnym uśmiechem. Los ukarał wkrótce mojego dręczyciela najsilniejszym atakiem kaszlu i duszności, jaki dotychczas zauważyłem w ciągu tej całej dziwnej nocy. Straszliwa walka o oddech, której sam widok sprawiał niewysłowione męki, przedłużała się uporczywie przybierając na gwałtowności. Nawet dotychczas stosowane środki przestały skutkować. — Podąłem mu zapalony papieros, lecz biedaczysko nie był w stanie nawet na tyle złapać oddechu, aby bodaj raz go pociągnąć. Również odsunął podaną mu szklanę whisky.

— Amylu! Podaj mi — pan — co rychlej — amyli! — zdołał wykrztusić. — Pudełko stoi w sypialni na mojej szafce nocnej!

Pobiegłem do pokoju sąsiedniego i przyniosłem żądane pudełko, wypełnione małymi pigułkami. — Jedną z nich rozłamał chory i wysypał z niej proszek do chusteczki, w której zanurzył twarz, oddechując kureczowo. Bacznie przyglądałem się postępowaniu mego towarzysza. W pokoju rozeszła się dziwna woń. Działanie jej na chorego było niemal cudowne. Rozpaczliwe wysiłki o oddech ustały, jak gdyby ukojone dłonią cudotwórcy, pierś wznosiła się spokojnym, normalnym ruchem, pokój w którym przed chwilą rozegrała się tragiczna walka o życie zaległa niesamowita cisza. Brzegi zanurzonej w chusteczce po uszy twarzy były mocno zaczerwienione, a gdy wreszcie chory podniósł głowę, oblicze jego było spokojne i równomiernie normalnie różowe. Zdawało mi się, że przed chwilą musiałem ulec chyba optycznemu złudzeniu.

— Lekarstwo to odciąga krew do serca i usuwa

zupełnie cierpienie, niestety, nie na długo — wyrzekł Medlicott znużonym głosem. — Drugiej dozy nie wolno mi już wziąć bez wiedzy lekarza. No, jedna wystarczy kompletnie, aby przez chwilę mieć przedsmak piekła! Ale — cóż to takiego? Pan zdaje się nasłuchuje? Jeśli to jest policjant, to możnaby z nim pomówić.

Lecz nie był to policjant; zmer dochodził nie z zewnątrz, lecz z pokoju pód nami, gdzie słyhać było dziwne, tajemnicze kroki. Zbliżyłem się do okna i wychyliłem, aby zbadać, kto jest sprawcą niepokoju. Z okna pód nami padał na murawę ogrodu migotliwy odblask światła.

— To z pokoju, w którym przechowane są podarunki ślubne! — szepnął stojący tuż obok mnie Medlicott.

Cofnęliśmy się pospiesznie od okna i w tej chwili spojrzalem mu w oczy jasno i otwarcie jak jeden ucziwy człowiek drugiemu. Widocznie cudowne zrzadzenie przeznaczenia miało mi wskazać prawą drogę obowiązku. Zdecydowanie przeciąłem gordyjski węzeł losu — przed sobą widziałem drogę wytyczną jasno i prosto. Przypadło mi w udziale powstrzymać to, czego ja sam się podjąłem. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że od samego początku wzdrgałem się przeciw dokonaniu rabunku i poniekąd wdzięczny byłem losowi, że utrudnił mi to zadanie. Obecnie nie tylko przyjąłem z wdzięcznością zrzadzenie losu, lecz nawet bez skrupułów poddałem mu się, myśląc tak o biednym astmatyku, jak i o moim przyjacielu. Mogłem obecnie postąpić ucziwie wobec obydwu. Nie narażałem na szwank ani mojej ambicji i odwagi włamywacza, ani własnego honoru i sumienia.

Takie myśli przewijały mi się gorączkowo przez

głowę, podczas gdy staliśmy oko w oko z moim przygodnym towarzyszem i z zapartym oddechem przysłuchiwaliśmy się dolatującym z dołu szmerom. Jeszcze jeden krok dał się słyszeć, raczej przecuty, aniżeli istotnie uchwycony — i ogarnięci najwyższym zdenerwowaniem wzajemnie skinęliśmy sobie porozumiewawczo głową. Tymczasem Medlicott stał się znowu podobnie bezsilny, jak z początku, rumieniec znikł z jego twarzy i głośnie sapanie przerwało dotychczasową ciszę. W takim stanie rzeczy mógł mi tylko przeszkodzić, miast być pomocnym, wobec tego dałem mu znak, aby pozostał na swoim miejscu i mnie wyłącznie pozostawił spławienie tego draba. Wówczas to na spojrzenie chorego, bystre i badawcze, którem obrzucił mnie nie po raz pierwszy w czasie tego przymusowego pełnienia samarytańskiej służby, przeszedł mnie dziwny dreszcz wstydu i grozy.

— Widzę, że skrzywdziłem pana — zdołał wyszeptać chory, ukrywając prawą rękę w fałdach szlafroka. — Początkowo sądziłem... Lecz dajmy temu pokój, przyznaję się do omyłki... Widzi pan jednak, co panu groziło? Ten przedmiot miałem przez cały czas ukryty z kieszeni!

W tej chwili byłby mi biedak chętnie oddał w dowód zaufania i zawartego przymierza swój mały rewolwer, lecz ja, wzruszony tym dowodem przyjaźni, nie chciałem nawet dotknąć jego przyjacielsko wyciągniętej dłoni. Pragnąłem wpieryw zasłużyć sobie na jego uścisk. W nagłym przypływie uczciwości postanowiłem obronić go przed nieprzyjacielem, lub paść na tej narzuconej mi losem placówce. Odeciągnąłem kurek broni, która w tym wypadku nie na wiele mogła mi się przydać i przeciskając się pod ścianą, schodziłem po schodach.

Widocznie nie sprawiałem najmniejszego nawet

szmeru, skoro nie zwróciłem nawet na siebie uwagi napastnika. Drzwi do pokoju sąsiedniego były uchylone i panowała taka niezmacona cisza, że nawet nie zadrgało światło świecy. Zaciśnałem zęby, zdecydowany na najgorsze i otwarłem drzwi na oścież. Przede mną stał, trzymając latarkę w ręce, typowy włamywacz.

— Łotrze! — wrzasnąłem mu nad uchem i jednym zręcznym ciosem powaliłem go o ziemię.

— Nie można było nazwać mojego postępku zwykłą napaścią, ponieważ w razie wahania mogłem spodziewać się po nim tego samego. Byłem jedynie w tem szczęśliwszem od niego położeniu że mogłem go uprzedzić. Mimo wszystko jednak poczułem wyrzuty sumienia na widok biedaka, leżącego na ziemi bez przytomności. Wyrzuty stały się tem dotkliwsze, skoro spostrzegłem, że mój przeciwnik nie był nawet uzbrojony, z jego rąk wypadła jedynie mała latarka. Poczułem dziwną solidarność koleżeńską z powalonym przeze mnie bandytą. Ze zgaszzonej latarki unosił się nieznośny swąd, który zmusił mnie do odstawienia jej i przewrócenia ciała bandyty na wznak. Zdaje się, że nigdy w życiu nie zapomnę tej straszliwej chwili: nieprzytomnym bandytą był mój przyjaciel, Ralf!

Nie miałem nawet na tyle czasu, aby zastanowić się nad tem, skąd on się tutaj wziął o tej porze. Jeżeli był na świecie czarnoksiężnik, dla którego nie istniał ani czas, ani przestrzeń, to był nim niewątpliwie Ralf, leżący obecnie nieprzytomny u moich stóp. Że to był on we własnej osobie, nie ulegało, niestety, najmniejszej wątpliwości. Był zamaskowany, jak zwykle podczas swoich złodziejskich wypraw. Poznałem go teraz na pierwszy rzut oka. Twarz miał zamorusaną, ucharakteryzowaną niesamowicie czerwoną brodą, ubranie w strzępach, to

samo ubranie, w którym biegł ongiś za dorożkami jako tragarz, na bucikach miał grube pokrowce, ściszące kroki. Na głowie krwawiła rana, która mu przed chwilą własnoręcznie zadałem. Przerazenie moje wzrastało z sekundy na sekundę.

— Boże, co teraz czynić? — jęknąłem boleśnie, badając uderzenia serca rannego przyjaciela.

W tej chwili przerwał ciszę świst charczącego oddechu mojego astmatycznego przyjaciela.

— Doskonale się pan spisał! — nie ukrywał biedaczysko swojej radości. — Słyszałem wszystko, lecz chciałbym, aby awantura ta nie obudziła mojej matki. Musimy, o ile to jest wykonalne, ukryć przed nią jak najskrupulatniej całe zdarzenie.

W skrytości ducha posyłałem tę matkę na samo dno piekła, lecz równocześnie mówiłem sobie, badając pult Ralfa, że los postąpił wobec niego słusznie i sprawiedliwie i że w gruncie rzeczy dobrze mu się stało. Gdybym mu nawet rozplatał czaszkę, byłoby to wyłącznie jego winą, a nie moją. Wyszedł znowu na jaw ten tak charakterystyczny dla niego błąd: wtajemniczyć mnie połowicznie w swoje plany i wreszcie okazać brak zaufania. Mimo niepokoju o niego czułem do niego żal, usprawiedliwiony całkowicie tą dziwną manią nieufności. Oplaciło mu się przewędrować połowę Anglii, wyszpiegować mnie przy robocie na to, aby wreszcie dokonać jej samemu!

— Czy jest nieżywy? — zapytał astmatyk bez oznak współczucia.

— Ani mu się śniło! — odparłem z oburzeniem, którego nie należało okazywać w mojej sytuacji.

— Musiał pan jednak porządnie mu dogodzić — odparł młody Medlicott. — Prawdopodobnie pan pierwszy go zaatakował. Może pan mówić o szczęściu, jeżeli to mordercze narzędzie należało do nie-

go. — Mówiąc to podniósł rewolwer, którym omal nie rozplątałem Ralfowi głowy.

— Spojrz pan, mr. Medlicott! — odparłem, cofając się na kolanach. — Ten drab nie jest martwy i trudno zawyrokować, jak długo będzie nieprzytomny. Przytem, jak pan widzi, jest to silny chłop i nie podoła pan obalić go nawet przy mojej pomocy, gdyby zamierzał się na nas rzucić. Zdaje się, że policjant, którego poprzednio spotkałem, jest gdzieś w pobliżu. Czy sądzi pan, że wzmocniłeś się na tyle, aby móc go zawołać?

— Istotnie czuję znaczne polepszenie. Zdaje się, że wzruszenie pomogło mi — odparł z wahaniem. — Mam wrażenie, że gdyby mi pan powierzył straż nad tym człowiekiem, nie zdołałby mi umknąć. Zapewniam pana, że mi nie ucieknie!

Z uśmiechem, który mimowoli odsłaniał moje zniecierpliwienie, odrzuciłem jego propozycję.

— Nie, tegoby mi moja władza przełożona nigdy nie przebaczyła! Hm, w takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak czekać do rana i założyć temu drabowi kajdanki, o ile nie podaży za mną dobrowlnie. Przecież to jest do przewidzenia, że będzie się bronił; byłby głupcem, gdyby się poddał bez walki, mając szanse zwycięstwa.

W zamyśleniu spoglądał młody Medlicott na drzwi, wiodące na piętro. Wprawdzie wzbraniałem się obserwować go nazbyt widocznie, lecz mimo to zdawałem sobie sprawę, co on zamierza uczynić.

— Pójdę więc — powiedział szybko. — Mam zresztą wobec pana pewne zobowiązania, nie tylko dlatego, że o panu początkowo tak źle myślałem w mojem zaślepieniu. Panu zawdzięczam, że obecnie czuję znaczne polepszenie. Pójdę więc za pańską radą, zanim przebudzi się moja matka, któraby mogła

przerazić się śmiertelnie i zanim moje biedne, chore płuca nie zagrają mi nowej sztuczki!

Nie odważyłem się nawet spojrzeć za biednym poczciwcem, który wyszedł, pokaszując lekko. Scena, która obecnie rozgrywała się w pokoju, miała pozory czuwania obowiązkowego urzędnika nad przyłapanym złoczyńcą. Za ledwie zamknęły się drzwi za astmatykiem, natychmiast skoczyłem na równe nogi, nasłuchując bacznie, czy zdołał już znaleźć się poza domem. Gdy odwróciłem się, ujrzałem Ralfa, siedzącego na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i ocierającego skrwawioną głowę.

— Więc to ty, Bunny, mój najlepszy przyjaciel! — jęknął cicho.

— Jakto? Nie straciłeś zatem przytomności? — zawołałem. — W takim razie dzięki Bogu!

— Ależ ma się rozumieć, że zemdlałem i nie twoją to jest zasługą, że nie zgruchotałeś mi głowy. To doprawdy nie do wiary, że nie poznałeś mnie w przebraniu, które tak często u mnie widywałeś i powinieneś znać doskonale! Nic dziwnego, przecież ani mi się nie przypatrzyłeś, nie zostawiłeś mi nawet tyle czasu, abym się odwrócił i dał się poznać! A właśnie miałem zamiar ułatwić ci odegranie roli ajenta policji. Bylibyśmy w najprzykładniejszej zgodzie wyszli z tego domu, ja jako włamywacz, ty jako detektyw, któremu powiodło się wielkie dzieło. A teraz dzięki twojej głupocie siedzimy w matni, jak nigdy jeszcze, mimo że pozbyłeś się wcale zręcznie tego sapiącego jegomościa. Kto wie, czy uda się nam teraz uciec tak prędko, jak tego wymaga sytuacja!

Podczas tej przemowy wstał Ralf z trudem i opuścił pokój, ja podążyłem za nim. Ralf wyjął z kieszeni pęk kluczy i wyszukiwał nadający się do bramy ogrodowej, podczas gdy ja przytrzymałem

mu latarkę. Mimo, że instynktownie postępowałem posłusznie za nim, jak to się stało już moją drugą naturą, byłem na niego tak oburzony, że nawet nie uważałem za stosowne odpowiadać na jego zarzuty. W ten sposób upłynęło kilka minut, wprawdzie bardzo emocjonujących, których opis wymagałby kilku stron druku, lecz dla tych, którzy zaznajomili się z naszym trybem życia, nie przynoszących niczego nowego. Wystarczy, jeżeli powiem, że przemykaliśmy się przez szereg drzwi i bramek ogrodowych, zanim udało się nam przedostać na boczną uliczkę. Wkrótce znaleźliśmy się na mostku na małej rzeczulce. Oglądałem się trwożnie, lecz zabudowania Medlikotta były już daleko i nie wskazywało na to, aby zauważono naszą ucieczkę.

Znałem aż nadto dobrze mojego przyjaciela to też bynajmniej nie zdziwiło mnie jego nagłe zniknięcie pod mostkiem i powrót w kilka minut później w eleganckiej zarzutce, ubraniu, kapeluszu i lakierkach. Sztuczna broda i ślady krwi znikły, splukane w pobliskiej rzece, przedemną stał Ralf elegancki, czysty i wyświeżony. Nie dosyć na tem: i ja na jego żądanie uległem przeobrażeniu, przebierając się w płaszcz sportowy i otulając szyję szalem, który zakrywał mi pół twarzy.

— A teraz zakomunikuję ci pewną radosną nowinę: oto o godzinie 3-ej 12 minut odchodzi z Surbiton pociąg, do którego przyjdziemy na czas nawet na czworakach. Jeżeli ci to na rękę, to możemy się dla ostrożności rozdzielić przed dworcem kolejowym, jakkolwiek mojem zdaniem nie zachodzi już najmniejsza obawa, aby groziło nam niebezpieczeństwo. Jestem tak spokojny, że naczynam się nawet interesować losem tego biednego astmatyka. Ciekaw jestem, co się z nim stało.

I ja myślałem o tem samem, lecz ciekawość moja

miała przymieszkę żywego współczucia. Dopiero wiadomości w dziennikach uspokoiły mnie co do tego. Jak się okazało, poszukiwania za poliejantem zaprowadziły go nazbyt daleko od domu i lekko-myślność swoją przyplacił gwałtownym atakiem astmy. Zanim dostał się do domu i wezwał na pomoc domowników, upłynęło ponad 30 minut. Dokładny opis mojego wyglądu, podany do gazet przez Medlicotta, pogodził mnie wreszcie z myślą o męczarniach, które przeszedł biedaczysko podczas owej pół godziny.

W owej chwili jednak zaprzętały mój umysł kwestje zupełnie odmienne, które tak dalece nie dawały mi spokoju, że trudno mi wyrazić je pospolitemi słowami, ponieważ i dla mnie była to gorzka godzina. Nie tylko nie powiodło mi się wykonanie zadania, do którego się tak paliłem, lecz na domiar złego omal nie zamordowałem mojego jedyne go przyjaciela. Miałem wszakże dobre zamiary tak wobec przyjaciela, jak i wobec narzuconego mi zbiegiem okoliczności przeciwnika, a jednak postąpiłem niegodnie tak wobec jednego jak i wobec drugiego. Nie było to wprawdzie moją winą, lecz zdawałem sobie z tego sprawę, o ile przyczyniła się do tego moja własna słabość. A teraz kroczyłem jak niedołężny uczeń właśnie za tym człowiekiem, który jedynie wszystkiemu zawinił, który przyjechał tutaj bez mała przez kraj cały, aby jak na ironję być świadkiem mojej nieudolności i uprzytomnić mi ją w całej pełni. Ten stan rzeczy uniemożliwił w moich oczach dalsze trwanie naszego przyjaznego stosunku i zniszczył bezpowrotnie wzajemne zaufanie. Byłem zmuszony towarzyszyć Ralfowi aż do Surbiton, nie musiałem wszakże odzywać się do niego. Przez cały czas lekceważyłem wysiłki pojednania Ralfa bagatelizując jego żarciki. Oparłem się na-

wet jego serdecznemu ujęciu mnie pod ramię, gdy zbliżaliśmy się do dworca kolejowego i pozostałem niemy jak ryba.

— No, przestań się droczyć, Bunny i okaż, że jesteś rozsądnym chłopcem! Ostatecznie ja najwięcej ucierpiałem w tej całej sprawie i pierwszy wyciągam dłoń na zgodę. Przyznaję, że zasłużyłem sobie w całej pełni na to, co mnie spotkało. Zadałeś mi krwawą ranę w głowę, jeszcze krew nie obeschła nawet, a co najgorsze, nie wiem, jak będę grał jutro na zawodach w Manchester i jakie usprawiedliwienie wymyślę. Mimo to nie czynię ci żadnych wyrzutów, tylko ty Bunny masz do mnie jakieś pretensje. Jak uważasz, czy nie byłbym zanadto pokrzywdzony, gdybym do bilansu wszystkich strat poniesionych dzisiejszego dnia, dołączył jeszcze utratę twojej przyjaźni? Przyznaję ze skrucą, że nie postępowałem słusznie, lecz z pewnością cię, drogi chłopcze, że stało się to wyłącznie ze względu na ciebie!

— Ach, więc to dla mnie? — zapytałem z gorzka ironją.

Ralf okazał się wielkodusznym: udawał, że nie dosłyszał sarkazmu w moim głosie.

— Bałem się o ciebie! Jeśli mam być szczerzy, przejmowałeś mnie obawą o twoje bezpieczeństwo. Gnębiły mnie jakieś niejasne przeczucia, że wpadniesz w matnię i nie wywikłasz się z niej. Myśl ta prześladowała mnie, jak uporeczywa zmora. Grałem mechanicznie w krokieta, ulegając raczej instynktowi gracza, poruszałem się jak automat, ponieważ tylko twoje dobro leżało mi na sercu. Bardzo być może, że właśnie dzięki temu, że myślałem byłem daleko od pola zawodów i nie przejmowałem się grą, miałem takie fenomenalne szczęście. Czytałeś zapewne w dziennikach o mojem powodzeniu? Uży-

skąłem najlepszy wynik gry, jaki dotychczas kiedykolwiek udało mi się zdobyć.

— Owszem — odparłem — dowiedziałem się z gazet o twojej wygranej, lecz przyznam ci się, że wątpię, aby to było wyłącznie twojem dziełem. Jestem przekonany, że masz sobowtóra, który wygrywa za ciebie.

Chwilowo sytuacja przedstawiała się w ten sposób, że moja teoria była prawdopodobniejsza, aniżeli zdumiewająca rzeczywistość.

— Zdaje się, że nie bardzo starannie czytywałeś dzienniki w ostatnich czasach — odparł Ralf, zdradzając po raz pierwszy pewnego rodzaju zniecierpliwienie. — Z powodu deszczu musiano przerwać zawody już o godzinie 5-ej. W Londynie panowała ponoś niezmacona pogoda, lecz w Manchester deszcz lał jak z cebra i już po upływie dziesięciu minut plac krokietowy wyglądał jak wielkie jezioro. W życiu mojem nie widziałem czegoś tak strasznego. Wszelka nadzieja wznowienia rozgrywek okazała się płonna. Nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czynię, przebrałem się jak pod nakazem wyższej woli. Dopiero w drodze do hotelu oprzytomniałem niejako i ulegając nakazowi chwili, dałem dorożkarzowi zlecenie, aby pojechał ze mną na dworzec kolejowy. Zanim uświadomiłem sobie, co czynię, siedziałem już w wagonie jadalnym. Przychodzę do przekonania, że ze wszystkich moich szalonych poczyniań, które mogę zliczyć w mojej karierze, ta ostatnia była chyba najbardziej szalona.

— Niewątpliwie jest to twój najwspanialszy czyn, na jaki się zdobyłeś — dodałem cicho, dziwiąc się jeszcze bardziej impulsowi, który popchnął Ralfa do tego kroku, oraz towarzyszącym tej sytuacji okolicznościom, aniżeli samemu jego postępowaniu.

— Bóg raczy wiedzieć, co oni tam sobie w Manchester o mnie pomyślą — ciągnął Ralf w dalszym ciągu. — Lecz cóż mogą wreszcie powiedzieć? I co ich to wogóle obchodzi? Byłem obecny w chwili, gdy grę z powodu deszczu przerwano i znowu będę tam, gdy rozgrywki zaczną się na nowo. W kilka minut po godzinie 3-cej przybędziemy na dworzec w Waterloo, co umożliwi mi w drodze do stacji Custon zatrzymać się przez godzinę w Albany, następnie w Old Trafford. Przybędę na rozpoczęcie rozgrywek w samą porę. Ciekaw jestem, co mogliby mieć mi do zarzucenia? Przypuszczalnie nie zdobędę się już na nadzwyczajne pociągnięcia, jestem nazbyt zmęczony. Lecz to nie wpłynie bynajmniej na ogólny wynik rozgrywki. Mimo wszystko będę zawsze jeszcze dosyć groźnym przeciwnikiem.

— Pojadę z tobą — rzekłem — i przypatrzę się grze.

— Mój kochany chłopcze — odparł Ralf — i ja miałem wczoraj to samo życzenie. Ja także pragnąłem tylko przypatrzeć się twojej grze, nie ponadto. Chciałem być w pobliżu ciebie, abym mógł w chwili niebezpieczeństwa podać ci dłoń pomocną. Wszakże najsprytniejszemu może się przytrafić, że dostanie się w sytuację bez wyjścia. Znałem teren naszego projektowanego działania znacznie lepiej od ciebie i nie mogłem się przemóc, aby być zdala od ciebie w tak krytycznej chwili. Nie chciałem jednak peszyć cię swoją obecnością i jedynie dlatego nie dałem ci znać o mojem przybyciu. Gdyby wypadki potoczyły się normalnym torem, miałem zamiar powrócić bez dania ci znaku życia do Manchester i nigdy nie przyznać ci się do tego, że bawiłem owej nocy w pobliżu ciebie. Nie straciłbyś wówczas zaufania do siebie samego, ani do mojej wiary w twoje zdolności. O szczegółach wyprawy nie dowiedziałaby

się odemnie nikt i nigdy. Pragnąc zatem pozostać w ukryciu, szedłem za tobą od dworca aż do zabudowań Medicottów. Widziałem, że podejrzewasz, iż ktoś jest na twoim tropie; kilka razy nadśledziwałeś z uwagą, wobec czego musiałem coraz to zatrzymywać się i potem przeganiać cię niepostrzeżenie. Raz zmieniłem drogę, idąc na przelaj przez pola i w ten sposób mogłem być na miejscu wcześniej od ciebie. Widziałem, z jaką przyjemnością rozkoszowałeś się w ogrodzie dymem papierosa; twoja zimna krew i odwaga napawały mnie dumą, lecz radzę ci, abyś na przyszłość dał sobie spokój z takimi brawurowymi sztuczkami. Słyszałem każde niemal słowo, które zamieniłeś z tym biedakiem. Przynajmniej, że aż do pewnego punktu grałeś rolę bez zarzutu.

W tej chwili zajaśniały przed nami światła dworca kolejowego. Zdołałem jeszcze zapytać:

— A jakiż błąd popełniłem twojém zdaniem?

— Że wogóle wszedłeś do tego domu. Z chwilą jednak, gdy się to już stało, nie miałem ci nic do zarzucenia. Byłbym w danej sytuacji postępował joga w jotę tak samo, jak ty. Nie mogłeś znaleźć się inaczej wobec tego biedaka, jak się znalazłeś. Podziwiałem cię na każdym kroku mój Bunny, przyznaje ci szczerze, o ile to miałoby stanowić pociechę dla ciebie.

Pociechę! Ależ każde słowo Ralfa było dla mnie balsamem ożywczym, który działał na mnie kojąco i usuwał depresję! Po oczach Ralfa poznałem, że mówi serjo i przez pryzmat jego wyobrażenia o mnie widziałem całą sytuację i swoją osobę w jaśniejszych barwach. Przebaczyłem sobie swoją chwiejność, okazaną w czasie ubiegłej nocy, ponieważ Ralf nie brał mi jej za złe. Przyznawałem sobie nawet, że postępowałem słusznie pod nakazem pe-

wnego rodzaju poczucia słuszności i honoru, ponieważ sam Ralf zdawał się osądzać moje postępowanie z tego punktu widzenia. Kilkomą słowami zmienił gruntownie moje własne zapatrywanie na siebie samego i na motywy jego znalezienia się wobec mnie, lecz jednego punktu nie poruszyliśmy dotychczas. Była pewna kwestja, nad którą mógł Ralf przejść do porządku dziennego, lecz ja czułem, że ani sobie ani jemu nie zdołam tego nigdy wybażyć. Była to owa straszliwa rana w głowę, na widok której czułem przenikający mnie dreszcz grozy.

— Skoro pomyślę, że ja sam, że to ja właśnie zadałem ci ten cios straszny, który mogłeś przypłacić życiem — mówiłem z oburzeniem — i że żaden z nas nie może się pochwalić innym sukcesem wysiłków całonocnych! Ten biedaczysko Medlicott skarżył się, że jest to jedna z najstraszniejszych nocy, jakie przeszedł w swoim młodem życiu, ja jednak jestem tego zdania, że ta noc jest niewątpliwie najokropniejszą, jaką przeżyłem kiedykolwiek!

Ralf uśmiechał się zagadkowo. Na jego twarzy igrały refleksy lampki, zawieszanej na suficie przedziału kolejowego, który zajmowaliśmy wyłącznie dla siebie.

— Nie, tak nie można powiedzieć, Bunny. Pamiętam, że niejednokrotnie działo się nam znacznie gorzej!

— Czy może chcesz przez to powiedzieć, że udało ci się zdobyć jakiś łup z tej niefortunnej wyprawy?

— Mój kochany chłopcze, wiesz dobrze, ile napracowałem się nad wykonaniem tego planu, jak bolałem nad tem, że wreszcie tobie musiałem go powierzyć, a przytem jaką podróż zmuszony byłem odbyć, aby przekonać się, że zaufanie moje do cie-

bie było uzasadnione! Solidaryzowałem się z tobą w każdej chwili i na każdym kroku i nawet nie umiałbym postępować ani lepiej od ciebie, ani inaczej. Zważ jednak, że nie byłem na twojem miejscu i miałem ręce nieskrępowane. Niestety, większą część kosztowności zabrała ze sobą młoda para w podróż poślubną. Ta kolja szmaragdowa jest wcale nie brzydka i nie pojmuję tej młodej kobiety, dlaczego nie zabrała jej ze sobą. Również prześliczna i bardzo cenna jest ta brylantowa agrafa. Jakiś znawca zabytków podarował nowożeńcom ten śliczny rożen srebrny, który przyda mi się do uzupełnienia moich zbiorów. Przyda mi się jako nóż do rozcinania książek. Spójrz na tę kosztowną i gustowną papierośnicę, fason jej nadaje się doskonale do twoich ulubionych Sullivanów.

Tak więc mimo pozorów niepowodzenia noc ta przyniosła nam podwójne trofea: zwycięstwo nad drużyną krokietową Australczyków i bogate łupy z wyprawy na dwór Medlicottów.

ROZDZIAŁ VI.

Pałapka na włamywaczy.

Miałem właśnie zamiar zgasić światło, gdy wtem przerwał ciszę dźwięk dzwonka telefonicznego. Nawpół senny wyskoczyłem z łóżka. Gdyby dzwonek odezwał się o kilka minut później, niewątpliwie nie usłyszałbym niczego, ponieważ jadłem obiad w klubie z Morrisonem i poszedłem spać po północy.

— Kto mówi? — zawołałem.

— Czy to ty, Bunny?

— Tak, to ja. Czego chcesz, Ralfie.

— Błagam cię, przyjdź natychmiast!

Nawet przez telefon wyczułem w jego głosie troskę i trwożny niepokój.

— Na miły Bóg, Ralfie, nie przerażaj mnie! Co się stało?

— Nie pytaj, lecz spiesz się. Nawet nie przeczuwasz — — — —

— Natychmiast przychodzę. Hallo, czy jesteś jeszcze przy aparacie?

— Co — mó — wisz...?

— Człowiecze, odezwiź się!

— Sły—y—szę... prę—ko...

— Jesteś w klubie Albany?

— Nie—e... U Magui — — ra... —

— Mów prędko: gdzie mieszka Maguire?!

— Na Half-moon Street...

— Wiem, gdzie to jest. Czy on jest w domu?

— Nie — nie przyszedł — jeszcze — do — domu. Bunny, ratuj — jestem zwyciężony!...

— Jak to? Uwięziony?

— Dostałem się — w pułapkę, o jakiej on sam — mówił... Dobrze mi — tak... Nie — wierzyłem — w to i myślałem, że — to jedynie — samochwalstwo — —

— To straszne! Przecież on sam opowiadał, że nastawia pułapkę do wieczora. Ralfie, jaka to pułapka? Powiedz mi, abym wiedział, co mam ze sobą zabrać!

Głos jego brzmiał przy każdej odpowiedzi coraz słabiej i ciszej, obecnie nie odparł ani słowa. Kilkakrotnie jeszcze zapytywałem go, czy jest przy aparacie, lecz jako odpowiedź otrzymałem cichy szum aparatu i bezwzględne milczenie mojego przyjaciela. Wreszcie, w chwili gdy moje przerażenie doszło do punktu kulminacyjnego i groziło mi utratą przytomności, odezwał się z kurczowo przyciśniętej do ucha słuchawki cichy jęk i łoskot upadającego ciała.

W panicznej trwodze powróciłem do sypialni, ma-

chinali. Wzięłam się w smoking, który leżał jeszcze w tym miejscu, gdzie się rozebrałem popowrocie z klubu. Wzięłam świeży kołnierzyk i zawiązałam nową krawatę, nie zdając sobie sprawy z tego co czynię, ani jak postąpię w następnej chwili. Jak przez sen przypominam sobie, że trapił mnie jedynie obraz mojego przyjaciela, uwięzionego w jakichś zagadkowych okowach i jakiegoś szczerzącego zęby potwora, który wślizgnął się do pułapki i jednym morderczym ciosem pozbawił go życia. Niewątpliwie robiłem tualetę przy lustrze, inaczej nie byłaby tak staranna, jak to później skonstatowałem. Musiałem jednak patrzeć na swoje odbicie zupełnie machinalnie, ponieważ na oczach stała mi jak uporczywa zmora wizja człowieka, wstawionego pod nazwiskiem Barney Maguire, jako jednego z najpopularniejszych przedstawicieli boksu.

Tydzień jeszcze nie minął od owego wieczora, gdy zostaliśmy mu przedstawieni z Ralfem w klubie bokserskim. Jako potężny szampion Stanów Zjednoczonych, człowiek ten był jeszcze upojony zwycięstwami, odniesionemi za oceanem i marzył o nowych laurach w Wielkiej Brytanji. Jego opinja awanturnika i brutala wyprzedziła go z Ameryki aż do nas, wobec czego wszystkie eleganckie hotele zamknęły przed nim swoje podwoje i Maguire był zmuszony wynająć willę przy ulicy Halfmoon Street, którą urządził z największym komfortem i wspaniałością typowego dorobkiewicza. Ralf zaprzyjaźnił się z tym rozpanoszonego wielkoludem, ja zaś obserwowałem tylko jego brylantowe spinki, iskrzącą się klejnotami papierośnicę, lśniący od brylantów zegarek i dewizkę, wysadzaną brylantami bransolety, które nosił z upodobaniem, jak kobieta, a przede wszystkim jego potężną dolną szczękę o zwierzęcym zakroju. Drżąc ze strachu

zauważyłem, że Ralf podziwiał klejnoty boksera z miną znawcy i z zimną krwią, która i pouczała mnie o zamiarach mojego przyjaciela. Przyznam się, że wolałbym dostać się w paszczę lwa, aniżeli przestąpić próg jaskini tego potwora. Gdy jednak okoliczności tak się złożyły, że odprowadziliśmy raz Maguire'a do domu, aby podziwiać jego trofea, miałem uczucie, jakobym istotnie znajdował się w jaskini lwa. Piękna to była jaskinia w samej rzeczy. Urządziła ją jedna z najsłynniejszych firm w Londynie, nadając jej piętno wspaniałej fantastyczności.

Jeszcze większą niespodziankę stanowiły dla nas zebrane w osobnym pokoju trofea szampiona. Między innymi drogocennymi darami podziwiałem wysadzany prześlicznymi klejnotami pas lity, ofiarowany zwycięzcy przez Stan Newada, następnie notes wielkości cegły, w oprawkach ze złota, od obywateli miasta Sakrament, portret Maguire'a w naturalnej wielkości, odlany w całości ze srebra, który ofiarował mu jeden z najelegantszych klubów w Nowym Jorku. Przypominam sobie dokładnie, jak silnie zabiło mi serce, skoro na pytanie, zadane bokserowi przez Ralfa, czy nie obawia się włamywaczy odparł, że nastawia co wieczora pułapkę, w którą musi wpaść nawet najsilniejszy i najsprytniejszy włamywacz. Na pytanie mojego przyjaciela, jaki to rodzaj pułapki, Maguire nie chciał udzielić odpowiedzi. W tej chwili trudno mi było wyobrazić sobie groźniejszą zasadzkę, aniżeli samego boksera, ukrytego w całej swojej okazałości za kotarą. Niestety, po minie Ralfa natychmiast poznałem, że oświadczenie olbrzyma przyjął jako wyzwanie i że uważa je jedynie za samochwalstwo zarozumiałca. Nie wypierał się tego bynajmniej, gdy później czyniłem mu wyrzuty z powodu jego lekko-

myślności, odmówił mi jednak stanowczo, gdy prosiłem go, aby mi pozwolił towarzyszyć mu w jego wyprawie. A teraz przyszła kreska na Matyska: Ralf wpadł w zasadzkę i chcąc nie chcąc musiał prosić mnie o pomoc. Gdyby nie grozą przejmujący łoskot upadającego ciała, który w ostatniej chwili usłyszałem przez telefon, uległbym prawdopodobnie nieszlachetnym uczuciom mściwej satysfakcji.

W czasie ostatniej doby Barney Maguire odniósł po długotrwałych wyczerpujących zapasach pierwsze zwycięstwo na gruncie Wielkiej Brytanji. Niewątpliwie siły jego są osłabione po uporczywej walce i nie zdając sobie z tego sprawy odda się bez troski rozkoszalnemu uczuciu zwycięstwa. Taką właśnie noc wybrał Ralf na swą łupieską wyprawę. Cóż oznacza w takim razie ów fatalny upadek na ziemię, jeżeli Maguirea nie było jeszcze w domu? Czyżby to może upadł sam bokser, któremu Ralf zadał jeden ze swoich ciosów? W takim razie cóż oznacza nacechowane panieczną trwogą wołanie Ralfa o pomoc?

Tego rodzaju pytania trapiły mnie przez cały czas w domu i na ulicy. Żadna inna myśl nie miała w tej chwili do mnie dostępu. Przedewszystkiem zanim można mieć wyobrażenie o rodzaju pomocy, której się chce udzielić komuś w potrzebie, należy znać rodzaj niebezpieczeństwa. Do dziś dnia przechodzi mnie dreszcz przerażenia na samo wspomnienie tego, jak nieopatrznie i bez zastanowienia uzyskałem wyjaśnienie dręczącej mnie zagadki. Mianowicie idąc za pierwszym impulsem, zajechałem wprost przed dom Maguirea. Nie należy zapominać, że poprzedniego wieczora jadłem kolację w klubie wraz ze Swiggerem Moorisonem.

Naprawdę ułożyłem sobie tych kilka słów, które miałem wyrzec w chwili, gdy mi ktoś będzie otwie-

rał bramę. Wyobrażałem sobie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, że tragiczne zakończenie naszej rozmowy telefonicznej spowodował niespodziewany powrót gospodarza i jego napaść na Ralfa. Przyszła mi zatem na myśl doskonała wymówka, aby powiedzieć Maguirowi, że założyliśmy się z Ralfem o to, który z nas wywinie się z nastawionej tajemniczej pułapki Maguira. Postanowiłem udawać szczerłość i przyznać, że w tym tylko celu przywołał mnie Ralf telefonicznie do boksera, abym był świadkiem jego zwycięstwa. Jeżeli jednak rachuby moje miałyby mnie zawieść, w takim razie moje zachowanie się jest uzależnione od służącego, który zjawi się na moje dzwonicie. W każdym razie postanowiłem uczynić wszystko, aby uratować przyjaciela.

Na czasie do namysłu nie zbywało mi, ponieważ od dłuższej chwili dzwoniłem i dzwoniłem bez żadnego skutku. Tak schody, jak i przedpokój, do którego zaglądnąłem przez szparę do wrzucania listów, były nieoświetlone. Jedynie z pokoju, leżącego na końcu hollu, padał przez otwarte drzwi odblask światła. Był to pokój, w którym Maguire przechowywał swoje drogocenne trofea i w którym znajdowała się owa tajemnicza pułapka. W całym domu panowała zupełna cisza. Czyżby to było możliwe, aby zdołano w ciągu tych kilku chwil, które upłynęły od mojej telefonicznej rozmowy, zawlec Ralfa na najbliższy komisariat policji? Cóż za myśl okropna! Mimo wszystko jednak nie straciłem nadziei i wbrew zdrowemu rozsądkowi dzwoniłem w dalszym ciągu. Nagle tok moich kotłujących się myśli przerwał turkot nadjeżdżającego powozu. Na ten niespodziewany widok przerażenie moje nie miało granic.

Turkot ustał tuż pod bramą, widocznie powóz za-

trzymał się. Odwróciłem się nieznacznie, włosy stały ze strachu dęba na mojej nieszczęsnej głowie. Z wnętrza pojazdu wytoczył się z trudem rozczochrany bokser pod podwójną eskortą podochoconych przyjaciół. Ładnie się dostałem, nie ma co mówić! Wszyscy trzej przypatrywali mi się ciekawie przy blasku sąsiedniej latarni. Widok boksera czynił istotnie niesamowite wrażenie. Oko otoczone siną obwódka — pamiątka z ostatniego meczu — wargi spuchnięte również od ciosu przeciwnika, kapelusz zasunięty na tył głowy, krawatka pod samem prawem uchem. W jego towarzystwie znajdował się jego sekretarz, typowy yankes, oraz lśniąca od rozmaitych świecidełek kobieta, którą początkowo uważałem za mężczyznę, ponieważ ubrana była w męską zarzutkę i kapelusz.

Trudno mi powtórzyć te słowa, mimo, że ich zupełnie nie zapomniałem, któremi powitał mnie Barney Maguire, zapytując się, co tu robię o tej porze. Dzięki Morrisonowi, który nas ze sobą zapoznał, odpowiedziałem uprzejmie na jego interpelację i przypomniałem żeśmy się już niejednokrotnie widywali.

— Spodziewałem się, że przypomina pan sobie Ralfa Rafflesa, wybitnego sportowca, który często przebywa w mojem towarzystwie. Za ostatniej naszej bytności u pana oglądaliśmy pańskie wspaniałe trofea i był pan na tyle uprzejmy, że zaprosił nas abyśmy przychodzili do niego o każdej porze dnia, lub nawet nocy po odbytych zawodach bokserkich.

Miałem właśnie zamiar dodać jeszcze, że spodziewałem się zastać tutaj Ralfa, z którym założyliśmy się w kwestji owej tajemniczej zasadzki. Na szczęście jednak udaremnił mój nieobliczony zamiar sam Maguire, który wyciągnął do mnie potężną dłoń i uściśnął mnie serdecznie, choć nieco nazbyt mocno.

— Nie, kochasiu, co też pan opowiada! — zawołał. — Bo to przyznam się panu, że uważałem pana za jednego z tych nocnych ptaszków, polujących na cudze dobro. Ale teraz, to sobie już całkiem dobrze przypominam. Gdybyś pan zawahał się i nie otworzył jadaćki migiem, jużby pan połknął swoje własne ząbki, kochasiu. Tak, tak, u mnie to już tak bez mitręgi. Ale teraz wejdź pan ze mną i łyknij pan wódeczki, aby mi pokazać, że — psia krew, a tam co nowego?!

W czasie naszego dialogu zdołał sekretarz otworzyć bramę, lecz nagle Maguire zatrzymał wchodzącego, chwytając go energicznie za kołnierz. Z pokoju na końcu korytarza padało światło aż na schody wąskiej sieni.

— Światło w mojej budzie! — mówił Maguire z irytacją. — A te przekłete drzwi otwarte, mimo, że zamknąłem je przed odejściem, a nawet mam klucz w kieszeni! A to ci dopiero awantura, co? No, spodziewam się, żeśmy przynajmniej złowili jednego ptaszka. Moi państwo, poczekajcie chwilę i nie ruszajcie się z miejsca, ja sam zobaczę, co się tam święci!

Ocieężała postać boksera przeszła na palcach aż do drzwi otwartych, robiąc wrażenie tresowanego słonia. Tam zaczął wymachiwać potężną ręką, niby kolbą karabinu, wykonując najbardziej prawidłowe ruchy bokserskie. Po upływie kilku sekund zaprzestał pojedynku wobec braku przeciwnika i z zadowoleniem zacierając ręce, trząsł się od śmiechu.

— Chodźcież, panowie! — zawołał z widoczną radością. — Przybliżcie się i przypatrzcie jednemu z tych przeklętych lotrów, jak to sobie leży na ziemi, niby przygwożdżony i nie może się poruszyć.

Łatwo sobie można wyobrazić uczucie, jakiego

doznawałem w tej chwili! Pierwszy odważył się usłuchać wezwania swego szefa błądy sekretarz, za nim podreptała trwożnie błyszcząca istota w sukni z papilotów, ja zaś omal że nie uległem pokusie ucieczki z tego niesamowitego domu aż tam, gdzie pieprz rośnie. Już na palcach wróciłem do drzwi, które stały otworem, lecz w tej chwili namyśliłem się i pozostałem. Muszę jednak wyznać ze wstydem, że na przestąpienie progu owego groźnego pokoju brakło mi już odwagi.

— No, wstawaj ty brudasie, ty drabie ordynarny! — wrzeszczał Maguire w swoim pokoju. — Niech mnie kaci porwą, jeżeli u nas w Ameryce znajdzie się bodaj jeden taki skończony bandyta! Ale się ptaszek złapał w sidła! Ani mi się śni zawałać moich pięści na twojej bandyckiej gębie. Gdybym jednak miał na nogach grube buciki, z przyjemnością jednym kopnięciem wyгнаłbym duszę z twego nędznego ciała!

Teraz i ja zdobyłem się wreszcie na odwagę, której nie potrzeba było znowu tak dużo i wszedłem za innymi do pokoju. W pierwszej chwili ja sam nie mogłem rozpoznać tego obrzydliwego indywiduum, które leżało na ziemi. Wszyscy obecni otaczali draba, którego odrażająca twarz nie była wprawdzie zmieniona przyprawioną brodą, lecz tak czarna, jak twarz kominiarza w czasie najintensywniejszej pracy. Także ubranie to widziałem po raz pierwszy; było czarniejsze i bardziej poszarpane, aniżeli wszystkie jego „mundury“ do pracy, jakich kiedykolwiek używał. Zaznaczam, że w pierwszej chwili i ja nie byłem zupełnie pewny, czy straszny osobnik, leżący przedemną na ziemi, jest istotnie Ralfem. Lecz później przypomniałem sobie głuchy upadek, posłyszany przez telefon jako epilog rozmowy.

A właśnie ów osobnik leżał tuż pod aparatem telefonicznym.

— Zna go pan może? — zapytał mnie blady sekretarz, widząc że z ciekawością pochyliłem się nad owym indywiduum. Serce biło mi jak młotem.

— Skądże znowu! Chciałem się tylko przekonać, czy jeszcze żyje — odparłem, widząc, że to istotnie nieprzytomny Ralf leży na ziemi. — Lecz cóż na miły Bóg zaszło tutaj właściwie? — zapytałem z kolei.

— I ja chciałabym się dowiedzieć, co się tutaj właściwie stało — piszczała histerycznie niewiasta w papilotach, wystawiając kędzierzawo ufryzowaną głowę z za olbrzymiego wachlarza.

— Mojem zdaniem tylko mr. Maguire może zdecydować, czy możemy się dowiedzieć o tem, czy też nie — zauważył kategorycznie sekretarz.

Sławny mistrz boksu stał majestatycznie na dywanie perskim i rozkoszował się swym tryumfem, spoglądając z dumą wokoło. Była to dla niego chwila nazbyt słodka, aby opłaciło mu się zakłócić ją słowami. Pokój, w którym znajdowaliśmy się, był właściwie gabinetem do pracy, urządzonym bardzo wymyślnie i kunsztownie. Nic z jego otoczenia nie zdradzało w nim zawodowego boksera, wyjąwszy jego samego, jego zachowania się i wulgarnego słownika, oraz jego muskularnej postaci i wystającej szczęki. Swego czasu oglądałem dokładnie jego mieszkanie i znałem także pokój, w którym obecnie rozgrywała się emocjonująca scena. Dama we, fli-trach spoczywała w olbrzymim fotelu, niby wielka ozdoba na choinkę, sekretarz stał oparty o biurko, zaś głowa boksera odcinała się ostro od wysokiej, nowej szafy na książki, wyłożonej drogocenną porcelaną i bronzami. Nabiegłe krwią oczy boksera błądziły z widoczną satysfakcją i rozkoszą doznanego

tryumfu po stoliku z likierami i zatrzymały się kolejno na butelce, otoczonej kieliszkami oraz na drugiej butelce, tkwiącej w prześlicznym, rafinowanie wytworknym srebrnym pokrowcu.

— Czy to nie pyszny kawał? — zapytał wreszcie Maguire, przypatrując się nam kolejno i uśmiechając się nabrzmałemi wargami. — Pomyśleć tylko, że wystarczyło nastawić sidła na ptaszka, a ten przeklęty gałgan wpadł w pułapkę, jak niepyszny! Panie hm... tego... panie pan — skierował się do mnie, kiwając swoją potwornie wielką głową — czy przypomina pan sobie, że gdy pan był u mnie razem z tym sportowcem, djabli go wiedzą, jak się tam nazywa, to wam opowiadałem, jak to już raz udał mi się taki kawał, że złapałem takiego łajdaka moim własnym sposobem? Aj, szkoda, że niema tutaj pańskiego przyjaciela, toby się dopiero napatrzył! To był morowy chłop z wiary, ten pański przyjaciel, bardzo mi się nawet podobał, tylko za dużo chciał wiedzieć; może miał jakieś swoje powody, kto go tam wie... Ale muszę panu wyjaśnić, na czym polega mój podstęp, przecież chciałbym się przed panem pochwalić że mam głowę nie od parady! Widzi pan tę flaszkę na stole?

— Właśnie przypatrywałam się jej z utęsknieniem — wtrąciła dama we flitrach. — Gdyby pan wiedział, jak się zdenerwowałam! Mógłby nas pan czem pokrzepić!

— Zaraz panią czemś pokrzepię — odparł Maguire. — Gdyby pani jednak miała apetyt na wódeczność w tej oto butelce, toby pani zaraz położyła się koło tego draba.

— Boże miłościwy! — zakrzyknąłem mimowoli, gdyż w tej chwili cała sytuacja stała mi się zupełnie jasną i odgadłem szatański plan boksera.

— Tak jest, mój panie — rzekł Maguire, który na

szczeście widocznie nie zrozumiał znaczenia mojego okrzyku. — Moja pułapka, to tylko ta mała flaszka wódki z domieszką proszku nasennego, przeznaczona dla włamywaczy i drabów wszelkiego rodzaju. Ta oto butelka ze srebrną etykietą jest jedyną moją bronią przeciw nie pożądanym gościom, zaś druga, nie różniąca się od niej ani na jotę, zawiera trunek zupełnie normalny, takiegoż smaku i koloru, jak i wódka z proszkiem. Na noc zakładam etykietę na flaszkę z środkiem nasennym, który nabyłem od pewnego Indjanina za drogie pieniądze. Nie należy z tem żartować! Między dziesięcioma ptaszkami nocnymi niewątpliwie dziewięciu golnie sobie kieliszeczek dla nabrania odwagi przed zabraniem się do pracy. Do takich numerków należał także nasz gość, leżący oto przed nami na podłodze.

— Odnoszę wrażenie, że pańskie zabezpieczenie mogło jednak łatwo zawieść — odparł sekretarz. — Czy zbadał pan dokładnie zawartość pańskiego skarbcza?

— Nie jeszcze, nie miałem na to czasu — rzekł Maguire, rzucając niespokojne spojrzenie na szafkę ze srebrem.

— W takim razie może pan sobie zaoszczędzić tego trudu — odpowiedział sekretarz, znikając pod okrągłym stolikiem i wyciągając z pod niego mały, czarny woreczek, który natychmiast rozpoznałem. Był to ten sam woreczek, który używał Ralf, udając się na większe polowanie.

Był tak naładowany, że sekretarz musiał użyć obydwu rąk, aby go podnieść i położyć na stole. Niezwłocznie wydobył z niego bezcenne ckarby, jak wysadzany klejnotami pasek, ofiarowany bokserowi od stanu Newada, statuetkę Maguire'a ze srebra,

ZWIĄZEK ZEM. PRAC. POLSKICH
POLIGRAFICZNEGO
W POLSCE
Główny w BOCHNI
Okraj KRAKÓW

oraz złotą cegię pamiątkową od obywateli z Sakramento.

Sam widok tak starannie strzeżonych skarbów oraz świadomość niebezpieczeństwa, które im groziło i odwaga złoczyńcy, wprawiły boksera w stan takiej wściekłości, że leżącą bezwładnie postać kopnął kilka razy z całej siły, zanim ja lub sekretarz mogliśmy temu przeszkodzić.

— Na miłość Boską, panie Maguire, niechże się pan nie zapomina! Ten człowiek jest bądź co bądź bezbronny i oszołomiony! — wykrzyknął blady z oburzenia sekretarz.

— A niech go wszyscy djabli porwą! Może Bogu dziękować, że wyszedł żywo i cało z tej opresji!

— Mojem zdaniem byłoby raczej wskazaniem za-telefonować po policję.

— O, nie wcześniej, aż ja się sam z tym potworem obliczę! Chcę mu pysk sprać na galaretę! Wszystkie zęby powybijam mu tak wprawnie, że go nagła krew zaleje! A potem może sobie przyjsć policja i do reszty dać mu ducha!

— Słowo daję, że mi się słabo robi! — narzekala wytworna dama w papillotach. — Gdyby się pan wreszcie zmiłował i pokrzepił moje nadwątlone siły jakimś trunkiem, a przytem zaczął się delikatniej wyrażać!

— A kto pani broni napić się czegoś? — zapytał Maguire z właściwą sobie rubasznością. — Do wszystkich djabłów, a to co za nowa historia z telefonem?

Sekretarz ujął właśnie zwisającą na sznurku słuchawkę telefoniczną.

— Odnoszę wrażenie, że ten opryszek dzwonił jeszcze do kogoś, zanim padł bezwładnie na ziemię — rzekł sekretarz.

Tymczasem ja zwróciłem się z uprzejmą prośbą

do nieznaomej damy, aby zechciała wypić cokolwiek.

— To bardzo prawdopodobne, że ta bezczelna bestja odważyła się na coś podobnego — piorunował Maguire. — Lecz nie zważajmy na tego opryszka, lecz napijmy się najpierw na powodzenie dobrej sprawy!

Teraz mnie ogarnął strach paniczny na myśl o tem, co grozi Ralfowi za chwilę. Gdybym nawet zdołał odsunąć od niego bezpośrednio niebezpieczeństwo, to i tak za chwilę policja ustali, do kogo on na ostatku dzwonił i nazwisko moje musiałoby być ujawnione. Ta właśnie okoliczność, że nie powiedziałem ani słowa o naszej rozmowie telefonicznej, musiałaby zgubić nas obydwóch. Zrobiło mi się ciemno w oczach na samą myśl o tem, że sprawa, która dotychczas poszła względnie gładko, mogła zahaczyć o taką drobnostkę. Dowody były nazbyt obciążające, aby można się było uwolnić z pod ich nawału. Mimo wszystko mogłem zakopać nas obydwu dłuższem przemilczaniem sprawy. Zacząłem więc mówić z tą nagłą determinacją człowieka, który nóż czuje na gardle.

— Ciekaw jestem, czy on przypadkowo do mnie nie dzwonił! — zawołałem, jak gdyby nagle tknięty nową i niespodziewaną myślą.

— Do pana, mój synku? — zapytał Maguire z obłętnym uśmiechem, trzymając kieliszek w dłoni. — Cóż u diabła mógł on o panu wiedzieć?

— Albo skąd do pana ta znajomość? — uzupełnił sekretarz pytanie swego szefa.

— Na razie nie wiem — odparłem z akcentem bezwzględnej szczerości w głosie, przeklinając w duchu moją pochopność do wyznań. — Lecz na chwilę przed udaniem się do pana telefonował ktoś do mnie i sądziłem, że to właśnie Ralf Raffles. Może

pan sobie przypomina, że panu o tem już wspominałem, iż spodziewałem się zastać Ralfa u pana.

— Nie pojmuję jednak, w jakim związku może stać to pytanie z tym drabem, który się do nas włamał — rzekł sekretarz, wpijając we mnie wierzące spojrzenie.

— I ja nie zdaję sobie na razie z tego sprawy — odpowiedziałem nieśmiało, tracąc z wolna nadzieję, czy zdołam wyplątać się z tej matni. Cała moja nadzieja polegała chwilowo na widocznem zaufaniu sekretarza do mojej osoby i na nieprawdopodobnej ilości rumu, który wlewał sobie Maguire do wody sodowej.

— Czy rozmowa pańska została nagle przerwana? — zapytał sekretarz, sięgając po butelkę z wódką, podczas gdy my siedzieliśmy wszyscy dookoła stolika, w najlepszej zgodzie i harmoniji.

— Właśnie... i to tak nagle, że nawet nie mogłem dowiedzieć się, kto do mnie telefonował. — Nie, dziękuję, nie piję alkoholu.

— Co? A to co znowu za nowa moda? To pan chce mi odmówić wypicia ze mną kieliszka wódki w moim własnym domu? — ryczał Maguire, pchnożąc na mnie przekrwione oczy. — Miej się pan na baczności, kochanie! Tego nie czyni porządny człowiek!

— Jadłem kolację w klubie i wypilem z musu bardzo dużo — usprawiedliwiałem się nieśmiało. — Nie jestem przyzwyczajony do nadmiaru alkoholu.

W odpowiedzi Maguire trzasnął o stół z całej siły swą potężną pięścią.

— No, daj pan spokój, mój gołąbku, pan mi się wcale podoba... Jeżeli jednak nie będzie pan chłopem z wiary, to koniec z naszą przyjaźnią.

— Dobrze, już dobrze — odpowiedziałem pospie-

sznie. — Jeżeli już koniecznie to być musi, to najwyżej jeden mały kieliszek.

Naturalnie sekretarz nie omieszkiał w dowód serdeczności nalać mi podwójnej porcji.

— Ale dlaczego przypuszcza pan, że człowiek, który pana wołał do telefonu, musi być właśnie pańskim przyjacielem Raflesem? — ciągnął dalej swoje nieubłagane śledztwo, podczas gdy Maguire wrzeszczał:

— Pij pan, pij prędzej! Do dna! — i opadł bezwładnie na krzesło.

— Już zasypiałem, gdy ktoś zawołał mnie niespodziewanie do telefonu — odparłem. — Mimowoli pomyślałem o Ralfie. Mamy zwyczaj, że prowadzimy telefonicznie długie rozmowy. Przytem chodzi tu o zakład...

Wprawdzie udawałem, że piję, lecz udało mi się jakoś postawić kieliszek nietknięty na stole. Potężna szczeka boksera opadła bezwładnie na biały gors koszuli. Równocześnie zauważyłem, że także nieznajoma dama zasnęła.

— Jakiż to zakład? — przerwał nagle moje obserwacje głos sekretarza. Mrugając nerwowo oczyma, przypatrywał mi się bacznie. Jednym haustem wychylił trzymany w ręku kieliszek.

— Założyliśmy się co do tej zasadzki, o której opowiadał nam Maguire — odpowiedziałem, przypatrując się sekretarzowi. — Ja obstawałem przytem, że cała ta zasadzka to zwyczajna pułapka żelazna. Natomiast Rafles sprzeczał się ze mną, że to musi być coś innego. Kłóciliśmy się zawzięcie na ten temat. Raffles ciągle powtarzał, że to nie może być pospolita pułapka, ja jednak byłem odmiennego zdania. A teraz widzę, że Ralf miał rację. Ale pomysł był niezły i zasadzka bardzo sprytnie obmy-

ślana! Teraz cała paczka siedzi uwięziona, z wyjątkiem mojej skromnej osoby!

Przy ostatnich słowach zciszyłem głos, lecz było to całkiem zbyt ciche. Jeszcze kilka zdań wygłosiłem bez sensu, od tak, w koło Macieju, aby przekonać się, czy przemówienie moje nie wpłynie na sekretarza o tyle, aby zdołał otworzyć oczy. Okazało się jednak, że słowa moje wywierają na niego wpływ wręcz przeciwny. Głowa opadła na stół z silnym łoskotem, mimo to nie zdawał się odczuwać uderzenia. Był bezwładny, jak kłoda i nawet nie drgnął w chwili, gdy podsuwałem mu jego własne ramię pod głowę. Obok niego siedział Maguire i spał z głową opartą o sztywny gors koszuli, zaś dama w srebrzystej sukni spoczywała w fotelu, oddychając regularnie. Łuski jej lśniącej sukni migotały w świetle lampy. Wszystko troje zdawało się spać snem kamiennym; czy to było kwestją przypadku, czy też zaważył tu na szali wpływ trzeciej osoby, nad tem pytaniem nie miałem czasu się zastanawiać. Wystarczyło mi stwierdzić, że z ich strony nie grozi mi niebezpieczeństwo.

Wreszcie mogłem poświęcić uwagę Ralfowi. Jego sytuacja była właśnie tą odwrotną stroną medalu. Biedak spał tak twardo, jak i nieprzyjaciel — tego właśnie obawiałem się najbardziej. Łagodnie potrąciłem go raz i drugi, lecz nie dawał znaku życia. Potrząsnąłem nim zatem nieco silniej, na co on zareagował mrużeniem bez związku. Trwało to jeszcze kilka groźnych chwil, zanim oprzytomniał i począł mnie poznawać.

— Bunny! — wymamrotał, ziewając. Wreszcie oprzytomnił sobie swoją sytuację. A więc przyszedłeś mi na pomoc — rzekł tonem tak serdecznym i pełnym uznania, że, zadowolony, zaczerwieniłem się jak panienka. — Nie darmo liczyłem na ciebie. Czyżby

oni jeszcze nie wrócili? W takim razie należy każdej chwili spodziewać się ich powrotu. — Szkoda tracić czasu.

— Nie, nie bój się, już oni tutaj nie wrócą, bo już oddawna siedzą wszyscy razem! — odparłem szeptem. Natychmiast Ralf podniósł głowę i własnymi oczyma ujrzał, co się święci. Całe trio spało snem kamiennym.

Ku mojemu zdumieniu Ralf był mniej zdziwiony tem, co ujrzał, aniżeli ja sam, który byłem naocznym świadkiem całego wydarzenia. Na twarzy jego za gościł uśmiech triumfu tak zwycięskiego, jak nigdy jeszcze. Uśmiech ten opromienił jego czarne, zamorusane sadzą oblicze. Najwidoczniej scena ta, która mnie wprowadziła w takie zdumienie, nie była dla niego ani zagadką, ani niespodzianką.

— Jak dużo wypili mniej więcej? — zapytał szeptem.

— Maguire wypił 3 kieliszki, zaś sekretarz i ta pani po dwa.

— W takim razie nie musimy zachowywać żadnych środków ostrożności, bo i tak nas nie usłyszą. Śniło mi się, że ktoś trącił mnie w żebra, lecz to zapewne było prawdą.

Przytrzymując ręką bok, w który Maguire kopnął go poprzednio z całej siły i krzywiąc się z bólu, powstał z wolna.

— Kto z tej trójki zdobył się na ten postępek, nie trudno się chyba domyśleć! — odparłem. — Ale teraz bydle to ma za swoje! — W ostatniej pasji pogroziłem pięścią brutalnemu bokserowi pod samym jego murzyńskim nosem.

— Jest unieszkodliwiony aż do południa, o ile nie nadejcie pomoc lekarska — rzekł Ralf. — Wątpię, czy udałoby się nam obudzić go teraz, gdybyśmy nawet chcieli to uczynić. Jak myślisz, ile tego sza-

tańskiego trunku ja sam wypięm? Zapewniam cię, że najwyżej łyżeczkę kawową. Przeczuwałem, że prawdopodobnie w jednej z butelek znajduje się narkotyk, lecz nie mogłem oprzeć się ciekawości, aby wypróbować na samym sobie, która butelka stanowi właściwą pułapkę. Gdy tylko przekonałem się, że to właśnie ta butelka z etykietą stanowi właściwe niebezpieczeństwo, przestawiłem je i zamieniłem etykiety, nie spodziewając się, że sam będę świadkiem tej całej komedji. Już w następnej chwili nie mogłem utrzymać otwartych oczu. Uprzytomniłem sobie wówczas, że trunek, którego skosztowałem, był aż na tyle zdradziecki, iż nawet taka odrobina mogła pozbawić mnie przytomności. Miałem teraz dwa wyjścia z sytuacji. Albo mogłem opuścić dom wraz z łupem, lecz w takim razie narażałem się na to, że w każdej chwili pierwszy lepszy policjant zaprowadzi mnie jako pijanego do najbliższego komisariatu. Epilog takiego postępowania byłby dla mnie bardzo żałosny... Wolałem zatem zostać i...

— Więc dlatego zadzwoniłeś do mnie?

— Był to mój ostatni błysk przytomności, lecz pomysł istotnie doskonały. Co się później stało, o tem niemam najlżejszego wyobrażenia, ponieważ spałem jak zabity.

— Twój głos brzmiał istotnie tak, jak gdybyś spał na jawie. Teraz jednak mam wyjaśnienie zagadki i rozumiem wszystko doskonale.

— Nie pamiętam ani jednego słowa z naszej rozmowy, ani nawet, jak ona się zakończyła, Bunny.

— Nic dziwnego, zasnąłeś i upadłeś, zanim zdołałeś dokończyć rozmowy.

— Chyba tego nie mogłeś słyszeć przez telefon?

— I owszem, słyszałem najdokładniej, jak gdyby ze sąsiedniego pokoju. Myślałem jednak, że to Maguire przyszedł i uderzył cię tak mocno, że upadłeś.

Nigdy jeszcze Ralf nie przysłuchiwał się moim słowom z taką uwagą i zaciekawieniem. Przy ostatnim zdaniu wyraz jego twarzy złagodniał, z serdecznym uśmiechem uścisnął mnie przyjaźnie za rękę.

— Więc spodziewałeś się, że znajduję się w wielkim niebezpieczeństwie, zaatakowany przez najsilniejszego boksera na całym świecie, a jednak przybiegłeś mi na pomoc, aby z mojej przyczyny wdać się w beznadziejną walkę z samym nawet Barney'em Maguirem! Nawet Zygryd, walczący ze smokiem, traci na bohaterstwie w porównaniu z tobą!

— To bynajmniej nie jest wyłącznie moją zasługą — przycz, na takiego postępowania jest zupełnie inna — odpowiedziałem, mając na myśli moją brawurową nierozwagę i sprzyjające mi szczęście. — Znasz przecież starego Morrisona? Właśnie dzisiaj wieczoru jadłem z nim kolację w jego klubie i popijałem obficie winem.

Ralf pokiwał głową z dobrotliwym uśmiechem. w oczach jego jaśniało uznanie, które dla mnie było najmiłą nagrodą.

— To w moich oczach nie odgrywa żadnej roli, jak dużo wina wypiełeś do kolacji. In vino veritas, Bunny. Twoja junacka odwaga nie wymaga takiej zachęty, ani podniety. Nigdy nie wątpiłem w twoje męstwo, na przyszłość przyrzekam ci, że ani mi przez myśl nie przejdzie kiedykolwiek w nie wątpić. I teraz jestem przekonany, że jakoś sobie damy radę.

Na te zagadkowe słowa mojego przyjaciela twarz moja wydłużyła się z rozczarowania. Dotychczas myślałem, że już po naszym kłopotcie, że wystarczy jedynie przejść poza próg mieszkania — i cała sprawa jest załatwiona. Nagle spojrzałem Ralfowi w oczy — i zrozumieliśmy się natychmiast. Patrząc na te trzy osoby, śpiące snem sprawiedliwych i nie

ZWIĄZEK ZAW. PRAC. PRZEMYSŁU
POLIGRAFICZNEGO
W POLSCE
UL. MARSJAŃSKA 100
1900

przeczuwające, co się święci, uprzytomniłem sobie cały ogrom trudności, piętrzący się przed nami. Najkomiczniejsze było to, że nie przestałem ani na chwilę zdawać sobie sprawy z powagi sytuacji, jak długo cały ciężar wydobywania się z matni spoczywał na moich barkach. Skoro tylko usłyszałem głos Ralfa, wzięło górę przyzwyczajenie zwalania na niego odpowiedzialności i z pełnym zaufaniem zrzuciłem z siebie cały kłopot. Było to podświadome podporządkowanie się powadze i zaradności Ralfa, hołd, złożony instynktownie mojemu przewodnikowi. Wstydzilem się też porządnie, skoro z oczu Ralfa wyczytałem, że odgadł on moje nieme przyznanie się do niedołęstwa. Łagodnie wyjaśniał mi całą sprawę.

— Gdybyśmy to tak poprostu zabrali się i poszli sobie bez słowa wyjaśnienia, natychmiast siłą faktu musiałoby paść podejrzenie na ciebie. O ileby nawet udało ci się jakimś cudem zrzucić z siebie podejrzenie, to w takim razie zwróciłoby się ono bezpośrednio przeciw mnie. Ale na tem właśnie polega cała sztuka, aby nie dostali żadnego z nas, bo w takim razie nakryją nas obydwóch, jak amen w pacierzu. O ile chodzi o mnie, to cała sprawa jest mi najzupełniej obojętna.

Ze słów jego przebijał się szlachetny rozsądek. To jednak, co powiedział dalej, było już najszlachetniejszym altruizmem i wypływało z jego szczerzej i bezwzględnej przyjaźni dla mnie.

— Wiesz dobrze, że moja osoba w tym wypadku nie odgrywa najmniejszej roli — ciągnął Ralf dalej. — Jestem sobie zwyczajnym, pospolitym rzezi-mieszkiem, który ucieka po dokonaniu kradzieży. Pomyśl jednak, jak wytłómaczyłbyś moją ucieczkę?

Wszak znają cię i dowiedzieliby się w ten sposób, że zeszedłeś na bezdroża. Obmyślmy zatem, co na

naprzykład mogło się wydarzyć po ich zaśnięciu?

I przez chwilę uśmiechał się Ralf, marszcząc czoło, jak autor sensacyjnego romansu, który sam stara się rozwiązać stworzoną przez siebie zagmatwaną sytuację. Nagle czoło jego wypogodziło się i wyglądało, widocznie znalazł rozwiązanie zagadki. Twarz jego zajaśniała radością, mimo sady, która leżała na jego obliczu niby czarna maska.

— Mam, Bunny! Wiem, co powiesz! — zawołał uradowany. — Pamiętaj, że i ty piłeś wódkę z narkotykiem, tylko nie w takiej ilości, jak oni!

— Wybornie! To nawet o tyle odpowiada prawdziwemu stanowi rzeczy, że istotnie namawiali mnie usilnie do picia, lecz tłumaczyłem się, że nie lubię wódki i jeżeli już koniecznie być musi, to chyba bardzo mało.

— A więc istotnie uległeś wezwaniu — pouczał mnie Ralf — lecz wypiliśmy tak mało, że pierwszy oprzytomniałeś. Tymczasem ja uciekłem, zabierając wszystkie trofea Maguira. Staraliśmy się wprowadzić obudzić ich z tego twardego snu, lecz nadaremnie. Brzmi to nietylko prawdopodobnie, lecz jest nawet istotną prawdą, o ile chodzi o ścisłość. Cóż zatem w takim wypadku wypadałoby ci uczynić? Co jest rzeczą jedynie możliwą, którą należy zrobić w takich okolicznościach? No, zastanów się, Bunny!

— Wezwać policję — wykrztusiłem bez wewnętrznego przekonania, ponieważ ewentualność ta bynajmniej mnie nie nęciła.

— W tym celu właśnie znajduje się telefon w pobliżu szafy ze skarbami Maguira — odparł Ralf. — Na twoim miejscu zawołałbym właśnie policję. — Tylko proszę cię, nie pokazuj, że się jej obawiasz, Bunny. Są to zazwyczaj najsympatyczniejsi ludzie na świecie, a to, co obecnie chcesz im mówić, znika zupełnie w zestawieniu z tem, ile ja im się dałem

już we znaki. Zresztą zřęcznie podane opowiadanie będzie miało pozory zupełnie przekonywujacej prawdy. Tylko, że niestety w tej całej historii tkwi pewien niejasny punkt...

— Masz na myśli, że mogliby wpaść na to, iż ty właśnie po mnie dzwoniłeś?

— Nie przeczę, że to jest możliwe. — rzekł Ralf w zamyśleniu. — Lecz, jak widzę, sprawa nie przedstawia się tak groźnie. Na szczęście zawiesiłem na czas słuchawkę.

— Właśnie, że i ja się tego obawiam, Ralfie — odpowiedziałem zaniepokojony. — Obawy moje są z tego względu uzasadnione, ponieważ zdradziłem im pewien szczegół. Muszę sprostować twe błędne mniemanie w sprawie słuchawki. Właśnie, że nie zdążyłeś jej na czas powiesić na swoim miejscu, wisiała nad tobą w chwili, gdyśmy się tu wszyscy zjawili. Właśnie oni zastanawiali się nad tem i tak logicznie powiazali fakty ze sobą, że w obawie, iż się wszystkiego domyśla, wolałem uprzedzić sytuację. Przyznałem się im, że przyszedłem tutaj dlatego, ponieważ ktoś zatelefonował do mnie, a nawet powiedziałem im, że przypuszczałem, iż ty to uczyniłeś.

— Ależ Bunny, to chyba niemożliwe!

— Powiedz mi zatem, co miałem uczynić w mojej opresji? Musiałem wyrazić przypuszczenie, że uczynił to któryś z moich znajomych, a widziałem, że i tak nie poznają ciebie. Zbłagowałem zatem bajeczkę o naszym zakładzie co do formy zasadzki Maguira, to znaczy, na czem ona polega. Mój drogi, przecież ty nawet nie wiesz, jak ja się tutaj dostałem, lecz i teraz nie mam czasu, aby cię o tem poinformować. Na samym początku naszej rozmowy zapowiedziałem im, że spodziewałem się ciebie tutaj

zastać. Musiałem to uczynić nawypadek, gdyby cię rieli poznać. I właśnie do tej zapowiedzi nadawała się doskonale powiastka o zakładzie i o telefonie od ciebie.

— Spodziewałem się — odparł Ralf z uznaniem, które było najpiękniejszą nagrodą za moje znalezienie się i przytomność umysłu.

— Ja sam nie wymyśliłbym niczego lepszego... Wybacz, mój kochany, jeżeli powiem ci szczerze, że w całym twojem życiu nie zdobyłeś się jeszcze na tak przezorny i sprytny postępek. Proszę cię, skończ raz na zawsze z tem przypominaniem owego nieszczęsnego ciosu w głowę. Dzisiejszy twój czyn wymazuje raz na zawsze ten fatalny wieczór z mojej pamięci. Najgorszy w tej całej aferze jest fakt, że jeszcze tak dużo mamy do obmyślenia i do zrobienia, a tu czas nie pyta i nagli!

Bez słowa wyjąłem z kieszeni zegarek i pokazałem go Ralfowi. Była godzina 3 nad ranem i za godzinę niespełna można było spodziewać się świtu. Nagle Ralf zerwał się, widocznie powziął jakiś plan.

— Jedna jest tylko droga do naszego ocalenia — wyrzekł — a mianowicie musimy sobie wzajemnie zaufać i podzielić się pracą, która nas czeka. Zadzwońisz więc na policję, resztę już mnie pozostaw, zaraz pomyślę nad tem, co mamy uczynić.

— Weź jeszcze i to pod uwagę, że na razie nie uwzględniłeś w swoich rachubach tego, co oni pomyśla o tobie, jeżeli w ostatniej chwili mogłeś telefonować do mnie. Pamiętaj, że Maguire uważa mnie za człowieka nieskazitelnego!

— Nie, Bunny, jeszcze nie pomyślałem nad uwzględnieniem tego, ale mam nadzieję, że coś mi wreszcie wpadnie na myśl. Mamy wszak czas do namysłu. W każdym razie nie wysilaj się przyja-

cielu, zwalnam cię w dawaniu wyjaśnienia w tej sprawie. A nawet powiem ci prawdę, że gdybyś ty udzielał informacji, to podejrzenia musiałyby się przeciw tobie skierować.

— Masz słuszość, Ralfie — przytaknałem.

— Jeżeli masz zamiar mi zaufać i polegać na mnie, wierząc, że pomysłowość moja nie zawiedzie nas — o ile to możliwe, jeszcze przed nastaniem dnia, a w każdym razie wówczas, gdy nadejdzie właściwa chwila — to przestań się niepokoić. Nie pozostawię cię własnemu losowi, Bunny. Pówinneś sam sobie zdawać z tego sprawę, że po tem, co zaszło tej nocy, byłbym ostatnim szuja, gdybym kiedykolwiek nie przyszedł ci w potrzebie z pomocą.

W ten sposób sprawa była naogół omówiona. Bez słowa uścisnałem mu rękę i stanąłem na straży przy uśpionych, podczas gdy Ralf poszedł na górne piętra. Dopiero później dowiedziałem się, że na poddaszu przebywała wówczas służba, a także w suterenach mieszkał lokaj, który usłyszał kroki Ralfa. Na szczęście ludzie Maguira przyzwyczajeni byli do nocnego trybu życia swego pana. Odbywały się tam orgje pijackie tak skandaliczne i hałaśliwe, że w danej chwili ukazanie się służącego byłoby dla chłobodawcy nieco kompromitujące. Zapewne lokaj ów słyszał także Ralfa, gdy ten wychodził. Co prawda Ralf nie bardzo przestrzegał zachowania środków ostrożności. Sam sobie otworzył bramę, i, jak mi później opowiadał, pierwszym człowiekiem, którego spotkał na ulicy oko w oko, był policjant. Ralf z zimną krwią powiedział mu „dzień dobry“ — powierchowność jego nie budziła podejrzeń, ponieważ przed opuszczeniem mieszkania Maguira umył się starannie i ubrał w jego futro i kapelusz. W tem przebraniu mógł nawet zjawić się w klatce lwa —

to znaczy nawet na komisarjacie policji. Gdyby jednak policjantowi zachciało się zrewidować jego kieszenie, byłby naprawdę zdumiony. W jednej kieszeni miał złotą cegłę pamiątkową od miasta Sacramento, w drugiej srebrną statuetkę Maguira, zaś dookoła pasa okręcił się łańcuchem, wysadzonym klejnotami, darem Stanu Nevada dla słynnego boksera.

Rola, którą obarczył mnie Ralf, wkrótce po szarym brzasku dnia zaczęła mi nieco ciążyć i denerwować. Zapomniałem objaśnić, że umówiliśmy się z Ralfem, iż położę się na pół godziny koło całej śpiącej trójki i będę udawał upojonego. Dopiero rano miałem zaalarmować domowników i policję. Zaledwie się położyłem, gdy wtem Barney Maguire stracił nagle równowagę i runął śpiący na ziemię. Na szczęście ani sam się nie obudził, ani też nie obudził nikogo z obecnych. Nagły przestрах spowodował, że serce moje zaczęło walić jak młotem. Trwało to dłuższą chwilę, zanim się uspokoilem.

Zaczęło dnieć na dobre, gdy uznałem za stosowne zaalarmować dzwonieniem cały dom i policję, po którą niezwłocznie zatelefonowałem. W ciągu kilku minut mieszkanie natłoczone było służbą w neglizach, policją, oraz lekarzami. Przynajmniej tuzin razy powtarzałem moją ułożoną z góry historję, wreszcie brakło mi już sił, zwłaszcza, że głód dawał mi się porządnie we znaki. Bajeczka ta musiała jednak brzmieć bardzo prawdopodobnie i logicznie, mimo, że nie znalazła jeszcze potwierdzenia u właściwych bohaterów dramatu, którzy jeszcze spali. Wreszcie pozwolono mi opuścić mieszkanie, lecz zapowiedziano mi, że będę wezwany w celu złożenia bliższych zeznań, gdy tylko zajdzie potrzeba. Policja miała nadzieję ująć złoczyńcę jeszcze tego sa-

mego dnia i ja to właśnie miałem stwierdzić jego identyczność.

Pojechałem wprost do mojego mieszkania. Przed domem spotkałem portjera, który pomagał mi wysiąść z dorożki. Oblicze jego miało wyraz takiego przerażenia, że natychmiast domyśliłem się dotyczącej mnie katastrofy.

— Proszę pana, stało się nieszczęście! Tej nocy włamano się do pańskiego mieszkania i obrabowano je doszczętnie! — zawołał.

— Co!! Złodzieje w mojem mieszkaniu! — zawłałem przerażony. — Ze zgrozą uprzytomniłem sobie, że to, co stało się ich łupem, mogło w wysokim stopniu obciążyć przed policją tak mnie, jak i Ralfa.

— Drzwi wyważono sztabą żelazną — opowiadał portjer. — Mleczarz pierwszy zauważył kradzież. Obecnie przebywa policjant w pańskim mieszkaniu.

Boże mój, co za fatalny zbieg okoliczności! Policja, rewidująca moje mieszkanie! Nawet nie czekałem na windę, lecz niezwłocznie pobiegłem na górę, biorąc po kilka schodów na raz. Umundurowany intruz notował coś skrzętnie w grubym notesie, maczając ołówek w ustach. Na razie nie przestąpił jeszcze progu pokoju, lecz opisywał stan wyłamanych drzwi. W zdenerwowaniu przebiegłem pędem koło niego. Któż opisze moje przerażenie, gdy zastałem opróżnioną komodę, w której przechowywaliśmy moje skarby, zaś zamek wyłamany!

— Skradli panu przedmioty wartościowe? — pytał policjant, stając niespostrzeżenie tuż za mną.

— Tak jest, stare srebro rodzinne — odpowiedziałem zgodnie z prawdą, lecz nie objaśniłem go, że rodzina, od której pochodziło srebro, nie była

moja. Nagle zaświtała w moim zaćmionym wypadkami umyśle właściwa prawda. Zauważyłem, że nie ukradziono mi niczego wartościowego, prócz srebra, natomiast w mieszkaniu panował nieład nie do opisania. Zwróciłem się do portjera, który przyszedł za mną na górę.

— Postaraj się pan jakimkolwiek sposobem, aby ten bałwan policjant zniknął stąd jak najprędzej — szepnąłem. — Sam udam się do Scotland Yard. Powiedz pan żonie, aby uporządkowała moje mieszkanie przez czas mojej nieobecności i postaraj się pan, aby naprawiono zamek mieszkania, jeszcze zanim wrócę. W tej chwili odchodzę.

Tak też uczyniłem, lecz nie pojechałem na policję. Jak się czytelnik domyśli, dałem szoferowi adres Ralfa. On sam otworzył mi drzwi. Wyglądał nader wesoło, świeżo i rzeżko. Trudno określić słowami, jaki był czarujący: w wytwornem sportowem ubraniu, roześmiany, pogodny, podobny do tego marcowego wiosennego dnia, jak jego brat rodzony.

— Co u licha wpadło ci na myśl, aby wypróbować twojej sztuki na mojem mieszkaniu? — zapytałem, będąc już w pokoju.

— Było to jedynie możliwe wyjście z naszej sytuacji — odparł, częstując mnie papierosem. — Gdy tylko znalazłem się na ulicy, wpadłem na ten pomysł i niezwłocznie go zrealizowałem.

— Wiesz Ralfie, że ciągle jeszcze trudno mi sobie to uprzytomnić.

— Zastanów się nad tem, Bunny: kto mógł mieć w tem interes, aby usunąć telefonicznie kawalera z jego mieszkania i to w nocnej porze?

— A właśnie ten telefon od ciebie był jedynym słabym punktem naszego tłumaczenia.

— Powiedziałem ci, przecież Bunny, że myśl ta

wpadła mi bezpośrednio po wyjściu z domu Maguire. Otóż włamywacz, który obrabował boksera, podszył się pod moje nazwisko i wywołał cię telefonicznie w tym celu, aby następnie mógł także u ciebie dokonać bezkarnie włamania. Przecież to jasne, jak słońce i policja musi w to uwierzyć.

Ralf był widocznie zadowolony ze swojej kombinacji, ponieważ uśmiech radosnego tryumfu rozjaśniał jego oblicze.

— Wytłumacz mi Ralfie, dlaczego właśnie na mnie musiał paść wybór tego mniemanego włamywacza?

— Mój drogi Bunny, trzeba także policji pozostawić nieco żeru dla jej fantazji. W odpowiedniej chwili jednak pomożemy jej kilkoma objaśnieniami rozwikłać węzeł zagadki. Przypominam sobie, że Maguire zaprosił nas do swego mieszkania po raz pierwszy o północy bezpośrednio po wspólnej kolacji w „Imperjału“, gdzie go poznaliśmy. Czy pamiętasz, jak wówczas zatelefonował do swojego służącego, aby przygotował dla nas małą zakąskę. Idąc do niego, rozmawialiśmy przeważnie o dobrodziejstwie instalacji telefonicznej. Wówczas Maguire chwalił się z posiadania drogocennych trofeów, a ty, pragnąc upokorzyć jego pychę, chwaliłeś się również, jakie wartościowe zabytki masz zamknięte w twojej szafie w mieszkaniu. Nie logiczniejszego, jak to, że ktoś chodził wówczas za nami i podsłuchiwał naszą rozmowę. I dlatego tak on, jak i ty staliście się tej samej nocy ofiarami zachłanności tego samego bandyty.

— Sądysz istotnie, że policja zadowolili się takim tłumaczeniem?

— Jestem tego najzupełniej pewny drogi Bunny,

a nawet nie przypuszczam, aby zachodziła konieczność składania tego rodzaju objaśnień.

— W takim razie pozwól, że zapalę sobie jeszcze jednego papierosa i pojedę do Scotland Yard.

Ralf załamał dłonie, spoglądając na mnie ze zdumieniem i podziwem.

— Do Scotland Yard! Bunny, czyż być może?

— Muszę przecież dać fałszywy opis rzeczy, które zostały mi tej nocy skradzione.

— Fałszywy opis! Bunny, jesteś genialny!... Oświadczam ci, że prześcignąłeś mistrza i że się już niczego odemnie nie nauczysz. Był czas, w którym nie pozwoliłbym ci ruszyć się bezemnie, lecz po ostatniej nocy, w której się tak dzielnie spisałeś, zaufam ci zupełnie i nie zawaham się przed powierzeniem ci najodpowiedzialniejszej nawet sprawy.

Przyznam się, że słowa mojego przyjaciela sprawiły mi tym razem prawdziwą przyjemność i napały mnie szczerą dumą.

ROZDZIAŁ VII.

Relikwie Ralfa.

W numerze jednego z dzienników londyńskich ukazał się pewnego dnia artykuł, który nerwom naszym dał krótkie wytchnienie po emocjonujących wrażeniach wojny. Było to w owym czasie, gdy Ralf miał już przyprószone siwizną włosy i obydwaj zbliżaliśmy się już do końca naszej pełnej tajemnie kariery włamywaczy. W klubie Piccadilly i Albany nie wiadomo już nie o naszej egzystencji, jednak, ilekroć napadła nas pokusa, ulegaliśmy jej i z naszej willi, położonej sielankowo na krańcu Ham Comon, często robiliśmy wypadki. Przede-

Włamywacz Raffles.

22

ZWIĄZEK ZNW. TŁAC. KRAKÓW
POLIGRAFICZNE & O
W POLSCE
GABRIEL W. BOCH
KRAKÓW

wszystkiem jednak byliśmy spragnieni wypoczynku, a jakkolwiek zmuszeni byliśmy w owym czasie obchodzić się bez dorożki automobilowej i poprzestawaliśmy na rowerze, to jednak, gdy nadeszła zima, główną naszą rozrywkę stanowiła lektura. W ten sposób wojna stanowiła dla nas zupełną odmianę trybu życia, bo jakkolwiek nie braлиśmy w niej czynnego udziału, to jednak codzienne zakupywanie dzienników w kiosku gazetowym stanowiło dla nas źródło niewyczerpanej emocji. Pewnego dnia powróciłem z mojej wyprawy po gazetę bardzo zdenerwowany. W tym wypadku nie chodziło o nową wiadomość z placu boju, lecz o coś zupełnie odmiennego. Dziennik ten był bardzo poczytny i naogół cieszył się wielką sympatją. Otóż w dniu owym zawierał on artykuł bogato ilustrowany, którego treść stanowił opis t. zw. „Czarnego muzeum“, przybytku, w którym znajdowały się zbiory z dziedziny kryminalistyki. Muzeum mieściło się w Scotland Yard, a z sensacyjnego opisu dowiedzieliśmy się przedewszystkiem, że pełna grozy wystawa wzbogaciła się o obficie zaopatrzone działo, który nosił obiecujący dla nas napis „Relikwie Ralfa Rafflesa“.

— Bunny — rzekł do mnie Ralf z uśmiechem — wreszcie zostałem nie tylko popularny, lecz i sławny! Takie odznaczenie mojej osoby wynosi mnie ponad zwykłą miarę pospolitych rzeżymieszków i wciela do grupy bohaterów nocy, których każdy kolidujący z prawem uczynek zostaje wypisany dla potomności złotemi zgłoskami. Widziałem już relikwie po Napoleonie, po Nelsonie, a teraz pragnąłbym ujrzeć relikwie Rafflesa!

— I ja chciałbym obejrzeć ten dział muzeum w Scotland Yard! — dodałem z zapalem. Już w na-

stępnej chwili załowałem mego okrzyku. Ralf spojrział na mnie dobrze znanymi mi wzrokiem, na ustach jego błękał się uśmiech tryumfującej brawury, a w oczach zapaliły się ogniki, które aż nazbyt dobrze zdradziły mi jego zamiary.

— Wiesz, że to pomysł wspaniały, znaleźć się w paszczy lwa i w obecności samej, wszechpotężnej policji oglądać owoce własnej pracy — rzekł Ralf tonem spokojnym, lecz poznałem po nim, że w myśli opracowuje już realizację tak lekkomyślnie przemennie rzuconego pomysłu.

— Naturalnie, nie myślałem o tem serjo — dorzuciłem skwapliwie — a i ty, jak przypuszczam, nie nosisz się serjo z tego rodzaju zamiarami!

— Właśnie, że mylisz się, Bunny. Mam istotnie zamiar oglądnąć pamiątki po mnie samym. Nigdy jeszcze nie miałem tak poważnych zamysłów, jak obecnie.

— Czyżbyś istotnie chciał się narazić na takie niebezpieczeństwo, aby w jasny dzień udać się do Scotland Yardu, gdzie zna cię z opisu i fotografii każdy policjant?

— Może nie tyle w jasny dzień, jak w jasne elektrycznością oświetlone popołudnie. Otóż pójdę tam i raz jeszcze oglądnę moją utraconą własność — odparł Ralf, studjując artykuł w gazecie. — Popatrz, jak liczne ilustracje posiada ten artykuł. Oto skrzynia, którą wlokłeś wówczas do twojego banku, podczas, gdy ja siedziałem w środku, o czem ty nie miałeś pojęcia. A oto fotografia sznurowej drabiny i inych rekwizytów mojego zawodu. Wprawdzie ilustracje są tak niewyraźne i kiepskie, że trudno mi rozpoznać w niej moją własność. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak odwiedzić muzeum i przeko-

nać się, czy opis odpowiada istotnemu stanowi rzeczy.

— Tego rodzaju imprezę zostawiam tobie, mój kochany — rzekłem, nie zdradzając bynajmniej dobrego humoru. — Twoja powierzchowność uległa od tego czasu znacznym zmianom, lecz jestem przekonany, że mnie poznałoby na pierwszy rzut oka.

— W każdym razie cieszysz się w sferach policyjnych tak nieposzlakowaną opinią, że mógłbyś mi przynajmniej załatwić bilet wstępu — rzekł Ralf.

— Otóż to — zawołałem z tryumfem. — Drwisz mój drogi, czy o drogę pytasz? Znają mnie tam omal tak dobrze, jak i ciebie, kochanie. Kto zatem zechciałby dać bilet wstępu do muzeum policyjnego wypuszczonemu z więzienia włamywaczowi?

Ralf wzruszył ramionami, widocznie podrażniony mojem opozycyjnem stanowiskiem w tej sprawie.

— Człowiek, który zwiedził to muzeum i opisuje je w tym artykule, musiał także postarać się o bilet wstępu — rzekł Ralf w odpowiedzi. — Zapewne otrzymał go od swego nakładcy, jako dziennikarz lub literat. Wszak i ty jesteś znanym i cenionym literatem i mógłbyś otrzymać bilet do muzeum w ten sam sposób. Po prostu nie chce ci się potrudzić i na tem polega cała trudność. Nie wymagam tego jednak od ciebie, mój przyjacielu, abyś dla zadowolenia mojego kaprysu miał się narażać na jakiegokolwiek nieprzyjemności. To prawda, że włosy moje posiwiały i wszyscy uważają mnie już od dawna za nieboszczyka, lecz gdybym uległ pokusie i poszedł tam, mimo piętrzących się przeszkód, a potem został poznany, następstwa takiej ewentualności byłyby dla ciebie nazbyt straszne, aby można było nawet pomyśleć o nich. Nie psuj sobie zatem humoru,

mój chłopcze i nawet nie wyobrażaj sobie tej przykrej ewentualności, a przede wszystkim daj mi spokojnie przeczytać gazetę.

Zbytecznym byłoby dodać, że na takie dictum rozpocząłem natychmiast starania o bilet. Przywykłem już u Ralfa do tego rodzaju wyskoków humoru, którym wobec zasadniczej zmiany jego sytuacji nie mogłem się nawet dziwić. Podczas, gdy ja wpadłem w zasadzkę policji i w więzieniu odpokutowałem moje sprawki, o Ralfie utrwaliło się mniemanie, że w czasie jednej ze swoich wypraw utracił życie. Wszystkie niedogodności nowej sytuacji przede wszystkim jemu dawały się we znaki. Następstwem takiego stanu rzeczy było to, że mogłem śmiało załatwiać sprawy, których Ralf nawet tknąć się nie mógł i musiałem być zastępcą wszystkich jego interesów przed światem. Jest rzeczą zrozumiałą, że ta zależność odemnie musiała go dotkliwie rozgoryczać i upokarzać. Zadaniem mojem zatem było umniejszać poczucie tej zależności, jak tylko się dało i unikać najmniejszych nawet pozorów wyzyskiwania mojej przewagi. To też pełen najczarniejszych, najpesymistyczniejszych przeczuć udałem się na Fleet Street, aby wywiązać się z drażliwego zadania. Mimo mojej niewyraźnej przeszłości, zaczynałem tam czuć się nieco pewniejszy. Powodzenie naszych zamierzeń zjawia się zazwyczaj wówczas, gdy się go najmniej pragnie. Rzeczywiście pewnego pięknego dnia przybyłem do Harm Comon z biletem wstępu, wystawionym przez „Urząd dla czuwania nad wypuszczonymi z więzienia skazańcami“, który przechowuję po dziś dzień jako drogocenną pamiątkę. Dziwnym zbiegiem okoliczności bilet ten nie ma wypisanej daty i nawet dzisiaj uprawnia do wstępu do muzeum. Na bilecie

był na moje żądanie dopisek: „Uprawnia do przeprowadzenia kilku osób“, o co postarał się mój nakładca.

— Ale on sam nie chce pójść z nami — tłumaczyłem Ralfowi. — Możemy zatem iść tam razem, o ilebyśmy mieli ochotę.

— Ralf uśmiechnął się po szelmowsku; był właśnie w doskonałym humorze.

— Nie radzę, Bunny, to niebezpieczne ryzyko, bo gdyby tak cię poznali, mogliby wpaść także na trop mojej osoby.

— Przecież zawsze jesteś tego zdania, że jest niepodobieństwem, aby cię poznali — odparłem.

— Nie cofam tego, wiesz dobrze, że żartuję. Mojem zdaniem nie grozi mi ani cień niebezpieczeństwa, lecz pocóż zastanawiać się nad tem, skoro możemy się sami o tem przekonać. Przywiązałem się już do tej myśli, że raz jeszcze oglądnę sobie owe pamiątki z lepszych czasów, lecz nie widzę najmniejszej przyczyny, dlaczego miałbym wciągać ciebie w matnię i narażać na kłopoty.

— Przecież już tem samem narażasz mnie, skoro pokażesz dostarczoną ci przeze mnie kartę wstępu, odparłem. — Gdyby miało się coś wydarzyć, to ja pierwszy dowiem się o tem i odczuję to na własnej skórze!

— To może chciałbyś być tam razem ze mną i przyjrzeć się naszym zbiorom?

— Jeżeli ma się sprawa źle skończyć, to na jedno wyjdzie, czy będę z tobą, czy nie.

— Wszak karta uprawnia do wstępu kilka osób?

— No tak.

— Sądziysz, że wpadłoby to w oko, gdyby jedna tylko osoba z niej korzystała?

— Być może.

— W takim razie pójdźmy tam obydwaj, Bunny. Daję ci na to słowo honoru, że sprawa nie pociągnie za sobą żadnych zgubnych konsekwencji, jeżeli się odpowiednio zachowamy. Przedewszystkiem nie wolno nam napierać, aby pokazano nam pamiątki po Rafflesie, ani nawet zdradzać nazbyt wielkiego zainteresowania się nimi. Wszelkie pytania mnie pozostaw. Stanowi to dla mnie korzystną sposobność wybadania, czy w Scotland Yard przeczuwają moje zmartwychwstanie, czy też nie myślą o tem zupełnie. Jako rekompensatę za twoje troski i niepokoje obiecuję ci doskonały kawał.

W piękne, ciepłe popołudnie jesienne, w którym jedynie nisko stojące słońce zapowiadało zbliżającą się zimą, podziwialiśmy z Westminster Bridge malowniczy kompleks gmachów, których ostre zarysy odcinały się wyraziście od tła niebios. Przyznam się jednak, że jedynie Ralf z zupełnym spokojem oddawał się obserwacji pięknego widoku; ja sam byłem zanadto zdenerwowany i podniecony tem, co nas oczekiwało i czy Ralf nie mylił się w swoich przypuszczeniach, spodziewając się po tych odwiedzinach wyłącznie niewinnej rozrywki. Niechaj jednak czytelnik sam osądzi, czy moje przeczucia były uzasadnione.

Przeszliśmy więc w tym nastroju progi groźnego przybytku i spoglądaliśmy nieustraszenie w oczy srogim urzędnikom, którzy ziewali z nudów, ani przypuszczając, kogo mają przed sobą, i wskazywali nam drogę z wyszukaną uprzejmością. Lecz nawet w tej pozornie zupełnie jasnej sytuacji było coś niesamowitego. Przez kilka minut staliśmy na podeście schodów, pozostawieni sami sobie. Ralf wyzyskał tę chwilę na przelotne ogarnięcie wzrokiem sytuacji, podczas gdy ja przypatrywałem się

portretowi niedawno zmarłego prezydenta policji.

— Co to był za poczciwy człowiek! — zawołał Ralf. — Poznałem go pewnego razu na kolacji u jednego z naszych wspólnych znajomych i spędziłem mile czas na dyskusji na temat jednej z moich głosnych afer. Tutaj w „Czarnym Muzeum“ nie będziemy tak dobrze poinformowani o naszych sprawach, jak wówczas z własnych ust prezydenta. — Przypominam sobie, że przed laty byłem na komisarjacie policji w White Hall, gdzie oprowadzał mnie jeden z najwytrawniejszych tajnych agentów policji. Kto wie, czy i tutaj nie zachodzi podobny wypadek?

Lecz zdawało się, że nasze obawy były płonne, co poznaliśmy na pierwszy rzut oka, obserwując młodego, niedoświadczzonego urzędnika policji, który ofiarował się na naszego przewodnika. Młodzian ten nie miał w sobie nic z typu policjanta. Nosił najwyższy kołnierz, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć przy mundurze; twarz jego nie zdradzała ani śladu przebywania na wolnym powietrzu, cała postać nie posiadała cech sportowca. Jednym kluczem otworzył drzwi na końcu korytarza i wprowadził nas do owego muzeum okropności, które prawdopodobnie nie może się pochwalić wielką liczbą zwiedzających. W sali było zimno, jak w grobowcu. Podniesiono story i wówczas wpadło przez okna nieco światła, które pozwoliło nam rozróżnić eksponaty. Przedewszystkiem wpadł nam w oczy szereg pośmiertnych masek gipsowych znanych przestępców, które spoglądały na nas z półek szaf widmowym wzrokiem.

— Ręczę, że młodzian ten nie jest bynajmniej niebezpieczny — szepnął Ralf — lecz na wszelki wypadek radzę przezorność. Już widzę moje relikwie,

złożone w kącie w rodzaju niszy. Wystrzegaj się patrzeć w tę stronę, zanim nie będziemy na miejscu.

Zaczęliśmy oględziny od szafki naprzeciw drzwi wejściowych i już zauważyłem, że więcej wiedziałem o eksponatach, aniżeli nasz błady przewodnik, który wprowadzię okazywał pewien zapal dla sprawy, lecz zarazem zdradzał się z zasadniczą nieznamonością swego zawodu. Pierwszemu z brzegu zbrodniarzowi, którego maskę i rekwizyta oglądaliśmy, przypisał zbrodnię, której się ten zupełnie nie dopuścił i pomyłkę swoją ukoronował zupełnie błędnym opisem życia i zgonu jednego z asów sfery włamywaczy.

— Ten rewolwer — zaczął swoje objaśnienia — należał do słynnego włamywacza Karola Peaca... Oto jego okulary, jego wytrych, a oto nóż, którym Peace zamordował policjanta.

Z natury jestem bardzo skrupulatny i dokładam wedle możności starań, aby i inni nie czynili niczego opieszale i niedokładnie. To też nie mogłem pozwolić na to, aby przewodnik nasz informował nas zupełnie mylnie.

— Pan jest w błędzie — rzekłem łagodnym tonem. — Peace nigdy nie zamordował nikogo nożem.

Młody urzędnik wyciągnął zarozumiale cienką szyję i odparł z pewnością siebie:

— Oświadczam, że Karol Peace zamordował nie jednego, lecz nawet dwóch policjantów.

— O, nie, jest pan w błędzie, on raz tylko zabił w obronie własnej policjanta, lecz nożem stanowczo nigdy nikogo nie uśmiercił!

Urzędnik przyjął tę uwagę z obojętną pokorą. Przyznam się, że nie mogłem już opanować się, aby w tym wypadku zamilczeć, gdyby nawet chodziło

o głowę. Ralf nie darował mi jednak tej nieprze-
zorności i ze złością nadeptał mi tak silnie na nogę,
jak tylko mógł to uczynić, nie zwracając uwagi ko-
misarza.

— Któż to był właściwie ten Charles Peacy,
o którego się panowie spieracie? — zapytał z naj-
niewinniejszą miną.

— Był to najbardziej wyrafinowany włamywacz
w Londynie — odparł młody urzędnik policji —
dopiero genialny Ralf Raffles odebrał mu palmę
pierwszeństwa.

— A zatem był to największy z pre-Raffleisów —
wtrącił ironicznie Ralf. Właśnie szliśmy do oglą-
dania zabytków i pamiątek po przestępcach mniej-
szego kalibru. Po kolei oglądaliśmy zdeformowane
kule ołowiane i krwią splamione noże, bezwzględne
narzędzia skracania życia ludzkiego. Nie brakło
również rozmaitego rodzaju sznurów do wieszania,
wiązania i duszenia ofiar, stosownie do litery Sta-
rego Zakonu, nakazując odpłacać ząb za ząb, oko
za oko. Na najdłuższej półce leżały poukładane naj-
rozmaitszej marki i kształtu rewolwery, oraz inna
broń palna, podobne do małych, jadowitych po-
tworków, z nadętymi szyjami. Ze ścian zwieszały
się festony lin, wiązanych prześcieradeł i drabinek
sznurowych, zaś na półeczce w kącie ukrywał się
skromnie pewien przedmiot, o którym ja i Ralf mo-
gliśmy dać więcej informacji, aniżeli policja. Było
to małe pudełeczko na papierosy, które poznaliśmy
natychmiast, mimo że nie było na niem naszej ulu-
bionej marki.

— No, moi panowie — rzekł z uśmiechem nasz
przewodnik — nigdy nie bylibyście w stanie od-
gadnąć tych fantastycznych historyj, które są zwią-
zane z tem pudełeczkiem. Założyłbym się, że po
udzieleniu odpowiedzi na 20 pytań będziecie pa-

nowie przy dwudziestem pierwszym równie nieświadomi, jak na początku.

— Ależ wierzę panu najzupełniej — odparł Ralf, rzucając mi znaczące spojrzenie. — Oszczędź pan sobie zatem tych pytań i opowiadaj nam niezwłocznie ciekawe dzieje tego eksponatu.

Mówiąc to, otworzył tak dobrze nam znane pudełko, w którym leżało niegdyś dwadzieścia pięć papierosów Sulliwana. Zamiast nich ujrzelśmy owinięte w watę kostki cukru. Obserwowałem Ralfa, jak ze sztucznie ukrywanym zadowoleniem przypatrywał się pudełku. Nasz przewodnik widocznie z satysfakcją oczekiwał wrażenia, które wywoła jego opowiadanie.

— Zaraz zmiarkowałem, że pudełko to wywoła podziw panów — rzekł zadowolony z efektu komisarz. — Związana jest z niem iście amerykańska historia. Dwaj wytworni Yankesi zażądali od pewnego jubilera, aby przysłał im do seperatki w restauracji kosztowności do wyboru. Gdy przyszło do zapłaty, wywiązały się pewne trudności z powodu czeku, lecz wkrótce sprawę uregulowano. Obydwaj panowie byli widocznie nazbyt rozsądni, aby kusili się o zachowanie przedmiotów, których nie byli w stanie zapłacić gotówką. Poprosili więc zastępcę firmy, aby aż do czasu złożenia należności w gotówce klejnoty wybrane leżały zapakowane i zabezpieczone w kasie firmy i aby kupiec uważał je za sprzedane, aż do chwili, w której oni przyjdą z umówioną sumą. Złotnik zgodził się chętnie na żądanie bogatych Amerykanów, nie dopatrując się w niem niczego nadzwyczajnego. Rzecz ta musiała się każdemu wydawać zupełnie w porządku — nieprawdaż, panowie?

— Niewątpliwie — odparł sentencjonalnie Ralf.

— Tego zdania był również ów jubiler — opowiadał dalej urzędnik. — Trzeba panom wiedzieć, że Amerykanie nie wybrali ani połowy z przysłanych im biżuterji. Umyślnie zabrali się do dzieła bardzo przezornie, a nawet kilka drobnostek zapłacili gotówką, aby tem łatwiej wprowadzić w błąd poczciwego kupca. Reszty nie trudno się chyba domyśleć. Jubiler nie słyszał już nigdy o bogatych klientach amerykańskich, a z całej transakcji pozostała mu jedynie drobna kwota natychmiast wpłacona, oraz kilka kawałeczków cukru, zawiniętych w watę i zmieszanych z papierosami.

— A zatem był to duplikat! — zawołałem może o sekundę zawczasie.

— Duplikat! — powtórzył jak echo Ralf, udając zdumienie i przejęcie się opowiadaniem.

— Tak jest, moi panowie, oczywiście! — powtórzył z tryumfem urzędnik. — Byli to djabelnie sprytni fachowcy ci dwaj, podający się za bogatych Amerykanów. Trzeba długo i daleko szukać, aby napotkać takich wyrafinowanych spryciarzy.

— Może byli to naprawdę Amerykanie? — rzekł Ralf, którego srebrzysta czupryna budziła poszanowanie i zaufanie. — A może to była sprawka owego słynnego Rafflesa? — dodał, jakgdyby tknięty nagłą myślą.

— Nie, to wykluczone — zaprzeczył kategorycznie, z wielką pewnością siebie, młody nasz przewodnik. — Jest rzeczą dowiedzioną, że Ralf Raffles na długo przed tą awanturą zniknął z powierzchni ziemi i pewno dostał się wprost do piekła.

— Czyż to jest tak bardzo pewne? — zapytał naiwnie Ralf. — A czy znaleziono wogóle jego zwłoki?

— Tak jest, znaleziono, a nawet pochowano — odparł z niezmaconą stanowczością urzędnik, po-

siadający widocznie bujną wyobraźnię. — O ile mi wiadomo, zginął on na wyspie Malcie, albo gdzieś w okolicy Gibraltaru — chwilowo trudno mi sobie dokładnie przypomnieć miejsce jego zgonu.

— Pozatem — dodałem nieco podrażniony pewnością siebie młodego człowieka — o ile mi wiadomo, Ralf Raffles nie palił nigdy papierosów, które widzę w tem pudełeczku. Sławny ten przestępca znany był z tego, że palił jedną tylko markę papierosów — zaraz — jakżeż one się nazywały?

— Sulliwany — odparł nasz przewodnik, wyjątkowo mając słuszność. — Zresztą to tylko rzecz przyzwyczajenia. Mnie nie smakowały zupełnie, mimo, że próbowałem ich kilkakrotnie. Mojem zdaniem, najlepszą marką papierosów, a przytem niedrogą, jest „Guinea Gold“.

— O ile pan chce być tak uprzejmy, to chcielibyśmy oglądnąć jeszcze kilka pamiątek po Ralfie, które są w związku z tak sprytnie obmyślanemi aferami, jak ten ostatni jego kawał? — rzekł Ralf.

— I owszem, w takim razie poproszę panów do następnej ubikacji — rzekł urzędnik policji, prowadząc nas do rodzaju niszy, w której stała tak dobrze nam znana skrzynia, obita żelaznemi sztabami. Na skrzyni, służącej jako rodzaj stołu, rozłożone były rozmaite przedmioty, nakryte sukniem.

— Tutaj oto — zaczął swoje objaśnienia młody urzędnik, podnosząc sukno z pewnego rodzaju pietyzmem — znajdują się właściwe pamiątki po słynnym Ralfie Rafflesie. Zbiór ten został już skompletowany. Po jego śmierci wystaraliśmy się o rozmaite przedmioty z jego mieszkania w klubie Albany, które miały jakikolwiek związek z jego wstępnym trybem życia. Oto jego sławny świder, który maczał zazwyczaj w tej oto flaszce z oliwą, aby uniknąć hałasu. A tutaj widzą panowie rewol-

wer, z którego strzelał Ralf z dachu willy Hors-
ham w jej właściciela. Broń tę odebrano Ralfowi
w chwili, zanim z pokładu statku „Peninsular“
rzucił się w morze.

Nie mogłem powstrzymać się od komentarza, że
o ile mi wiadomo, Ralf nigdy do nikogo nie strzelał.
Wygłaszając tę uwagę, odwróciłem się od okna i na-
cisnąłem kapelusz głęboko na czoło.

— To też jest to jedyny wypadek, iż Raffles tak
postąpił — przyznał nasz cicerone. — Co prawda,
to i tego nie można mu było udowodnić, lecz dzięki
temu zarzutowi jego wspólnik otrzymał łagodniej-
szy wyrok. Oto pusta gilza na naboje, w której
Ralf przechowywał sławną perłę cesarską na po-
kładzie parowca. Zaś tych świdrów i sztab żela-
znych używał do wyłamывania drzwi. Najciekaw-
sza jest ta oto drabina sznurkowa, ukryta w bam-
busowej lasce, której bandyta używał do spinania
się po ścianach domów. Podobno posługiwał się
nią Ralf podczas owego słynnego wieczoru, gdy
był na kolacji u lorda Thornaley, nie omieszkawszy
przedtem splądrować jego mieszkania. Nikt nie
zdołał jeszcze odgadnąć, do czego mogła służyć mu
ta oto sakiewka z aksamitu, przedziurawiona wi-
docznie celowo w dwóch miejscach i związana gu-
mowym sznurkiem. Może panom wpadnie jakaś
myśl, któraby rozjaśniła tę zagadkę.

Ralf wziął w rękę torebkę, której używał nie-
gdyś do bezszelestnego pilowania kluczy, ważył ją
w rękę, jak sakiewkę na pieniądze, z bezradną
miną badał obydwa wycięte otwory, jak gdyby nie
był w stanie rozwiązać tej zagadki. Mimo wszystko
zdołał cichaczem szepnąć mi do ucha: „O, poczciwa
policjo!“, przyczem pokazał mi kilka ziarenek stali,
które wysypał z woreczka. Nagle wpadł mi w oko
bokser, którym owego fatalnego wieczoru ugodzi-

łem mego przyjaciela przez pomyłkę w głowę. Widziałem resztki zaschniętej krwi, odznaczającej się rdzawymi plamami na stali i nie mogłem na ten widok opanować przerażenia. Gdy nasz przewodnik spostrzegł moje wzruszenie, z zapalem opowiedział nam związaną z bronią historję w charakterystycznie niejasny sposób.

Pamiętny ten wypadek był przypadkowo znany w sądzie w Old Bayley i przyczynił się do tego, że zasądzono mnie stosunkowo bardzo łagodnie. Słyszając jednak stek nieprawdopodobieństw i niejasności w opowiadaniu młodego urzędnika, z trudnością hamowałem oburzenie i ochotę prostowania pomyłek i blagi. Byłbym się doszczętnie zasypał, gdyby nie Ralf, który przemocą skierował moją uwagę na jedną ze swoich fotografii, przedstawiającą go w mundurku studenckim. Druga fotografia ukazywała młodego, wesołego Ralfa, w białym, flanelowym kostjumie sportowym na placu krokietowym. Wygląd jego przypominał mi zamierzehle czasy wspólnych wypraw i wspólnych niebezpieczeństw. W oczach widniała butna nonszalancja, w ustach tkwił ulubiony Sullivan. Przypominam sobie, że swego czasu posiadałem kopję tej fotografii.

— Nikt nie mógłby uwierzyć, patrząc w to szczere, otwarte oblicze, że był to jeden z najmniejbezpiecznych włamywaczy — dodał w tonie objaśnienia młody policjant. A panowie, czyż nie jesteście tego samego zdania? Nic dziwnego, że wówczas nikt nie miał wyobrażenia o tem, jakie podwójne życie ten człowiek prowadził.

Mówiąc to, młodzieniec patrzył swojemi wodnistemi oczami, pełnemi naiwnej nienawiści, wprost w twarz Ralfa. Nagle poczułem gorączkową chęć pochwalenia się przed naszym przewodnikiem także mojemi bohaterskiemi czynami.

— Zdaje mi się, że pan przedtem wspomniał o wspólniku Rafflese — zauważyłem, podnosząc kołnierz palta. — Czy nie posiadacie także jego fotografii?

Młodzieniec uśmiechnął się blado i lekceważąco. W tej chwili mało brakowało, a byłbym mu głośnym policzkiem ożywił jego bezkrwistą, nalaną twarz.

— Prawdopodobnie ma pan na myśli jego przyjaciela Bunnego? — zapytał, nie widząc mojego oburzenia z powodu poufałości, z jaką wypowiedział moje imię. — O, nie, to człowiek zupełnie innego rodzaju. My chowamy pamiątki po prawdziwych przestępcach, po ludziach czynu. Bunny zaś, to ni pies ni wydra. Umiał jedynie jak cień włóczyć się za Ralfem, sam jednak nie posiadał ani woli, ani inicjatywy. Nawet wówczas, gdy zdobył się na wyrabowanie własnego mieszkania i tem samem rzucił posądzenie na Ralfa, zepsuł całą sprawę i wsypał ich obydwóm. Nie, takimi ptaszkami my nie mamy czasu się zajmować. Nawet nie jesteśmy ciekawi, co się stało z tym nieszkodliwym wykolejńcem.

W tym sensie objaśniał mnie nasz przewodnik, mimo, że nie stawiałem mu już żadnych pytań, tak bardzo byłam oburzony jego idjotyzmami. Całą nadzieję pokładałem w Ralfie, sądząc, że wreszcie powie coś na moją obronę.

— Jedyne wypadek, który sobie chwilowo przypominam z dziejów Ralfa, związany jest z tą właśnie skrzynią — rzekł Ralf obojętnym tonem. — Jestem tego zdania, że człowiek, który wówczas podczas przenoszenia srebra z banku do mieszkania znajdował się poza skrzynią, okazał tyle bohaterstwa, co i włamywacz, zamknięty wewnątrz. Czy

mógłbym dowiedzieć się, co panowie w tej skrzyni obecnie przechowujecie?

— Stoi zupełnie pusta.

— Sądziłem, że macie tutaj jeszcze więcej pamiątek po Ralfie? Przypominam sobie, jak przez sen, że głośną była wówczas historja o jakimś specjalnym fortelu Ralfa, zapomocą którego wchodził i wychodził ze skrzyni, nie podnosząc zupełnie wieku.

— Aha, zapewne ma pan na myśli otwór wycięty w wieku, przez który Ralf wystawiał głowę, ilekroć chronił się w swojej skrzyni? — rzekł młody komisarz, przyczem zdjął ze skrzyni kilka drobniejszych przedmiotów i podniósł ostrzem scyzoryka tak dobrze mu znaną klapę.

— Ach, to tylko rodzaj okienka! — zawołał Ralf, udając po mistrzowsku zdziwienie.

— Jakże to, a czego się pan spodziewał? — zapytał młodzieniec, opuszczając wieko, przyczem miał minę, jak gdyby żałował, że trudił się wogóle, profanując arcydzieło pomysłowości Ralfa.

— Spodziewałem się, że sławny Ralf miał w tej skrzyni prawdziwe drzwiczki, któremi mógł wchodzić i wychodzić. — rzekł Ralf z tak szelmowską miną, że musiałem się odwrócić, aby ukryć uśmiech, od którego nie mogłem się powstrzymać. Był to zresztą ostatni mój uśmiech tego fatalnego dnia.

Podczas naszej rozmowy wszedł przez frontowe drzwi detektyw, którego godność można było poznać nawet z daleka. Znajdował się w towarzystwie dwóch zwiedzających panów. Jeden tylko straszny i decydujący moment wystarczył mu, aby przesyć nas swym stalowym wzrokiem. Mimowoli uczułem dreszcz grozy i byłem zadowolony, gdy odezwanie się naszego żółtodzioba przerwało niesamo-

wite milczenie. Detektyw zaprowadził swych gości do przeciwnego rogu sali.

— Oto sławny inspektor Druce — pouczył nas nasz przewodnik — który prowadził głośną sprawę Chalk Farm. Jest to człowiek, który byłby godnym przeciwnikiem Ralfa Rafflesa, gdyby ten żył jeszcze!

— O tem jestem przekonany — odpowiedział poważnie Ralf. — I ja nie czułbym się dobrze, gdybym wiedział, że poluje na mnie tego rodzaju człowiek. Jak widzę, to „Czarne muzeum“ jest licznie odwiedzane.

— Nie, stanowczo nie można tego powiedzieć — odparł szeptem młodzieniec, któremu obecność słynnego detektywa zasznurowała gardło. — Mijają czasem tygodnie, a nikt do nas nie zagląda. Ci dwaj panowie, którzy weszli z inspektorem Druce, są to zdaje się jego znajomi, którym pokazuje przedmioty, związane z wypadkiem Chalk Farm. Mamy mianowicie bardzo wiele ciekawych fotografii, jeżeli pan ma ochotę oglądać je, to bardzo proszę.

— I owszem, jeżeli tylko nie potrwa to zbyt długo — odpowiedział Ralf, spoglądając na zegarek. W tej chwili nasz przewodnik oddalił się od nas o kilka kroków, z czego skorzystał Ralf, aby szepnąć mi słów kilka.

— Przyznam ci się Bunny, że grunt staje się trochę niepewny — szepnął ukradkiem. — Nie możemy jednak okazać tego, że się obawiamy. Mogłoby to stać się naszą zgubą. Udaj, że oglądasz fotografie z wielkim zainteresowaniem i staraj się ukryć oblicze. Resztę już mnie pozostaw. Zależy mi na tem, aby jak najprędzej stąd odejść i wsiąść do pierwszego lepszego wagonu kolejowego.

Posłuchałem rady przyjaciela bez słowa z zupełnym spokojem, zwłaszcza że miałem czas na zbada-

nie sytuacji. Dziwiłem się, że Ralf przesądza, mówiąc o niebezpieczeństwie, które nam grozi, a które jego zdaniem polegało na tem, że obecnie po tylu latach byliśmy nieco dłużej w jednej sali z agentem policyjnym, który najwidoczniej nas nie poznał. Ralf zestarzał się wprawdzie przez ten czas i zmienił się do niepoznania, nie sądzę jednak, aby z latami ubyło mu odwagi. Nie wątpiłem ani chwili, że umiałby stawić czoło większemu nawet niebezpieczeństwu. Przytem było rzeczą wykluczoną, aby słynny detektyw poznał z wyglądu tak mało znanego przestępcę, jak ja, zważywszy, że Druce zrobił karierę już po mojem ustąpieniu z widowni. Nie wątpiłem jednak musiało istnieć jakieś niebezpieczeństwo, to też zdawałem sobie sprawę z powagi sytuacji i starałem się postępować według instrukcji Ralfa. Pochyliłem się nad fotografjami, które przytransportował z trudem nasz uprzejmy przewodnik i istotnie zainteresowałem się treścią albumu. Właśnie wskazywałem Ralfowi z zapalem pewną scenę morderczą, gdy ku mojemu zdziwieniu nie usłyszałem żadnej odpowiedzi. Rozglądałem się po sali, lecz Ralf zniknął jak kamień w wodę. Wszak wszyscy trzej przeglądaliśmy przed chwilą album, a przy drugim oknie oglądał inny album Druce ze swoimi gośćmi. Nagle ni stąd ni zowąd Ralf zniknął w naszej obecności, zupełnie niespostrzeżenie, jak gdyby się w ziemię zapadł.

Na szczęście nasz przewodnik tak był zajęty oglądaniem fotografji, że sam nie zauważył przebiegu ostatniej sceny. Jakiś instynkt ostrzegawczy nakazał mi nie czynić z tego tajemnicy i wyznać szczerze, co się stało.

— Ach, ten mój przyjaciel to najniecierpliwszy człowiek pod słońcem! — zawołałem. — Przed chwilą zapowiedział mi, że musi jeszcze zdążyć do

pociągu, a obecnie uciekł bez słowa pożegnania.

— Nawet nie słyszałem, kiedy się oddalił— rzekł z nieszczęśliwą miną nasz przewodnik, nie ukrywając przerażenia.

— I ja nie, lecz przed chwilą poklepał mnie on po plecach i wymamrotał kilka słów. Byłem jednak zanadto zaabsorbowany przeglądaniem tej niesamowitej książki, aby zwrócić uwagę na jego słowa. Prawdopodobnie wówczas zapowiedział mi, że odchodzi. Dobrze, niech sobie idzie. Ja sam z przyjemnością oglądnę wszystko, co jeszcze pozostaje ciekawego.

W myśl przysłowia, że na złodzieju czapka gore, pozostałem dłużej, aniżeli zamierzałem, aby tylko odwrócić wszelkie podejrzenia, któreby ewentualnie mogło wywołać nagłe zniknięcie Ralfa. Widziałem nawet odchodzącego inspektora Druce ze znajomymi, naturalnie po dokładnem obejrzeniu relikwii Ralfa Rafflesa. Na sali pozostałem tylko ja i mój niedołączny towarzysz. Obserwowałem go z pod oka, nie wiedząc, czy bardzo się obrazi, jeżeli będę się starał w jakikolwiek sposób go — no, powiedzmy po prostu — przekupić. Dawanie łapówek i napiwków nie jest rzeczą tak łatwą i prostą, ponieważ często można się pomylić i zachować się zupełnie niestosownie. W tym wypadku jednak młody urzędniczyna przyjął bez wahania ofiarowany mu banknot i z uprzejmym uśmiechem dodał, że z zainteresowaniem przeczyta artykuł, który napiszę o „Czarnem muzeum okropności“. Śmiać mi się chce, gdy sobie uprzytomnię, że biedaczysko musiał czekać kilka lat na obiecany artykuł. Pochlebiam sobie jednak, że czytał go z prawdziwym zainteresowaniem.

Zmierzech już zapadał, gdy wyszedłem na ulicę. Niebo zaczerwieniło się i pociemniało, jak oblicze zagniewanego człowieka. Rozbłysły latarnie, a pod

każdą oglądałem się za Ralfem, czy przypadkowo nie dojrzę go w pobliżu. Wmawiałem sobie, że odzyskam go wkrótce na którymś z dworców kolejowych i wszystkie obszedłem, lecz przekonałem się, że moje poszukiwania są daremne. Wreszcie przeszedłem przez most i na dworcu kolejowym Waterloo wsiadłem do pociągu, jadącego do Teddington. Wprawdzie skróciłem w ten sposób podróż, lecz zmuszony byłem przebijać się przez gęstą mgłę piechotą aż do Ham Common. Kolację spożyłem samotnie; Ralfa jeszcze nie było w domu. Minęły już cztery godziny, odkąd ulotnił się bez wieści i to właśnie w tym nieszczęsnym obwodzie Scotland Yardu. Gdzież mógł obecnie przebywać? Nasza gospodyni łamała bezradnie ręce, szarpana najgorzszymi przecuciami, zwłaszcza, że przygotowała kolację ze samych przysmaków jej ulubieńca.

Północ nadeszła, lecz o Ralfie ciągle jeszcze nie było wiadomości. Staralem się uspokoić naszą gospodynię, zmyślając bajeczkę, że Ralf poszedł prawdopodobnie do teatru, o czem sobie dopiero teraz przypomniałem; nie jestem tego jednak zupełnie pewny i wolę poczekać w jadalni aż do jego powrotu. Wymówka ta uspokoiła nieco poczciwą starszkę. Udała się wreszcie na spoczynek, nie omieszkawszy poprzednio przynieść talerze z kanapkami, aby jej ulubieńcowi przypadkiem głód nie dał się we znaki.

Postanowiłem przepędzić noc w fotelu. O normalnym spoczynku w łóżku ani mowy być nie mogło, tak byłem zdenerwowany. Miałem uczucie, jak gdybym słyszał wyraźnie głos przyjaźni i obowiązku, który nakazywał mi udać się na poszukiwanie Ralfa. Gdzie jednak miałem go szukać? Znałem tylko jedno takie miejsce, lecz iść tam znaczyło skazać się temsamem na pewną i nieuchronną zgubę, nie mając

nawet nadziei wyratowania przyjaciela z opresji. Coraz wyraźniej krystalizowała się w moim umyśle ta pewność, że Ralfa poznano i aresztowano w chwili, gdy wychodził z gmachu Scotland Yardu, albo że był zmuszony schronić się do jakiejś kryjówki przed pościgiem policji. Któż wie, czy cała ta historia nie jest już umieszczona w dziennikach wieczornych i czy świat nie dowiedział się o epilogu naszej wizyty w „Muzeum okropności“, a tylko ja jeden męczę się w nieświadomości? Było to jednak wyłącznie winą Ralfa. Lekkomyślnie nadstawił głowę pod topór i stało się, co się stać musiało. A może jednak powiodło mu się ocalić się w ostatniej chwili?

Na stole zauważyłem flaszkę wódki. Po raz pierwszy w życiu napój ten był mi przyjacielem, gdyż pozwolił mi zapomnieć chwilowo o dręczącej mnie rozterce. Zasnąłem mocno w fotelu, czując błogie ciepło idące od kominka, na którym płonął wesoło ogień. Gdy się przebudziłem, ogień żarzył się jeszcze i światło lampy rzucało na pokój żółte refleksy. Wszystkie członki miałem jak z ołowiu, nie byłem w stanie nawet poruszyć się na krześle. Gdy wreszcie udało mi się przewyciężyć moją martwość, obróciłem się i ku memu zdumieniu ujrzałem Ralfa, siedzącego najspokojniej na łóżku i zdejmującego obuwie.

— Przykro mi bardzo drogi Bunny, że cię mimowoli zbudziłem ze snu, lecz starałem się zachować jak myszka i nie przeszkodzić ci. Nie udało mi się to jednak i to nie z mojej winy. Kto, jak ja, był przez trzy godziny bez przerwy na nogach, ten nie może cicho chodzić chociażby miał najlepsze chęci w tym kierunku.

Nie okazałem entuzjazmu na jego widok, ani nie rzuciłem mu się na szyję z zachwytem, lecz rozżalony jego bezgranicznym egoizmem, przypatrywa-

iem mu się z goryczą. Nie, on nie śmie się dowiedzieć, ile męczarni wycierpiałem tej nocy z jego przyczyny.

— Wracasz z miasta? — zapytałem tonem możliwie najobojętniejszym, jak gdyby ranne wracanie należało do stałych jego nawyczek.

— Z Scotland Yardu — odparł równie obojętnie, grzejąc nogi przy kominku.

— Ze Scotland Yardu! Nie pomyliłem się zatem w moich przypuszczeniach! A więc przesiedziałeś tam całą noc i mimo to udało ci się wymknąć?

Mimowoli zerwałem się zdenerwowany.

— Ma się rozumieć — rzekł Ralf. — Wprawdzie nigdy nie uważałem tego za trudność specjalną, lecz okazuje się, że sprawa jest łatwiejsza, aniżeli przypuszczałem. Znaląłem się nagle między rodzajem lady sklepowej i drzemiącym urzędnikiem, którego bez namysłu obudziłem, podając jako powód mojego wtargnięcia zagubioną w samochodzie portmonetkę. Sposób, w jaki ów śpiący młodzian wytransportował mnie na ulicę, przynosi zaszczyt naszej stołecznej policji. Nawet nie zapytano mnie, w jaki sposób dostałem się do środka.

— Ja sam ciekaw jestem, jak dostałeś się do wnętrza gmachu i w jakim celu? — zapytałem wzburzony. — Na miłość Boską, powiedz mi, kiedy to się stało i dlaczego?

Ralf podniósł brwi i spojrzał na mnie zdziwiony, grzejąc się przed kominkiem.

— Kiedy i w jakim celu wszedłem do Scotland Yardu, o tem wiesz tak dobrze, jak i ja — odparł tajemniczo.

— Ale już czas, abym ci dał na te wszystkie pytania wyczerpującą odpowiedź. Nietylko ciekawość powodowała mna, gdy postanowiłem odwiedzić

budynki policji, lecz inne jeszcze pobudki, których nie mogłem i nie chciałem ci wyjaśnić.

— Nie pragnę wcale dowiedzieć się, dlaczego musiałeś odwiedzić Scotland Yard — zawołałem. — Chciałem tylko nareszcie dowiedzieć się, dlaczego tam pozostałeś, dlaczego wyszłeś i wróciłeś. Sądzę, że cię ujęto i że wydostałeś się podstępem z rąk policji. Powiedz, jakżeż to było właściwie?

Ralf pokiwał głową z uśmiechem.

— Nie, Bunny, to ja sam przedłużyłem dobrowolnie moją wizytę w gmachu Scotland Yardu. Złożyło się na to nazbyt wiele przyczyn, abym ci zdołał wszystkie objaśnić na prędce. Były to zresztą przyczyny zupełnie namacalne, jak możesz się przekonać. Wystarczy jedynie, abyś się tylko obejrzał, a sam zobaczysz, jak się sprawa przedstawia.

Momentalnie odwróciłem się i oto ku memu zdumieniu ujrzałem na stole prócz kanapek, troskliwie przygotowanych dla Ralfa przez naszą gospodynię cały zbiór pamiątek Ralfa, które poprzedniego dnia oglądaliśmy w „Czarnem Muzeum Okropności“ w Scotland Yardzie. Nie brakło ani rewolweru, ani splamionego krwią boksera, świdrów, dłut i sztab żelaznych, butelki z oliwą, woreczka z aksamitu, drabinki sznurowej, wydrażonej laski, a nawet gilzy na patrony, w której znajdowała się niegdyś słynna perła, podarunek jednego monarchy dla drugiego.

— Jaka szkoda, że nie byłeś obecny, gdy zbierałem moje trofea, aby umieścić je w kieszeniach mojej zarzutki! Był to widok znacznie pociesniejszy i zabawniejszy, aniżeli ten, który ja zostawiłem po powrocie do domu. Przyznam się, że zdziwił mnie twój sen, podczas gdy ja narażałem się tam na niebezpieczeństwo. Ja nie mógłbym zasnąć w tym wypadku ani na chwilę.

A zatem Ralf sądził, że ja zasnąłem poprostu w jego fotelu, nie troszcząc się o jego los! Nawet nie przeczuwał, jakie męki przeszedłem tutaj przez całą noc w obawie o niego! Jego sarkastyczne uwagi usłyszane po tem wszystkim, co z jego winy wycierpiałem, podrażniły mnie do ostateczności. Ostatnim wysiłkiem woli powstrzymałem się, aby nie wybuchnąć.

— Gdzież u licha schowałeś się przede mną! — zapytałem ponurym głosem.

— W Scotland Yardzie, jak ci już powiedziałem.

— No tak, ale gdzie?

— Możesz się o to pytać, Bunny?

— Tak jest, mogę.

— A zatem wiedz, że schowałem się tam, gdzie i wówczas naszej pamiętnej eskapady bankowej.

— Chyba nie w skrzyni?

— A właśnie, że tak.

Spojrzenia nasze spotkały się na chwilę.

— Być może, że tam była ostatnia twoja stacja wędrówki. Lecz powiedz mi, gdzie poszedłeś wówczas, gdy po za mojami plecami wymknąłeś się niespostrzeżenie, oraz skąd u licha wiedziałeś, dokąd się masz udać?

— Wcale nie wymykałem, lecz odrazu wszedłem do środka.

— Skrzyni?

— Właśnie!

Parsknąłem mu śmiechem w oczy.

— Mój kochany przyjacielu, chyba nie sądzisz, znając mnie od tylu lat, że jestem aż tak naiwny! Bezpośrednio po twojem zniknięciu widziałem te wszystkie przedmioty, leżące w tym samym porządku, co poprzednio, na wieku skrzyni. Nie brakło ani jednego, zapewniam cię! Widziałem również,

że sławny detektyw pokazywał przedmioty te swoim znajomym już po twojem zagadkowym odaleniu się!

— Nie przeczę, sam słyszałem, jak im objaśniał, od kogo pamiętki te pochodzą.

— Chyba nie słyszałeś tego, siedząc wewnątrz skrzyni?

— Ależ tak, Bunny, zapewniam cię, że siedziałem wówczas wewnątrz skrzyni. Mój drogi, nie miej takiej głupiej miny! To niegodne ciebie, wierzaj mi! Przypomnij sobie lepiej kilka słów ostatnich, zamenionych bezpośrednio przed mojem zniknięciem między mną a tym półgłówkiem, naszym przewodnikiem. Czy pamiętasz, że pytałem go, czy skrzynia jest zupełnie pusta?

— Owszem, pamiętam.

— Widzisz, musiałem się wszak upewnić, czy istotnie w skrzyni nie niema. A potem zapytałem się go, czy oprócz wykrojonego przezemnie otworu nie ma tam przypadkowo jakiejś furtki ukrytej, przez którą sławny Raffles wchodził i wychodził ze swej skrzyni?

— Słyszałem ten wasz dIALOG, lecz...

— Wyobrażałeś sobie, że to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia i że mówię to ot tak sobie, dla zabicia czasu?

— Po prostu nie dopatrywałem się w tem specjalnego znaczenia.

— Bo nie chciałeś, mój drogi. Nie wpadło ci zatem na myśl, że celem tego dIALOGU było poinformowanie się, czy w Scotland Yardzie nie odkryto jeszcze, że istotnie skrzynia posiada małe ukryte drzwiczki, przez które można się wydostać niespostrzeżenie? Drzwiczki te wykrołem w bocznej ścianie pudła wówczas, gdy napełniona trofeami jakiejś wy

prawy, wróciła od ciebie do mnie. Cała jedna boczna ściana otwiera się, jak ściana pokoiku dla lalek. Powinienem był odrazu o tem pomyśleć, ponieważ urządzenie to jest znacznie praktyczniejsze, aniżeli otwór, wykrojony w wieku. Jeżeli się już człowiek do czegoś zabiera, to powinien wywiązać się jak najlepiej ze swego zadania już chociażby dla dogodzenia miłości własnej. Z rozmowy z naszym przewodnikiem przekonałem się, że podstępny mój nikt jeszcze nie zdołał odkryć i że będę jeszcze mógł kiedykolwiek go wyzyskać. Wyobraź sobie, jaka to doskonała przystań we własnym mieszkaniu na wypadek nieprzewidzianej rewizji lub wtargnięcia policji!

Zapytałem go, dlaczego nigdy mi nie wspomniał o tem nowem urządzeniu. Mogłem pojąć i uwzględnić to, ostatecznie, dlaczego nie wtajemniczył mnie w ten sekret wówczas, gdy drzwiczki te urządzał, lecz dlaczego nie wspomniał o tem ani słowa w owym czasie, gdy nie było już między nami tylu tajemnic? Naturalnie, nie postawiłem tej kwestji zaczepnie i nie czyniłem Ralfowi wyrzutu z tego powodu, lecz całkiem po prostu oświadczyłem, że nie wierzę w to, co mi opowiadał. Ralf spojrział na mnie bez słowa, lecz tak wymownie, że wyjaśnienie zagadki wyczytałem z jego wzroku.

— Ach, zaczynam rozumieć! — zawołałem. — Zapewne chroniłeś się w skrzyni przed mojem towarzystwem!

— Mój kochany — odparł Ralf — nie zawsze jestem w jednakowo pogodnem usposobieniu, aby móc pogawędzić bez potrzeby przewycięzania się. Przyznasz jednak, że jeżeli ty masz do mnie takie zaufanie, że oddajesz mi klucz do twojego mieszkania, to i ja jestem moralnie zobowiązany do odpla-

cenia ci identycznym dowodem życzliwości. Wprawdzie obecnie przyznaję, że kluczyk od twego mieszkania wykradłem pewnego pięknego dnia z twojej kieszeni i w ten sposób miałem do twego pokoju wstęp o każdej porze. Zapewniam cię jednakowoż, że jeżeli zdarzyło się kiedyś, iż nie czułem się dobrze w twojem towarzystwie, to zapewne nerwy moje były w stanie takiego napięcia, że unikanie wzajemne było jedynie z korzyścią dla ciebie. A nawet nie sądzę, aby zdarzyło się to częściej, aniżeli raz lub dwa razy. Spodziewam się, że mi to wybaczysz po tylu latach przyjaźni, która nas łączyła.

— Tak jest, to mogę ci wybaczyć, Ralfie, lecz tamtej sprawy wprowadzenia mnie w błąd w muzeum nigdy! — odparłem rozgoryczony.

— Dlaczego, Bunny? Zapewniam cię, że na czyn ten zdecydowałem się w ostatniej chwili i nawet wówczas, gdy zadawałem mu wszystkie te pytania, nie wiedziałem sam, czy postąpię tak, jak postąpiłem. Na decyzję moją wpłynęła w pierwszym rzędzie niezaradność naszego przewodnika. Szkoda mi było nie wykorzystać tak doskonałej okazji.

— I pomyśleć, żeśmy cię obaj nawet nie słyszeli! — zawołałem z takim podziwem, że sam na siebie byłem oburzony za ten dowód uwielbienia dla mojego przyjaciela. — Ale i tak zawiodła cię twoja przesadna przezorność nawet wobec twego najlepszego przyjaciela.

— Dlaczego, Bunny?

— Z tej prostej przyczyny, że zdradzi nas bilet wstępu, wydany na nasze nazwisko — odparłem z mimowolnym tryumfem.

— Jakto, czyżby ci go odebrali?

— To nie, ale sam słyszałeś, że wydaje się bardzo niewiele tych kart.

— Tak jest, to prawda. Czasem przemijają całe tygodnie, a nie zjawia się ani jeden ciekawy, któryby zechciał zwiedzić muzeum okropności. Ja sam poinformowałem się dokładnie o tych wszystkich szczegółach i nie uczyniłem ani kroku bez dokładnego zastanowienia. Widzisz przecież, Bunny, że jeżeli szczęście będzie nam choć odrobinę sprzyjało, to minie dwa do trzech tygodni, zanim strata pamiątek po mnie zostanie odkryta.

Zacząłem pojmować całą sprawę.

— A pozatem przyznaj sam, dlaczego mają właśnie nas posądzać o ten rabunek? Po prostu oddaliłem się nieco wcześniej od ciebie, nic pozatem. A ty znalazłeś się bez zarzutu, zauważywszy moje zniknięcie. Nie powiedziałaś ani o jedno słowo za wiele lub za mało, jak gdybyśmy całą sprawę ukartowali wspólnie aż do najdrobniejszego szczegółu. Miałem do ciebie zupełne zaufanie, którego stanowczo nie zawiodłeś. Jedyne smutną okolicznością w tej całej sprawie jest to, że konstantuję, iż to ty do mnie nie masz zaufania. Wyobrażasz sobie zatem, że mogłem pozostawić teren mojego ostatniego włamania w takim stanie, aby każdy człowiek, który przestąpi progi muzeum, mógł poznać, że włamanie zostało dokonane?

Zaprzeczyłem energicznie tego rodzaju przypuszczeniom, jakkolwiek w gruncie rzeczy dopiero w trakcie naszej rozmowy uprzytomniłem sobie nonsens moich podejrzeń.

— A pozatem czy zapomniałeś o suknie, które zakrywało te przedmioty i tuszowało stan rzeczy? Czy nie rozumiesz tego, że znajdowała się tam moc przedmiotów, w zasadzie nie różniących się tak bardzo od siebie, aby nie można było jednych zastąpić drugimi? Nie obawiaj się, dokonałem wyboru jak najstaranniej i zastąpiłem pamiątki po mnie przed-

miotami tak troskliwie dobranymi, że nie łatwo będzie poznać się na zamianie. Drabinka sznurowa, którą położyłem na miejscu mojej, nie może się naturalnie równać z przezemnie zabraną, lecz zwinęta w kłębek, wygląda identycznie. Wprawdzie nie było drugiego woreczka z aksamitu, lecz w miejsce mojej laski umieściłem inną, zupełnie podobną, a nawet udało mi się wyszukać zamiast mojej gilzy na naboje prawie że taką samą, jak ta, w której swego czasu znajdowała się słynna perła polinezyjska, dar jednego monarchy dla drugiego. Czy sądzisz, że idjota, który nas oprowadzał, zauważył brak skradzionych przedmiotów, a jeżeli nawet wpadnie kiedy na ślad kradzieży, to czy zgadnie, że jest ona w związku z naszymi odwiedzinami?

Przyznałem, że przez kilka tygodni przynajmniej nie nam nie grozi, wobec czego Ralf wyciągnął rękę na zgodę.

— Niechżeż więc zapanuje między nami dawna przyjaźń i zaufanie, na dowód czego zapalmy papierosa pokoju! W ciągu kilku tygodni może zająć nie jedno, a gdybyś mi nie przebaczył, to jakie miałbyś wówczas uczucie, drogi Bunny, gdyby moja dzisiejsza kradzież okazała się nie tylko moim największym, lecz i ostatnim dziełem? Przyznaję, że takie zakończenie serji przygód mojego awanturniczego żywota wydaje mi się najstosowniejsze, chociaż nie podoba mi się ten pietyzm w stosunku do moich własnych pamiątek. To nie leży w moim charakterze, wobec czego nie mogę na razie niczego obiecywać. Być może, że zdobędę się na inny epilog mojej działalności. Skoro odzyskałem już cały arsenał moich narzędzi, to wątpię, czy zdołam oprzeć się pokusie, aby ich bodaj raz jeszcze użyć. Wojna ta dostarcza nam aż nazbyt wiele emocyj, a kto wie, co przyniosą najbliższe tygodnie?

Czyżby Ralf zamierzał wstąpić na ochotnika w szeregi armji? A może zamyslał w ten sposób odpokutować za swoje winy, lub też śmierć na polu walki wydała mu się jedyną ucieczką przed awanturnikiem życiem? Nie wiem i prawdopodobnie nigdy się już o tem nie dowiem. W każdym razie słowa jego miały dziwnie wieszcy charakter, uwzględniając dzieje następnych kilku tygodni, podczas których rozegrały się wypadki, wstrząsające posadami imperjum brytyjskiego i zwołując synów Albionu ze wszystkich stron świata pod sztandar wojenny. Wszystko to należy obecnie do historii. Jakżeż żywo stoją jednak w mojej pamięci słowa Ralfa o ostatniej jego sprawie, oraz serdeczny uścisk dłoni, który słowem tym towarzyszył wraz ze smutnym wyrazem jego zmęczonych oczu!

ROZDZIAŁ VIII.

Zakończenie.

Ostatnie wspomnienie o działalności Ralfa pochodzi z pod pióra osoby o znacznie subtelniejszym sposobie myślenia i osądzania ludzi, aniżeli mój. Podaję je w niezmienionej formie, zupełnie tak, jak ja je otrzymałem, a mianowicie w formie listu, który dla mnie ma znacznie większą wartość, niż dla któregokolwiek z Czytelników. List ten jest jednak nie bez znaczenia także dla tych czytelników, którzy zechcą zrozumieć, na czem polegał urok tego człowieka, który na mnie wywierał. Pragnę zrehabilitować w oczach zainteresowanych pamięć mojego przyjaciela i odwrócić ich uwagę od mojej osoby, wobec tego korzystam z udzielonego mi pozwolenia i do zbioru luźnie ze sobą połączono-

1911
20
BOCHNI

nych obrazków o moim i moich czytelników bohaterze dołączam ostatnie opowiadanie.

List ten był pierwszym ukojeniem dojmującego cierpienia po zupełnie przypadkowym spotkaniu i po bezsennie spędzonej nocy z tego powodu. Zataję jedynie podpis piszącej, lecz pozatem podzielię się nim z Czytelnikami słowo w słowo.

„Drogi Harry! Prawdopodobnie zdziwiło to pana, że podczas naszego wczorajszego spotkania wśród dziwnych okoliczności zdołałam, znaleźć dla Pana zaledwie kilka słów. Nie miałam jednak zamiaru być wobec Pana nieuprzejmą, lecz byłam stroskana i zdenerwowana z tego powodu, że po tak długim niewidzeniu ujrzałam Pana ciężko rannego i na domiar złego o kuli.

Skoro jednak dowiedziałem się od Pana w jaki sposób się to stało, nie miałam już przyczyny do zmartwienia. Poważam bowiem i zazdroszczę tym wszystkim ludziom, których nazwiska widnieją w liście poległych lub rannych.

O losie mr. Rafflesa wiedziałam wszystko, natomiast Pański los nieznany był mi zupełnie. Pragnęłam gorąco powierzyć Panu pewną tajemnicę w związku z Ralfem, lecz nie mogłam Panu opowiedzieć tego w ciągu kilku chwil, w dodatku na ulicy. Dlatego prosiłam o Pański adres.

Dziwił się Pan wczoraj, że mówię o Mr. Rafflesie, jak gdybym znała go osobiście. Bardzo często spotykałam go na placu krokietowym, a także wiele słyszałam o nim od Pana. Natomiast raz tylko rozmawiałam z nim osobiście, a mianowicie owego wieczoru po naszym ostatnim spotkaniu. Zawsze byłam tego mniemania, że o treści mojej rozmowy z mr. Rafflesem był Pan poinformowany. Wczoraj jednak zauważyłam moją pomyłkę i doszłam do przekonania, że niema Pan o jedynej rozmowie mo-

jej z Ralfem najmniejszego wyobrażenia. Wobec tego zdecydowałam się zaznaczyć Pana jak najdokładniej ze szczegółami owej pamiętnej rozmowy.

Owego wieczora — mam na myśli dzień następny po ostatniem spotkaniu z Panem — wszyscy domownicy rozeszli się do swoich zajęć, a tylko ja sama pozostałam w Palace Gardens. Po obiedzie przeszłam do salonu i zamierzałam właśnie zaświecić światło, gdy nagle wszedł do pokoju z balkonu mr. Raffles. Poznałam go na pierwszy rzut oka, ponieważ przypatrywałam mu się w dniu poprzednim na placu krokietowym, gdy wygrał partję z lordem Groundsem. Udawał zaskoczonego i zdumionego faktem, że nikt nie zawiadomił mnie o jego przybyciu, lecz cały ten epizod był dla mnie taką niespodzianką, że nawet nie myślałam o znaczeniu jego słów. Przyznaję otwarcie, że niespodzianka ta bynajmniej nie była dla mnie radosna. Jakieś instynktowne przecucie mówiło mi, że Raffles przybył na Pańskie zlecenie i nie kryję się z tem, że w pierwszej chwili byłam zła i oburzona do głębi. Nagle Raffles zaczął mnie zapewniać jednym tchem, że Pan nie jest zupełnie uwiadomiony o jego zjawieniu się u mnie i że nigdyby się pan na to nie zgodził, lecz że on jako Pański zaufany przyjaciel oraz człowiek, który pragnie również i moim pozostać, odważył się własnowolnie na ten krok. Odpowiedziałam, że powtórzę Panu każde jego słowo.

Nadeszła chwila, w której mierzyliśmy się wzajem badawczym wzrokiem. Nigdy nie byłam więcej przeświadczona o uczciwości i szczerości żadnego człowieka, jak wówczas. Owego wieczoru był Ralf istotnie szczery i otwarty w stosunku do mnie, a także jego stanowisko wobec Pana jako jego przyjaciela było nienagannie uczciwe, bez względu na to, jak postępował przedtem lub potem. Zdecydowałam

się zatem zapytać go, w jakim celu przyszedł, oraz czy zaszło coś takiego, co by go upoważniało do tych odwiedzin. Odparł na to zagadkowo, że nie chodzi o to, co się wydarzyło, lecz o to, co się wydarzyć mogło. Domyśliłam się, że mówiąc ma na myśli Pana i zapytałam go o to bez ogródek. Na to on skinął głową i odpowiedział, że zdaje sobie chyba z tego sprawę, jak Pan wobec mnie zblądził. Zaczęłam w duchu powątpiewać, czy mr. Raffles jest wogóle o całej tej aferze powiadomiony i usiłowałam wybać go, na czym polega właściwie Pańskie przestępstwo. Na to Ralf odpowiedział mi, że lepiej byłoby, abym grała z nim w otwarte karty, ponieważ wiem chyba doskonale o tem, że Pan był jednym z tych dwóch włamywaczy, którzy dostali się do nas poprzedniego dnia w nocy.

Upłynęło kilka minut kłopotliwego milczenia, zanim odpowiedziałam na tak obcesowo postawioną kwestję. Jego sposób zachowania się sprawił mnie w zdumienie. Wreszcie zapytałam go kategorycznie, skąd on wie o tem — odpowiedź jego jeszcze do dnia dzisiejszego dźwięczy mi w uszach.

— Ja to właśnie byłem tym drugim włamywaczem — odparł zupełnie spokojnie — a pozatem sam wciągnąłem go z zawiązanymi oczyma w tę fatalną historję i chciałbym w oczach pani osobiście za to odpokutować, nie mogę bowiem patrzeć na cierpienia mojego przyjaciela!

Były to jego własne słowa, których znaczenie podkreślił w ten sposób, że doszedł do dzwonka, gotów w każdej chwili przycisnąć, gdybym okazała wobec niego trwogę lub brak zaufania i zapragnęła pomocy służby. Naturalnie, zabroniłam mu wogóle zadzwonić, a nawet przyznaję, że w pierwszej chwili nie chciałam i nie mogłam nawet uwierzyć w to wszystko. Wówczas Raffles zaprowadził mnie

na balkon i pokazał mi dokładnie, w jaki sposób wszedł i wyszedł owej fatalnej nocy. Nawiasem muszę dodać, że, jak sam opowiadał, włamał się po wtórnie tylko w tym celu, aby mnie przekonać i powiedzieć mi, że wówczas wprowadził Pana w błąd, lecz że tylko w ten sposób mógł Pana uczynić swym współnikiem. Wypowiadał się z wielu innych grzechów — i wreszcie uwierzyłam w ten nieprawdopodobny fakt, że sławny gracz w krokieta, Ralf Raffles i niemniej sławny tajemniczy „włamywacz z upodobania“ — są jedną i tą samą osobą.

Powierzył mi swoją tajemnicę, zdając się, bez zastrzeżeń, na moją łaskę i niełaskę, swoją wolność, a może i życie — a uczynił to wszystko dla Pana, Harry, aby w moich oczach usprawiedliwić Pana kosztem własnej hańby i ryzykując tak wiele. Wczoraj zmiarkowałam, że o całym tem zdarzeniu nie miał Pan najmniejszego pojęcia i że przyjaciel Pański zmarł, nie przyznawszy się do tego aktu poświęcenia się i samozaparcia, które było jednak bezowocne. Wyznaję Panu szczerze, że poznawszy tego człowieka, pojmuję już Pańską niezłomną przyjaźń dla niego i te straszliwe konsekwencje, które uczucie to dla Pana za sobą pociągnęło. Na Pańskim miejscu każdy człowiek postąpiłby tak samo. Dopiero owej nocy przyszedłam do przekonania, jak się sprawa przedstawia.

Skromnie i szczerze, przytem zupełnie otwarcie rozmawiał Raffles ze mną o swoim życiu. Było to dla mnie wprost cudowne, że mógł ze mną mówić o tem w ten sposób, a jeszcze dziwniejsze było to, że ja zdołałam wysłuchać tego opowiadania i siedzieć z nim jak z człowiekiem równym mi społecznie i najserdeczniejszym przyjacielem. Jakaś dziwna magnetyczna siła promieniowała z jego osoby i nie dziwiłam się wówczas zupełnie, że nie mógł Pan się

jej oprzeć. Posiadał on ten fluid indywidualności, znacznie silniejszy, aniżeli potęga silnej woli. Jeżeli jednak obie te moce psychiczne zjednoczą się w jednej osobowości, to zwyczajny śmiertelnik, mężczyzna czy kobieta, nie zdoła się przeciwstawić takiej sile psychicznej. Niech Pan jednak nie sądzi, że nikt inny nie mógłby mu się tak podporządkować, tak ślepo go słuchać, jak to Pan czynił. — Skoro Ralf oświadczył mi, że wszystkie swoje występstwa pojmował jako pewnego rodzaju sport i to sport jedyny, który zawsze jednakowo emocjonował i podniecał niebezpieczeństwem, czułam na dnie serca, że i mnie musiałby odpowiadać taki tryb życia. Mr. Raffles nie zwalczał mojego uprzedzenia wobec niego filozoficznymi sofizmatami, ani przewrotnymi paradoksami, lecz działał na mój sąd swoją fascynującą, szczerą osobowością, swoim humorem z lekką przymieszką sentymentu, który odczuwałam jak jakąś moc władczą, podporządkowującą sobie rozsądek i prawomyślność. Czary — oto jedyne słowo, którem można to określić. Mimo przepaści, które się między nami wytworzyły, czułam, że Ralf jest wzruszony na myśl o tem, że spowiedzi jego wysłuchuje kobieta, którą spotkał w tak dziwnych okolicznościach. Wiem jednak doskonale, że w ten sposób spędzone życie, które poznawałam z jego spowiedzi, przenikało mnie do głębi i że nagle zaczęłam go błagać, aby je porzucił. Wprawdzie prośba moja nie miała dramatycznego charakteru, nie padłam mu do nóg ani nie zaklinałam na pamięć matki, lecz poprostu zaczęłam płakać — i na tem skończyła się nasza rozmowa. Udawał, że nie widzi moich łez — i nagle ostudził mój zapał misjonarski jakimś swobodnem odezwanieniem się, które straszliwie rażącym dysonansem dotknęło mnie do głębi. Przypominam sobie, że mimo wszystko chciałam

na końcu naszej rozmowy uścisnąć mu rękę, lecz mr. Raffles odmówił mi tego mileżącym zaprzeczeniem głowy. W tej chwili wzrok jego był tak bezdennie smutny, jak przedtem był swobodny i wesoły. A potem znikł z pokoju zupełnie tak samo, jak niespodziewanie się zjawił, tą samą drogą — i nikt w całym domu nie przeczuwał, że ktokolwiek był u mnie o tej porze. Teraz wiem, że i Panu nie przyznał się do tego!

Nie miałam bynajmniej zamiaru pisać do Pana tak szczegółowo o Pańskim najlepszym przyjacielu, który musiał być Panu prawdopodobnie lepiej znany, aniżeli mnie. Lecz teraz Pan sam mógł się o tem przekonać, w jak szlachetny sposób starał się on naprawić wyrządzoną Panu niegdyś krzywdę. Obecnie zgaduję, dlaczego on zataił wówczas przed Panem naszą rozmowę. Jest już strasznie późno — a raczej wcześniej — całutką noc pisałam do Pana ten list, pragnę więc streścić się możliwie najzwężlej. Wówczas obiecałam Ralfowi napisać do Pana i ułatwić spotkanie. Dotrzymałam słów i napisałam, prosząc o rozmowę ustną, lecz na mój list nigdy nie otrzymałam odpowiedzi. Wprawdzie było to kilka słów zaledwie, lecz obecnie wiem, że ich Pan nigdy nie otrzymał. Nie mogłam się na tyle przezwyciężyć, aby Panu więcej napisać, gdyż i tych parę wierszy kosztowało mnie dosyć walki ze sobą, lecz liścik ten włożyłam do książek, które mi Pan dał w upominku, a które Panu wówczas odesłałam. Po wielu latach znalazł ktoś te książki u Pana i odesłał mi wraz z listem, na którym widniał mój podpis; wówczas przekonałam się, że go Pan nigdy nie czytał, gdyż znajdował się w tem samym miejscu, na którym sama umieściłam go przed laty. Widocznie nigdy Pan tych książek nie czytał, ani ich nie oglądał, lecz przyznaje, że to była moja wina. Lecz po-

raz drugi pisać na ten sam temat i to po takiej przerwie — było już stanowczo zapóźno. O mr. Raffie krążyły wieści, że zatonął, a Pan — o Panu i o nim wszystko już było wiadome. Rewelacje te nie zmieniły bynajmniej wyobrażenia mojego o Raffie. Aż po dzień dzisiejszy nikt o tem nie wie, że to Pan był owym czowiekiem, który włamał się wraz z Rafflesem do Palace Gardens. Przyznaję, że odczuwam odpowiedzialność, ciężącą na mnie za wszystko, co później zaszło.

Wczoraj powiedział Pan do mnie, że Pański udział w boju za ojczyznę i rany, które Pan otrzymał nigdy nie zdołają wymazać plam na Pańskiej przeszłości. Prawdopodobnie nie przejmie się Pan chorobliwie znaczeniem tej przeszłości dla dalszego biegu Pańskich losów. Nie mam prawa udzielać przebaczenia za winy popełnione, lecz wiem doskonale, że mr. Raffles stał się tem, czem był, jedynie powodowany namiętnością dla niebezpieczeństwa i ryzykownych przygód, Pan natomiast stał się tem, czem Pan był, niestety, jedynie z przyjaźni i miłości dla Pańskiego przyjaciela, który wywierał na Pana tak fascynujący wpływ. Przypuśćmy nawet, że sprawy przedstawiają się tak czarno, jak Pan sobie to wyobraża, to w każdym razie Raffles nie żyje, a Pan odpokutował już należycie za swoje winy. Świat przebacza, jakkolwiek może nie zapomina. Jest Pan jeszcze dosyć młody i życie jest jeszcze przed Panem, może Pan zatem naprawić zło popełnione i zrehabilitować się przed światem. Pański udział w wojnie będzie Panu w wielu względach pomocny. Piśmiennictwo zawsze Panu sprawiało satysfakcję i przyjemność, a obecnie ma Pan tyle tematów, że będzie Pan mógł czerpać z niego przez całe swoje, oby jak najdłuższe życie. Stanowczo musi Pan zapewnić sobie nowe znane i uznane na-

zwisko. Musi Pan to uczynić i — mam niezłomną nadzieję — uczyni Pan to napewno.

Czy wiadomo Panu o tem, drogi Harry, że moja ciotka, lady Melrose zmarła przed kilku laty? Była to najlepsza przyjaciółka, jaką mi dał los i jej głównie mam do zawdzięczenia, że mogę być niezależna i pędzić życie, odpowiadające mojemu upodobaniu. Mieszkam w jednym z tych nowych mieszkań kawalerskich, które ułatwiają walkę o byt, odejmując wszystkie troski prowadzenia gospodarstwa domowego. A chociaż moje mieszkanie jest małe, lecz posiada wszystkie zalety, jakie zwykle łączą się z obszernem mieszkaniem. Każdy robi to, co uważa za stosowne, nikt się nikim nie krępuje. Nie chciałabym, aby mnie Pan fałszywie zrozumiał i obawiam się, czy z mojego listu wynika dosyć jasno, że przeszłość przestała dla nas istnieć raz na zawsze, lecz w każdym razie nie chciałabym tem samem przerwać nici łączącej nas od tak dawna sympatji. Jeżeli zatem miałby Pan ochotę odwiedzić mnie kiedykolwiek w mojem nowem mieszkaniu i pogwarzyć ze mną, jak stary przyjaciel, to mam nadzieję, że poza przeszłością znajdą się jeszcze inne punkty styczne, które wskrzeszą naszą przyjaźń. Muszę się Panu bowiem przyznać, że i ja próbuję moich sił na niwie literackiej, czego łatwo się właściwie domyśleć z długości niniejszego listu. Jeżeli jednak po przeczytaniu tych słów odniesie Pan wrażenie, że dawna przyjaciółka ucieszyłaby się szczerze ze spotkania z Panem i że radość jej będzie jeszcze żywsza, skoro będzie jej danem widywać Pana jak najczęściej i gawędzić o wszystkim, wyjąwszy o przeszłości, to nie będę się wstydziała mojej gadatliwości w tym liście.

Na razie do jak najprędszego zobaczenia się szczerze oddana

WYSELU
200
POLIG
BOCHNI
Okreg KHARÓW

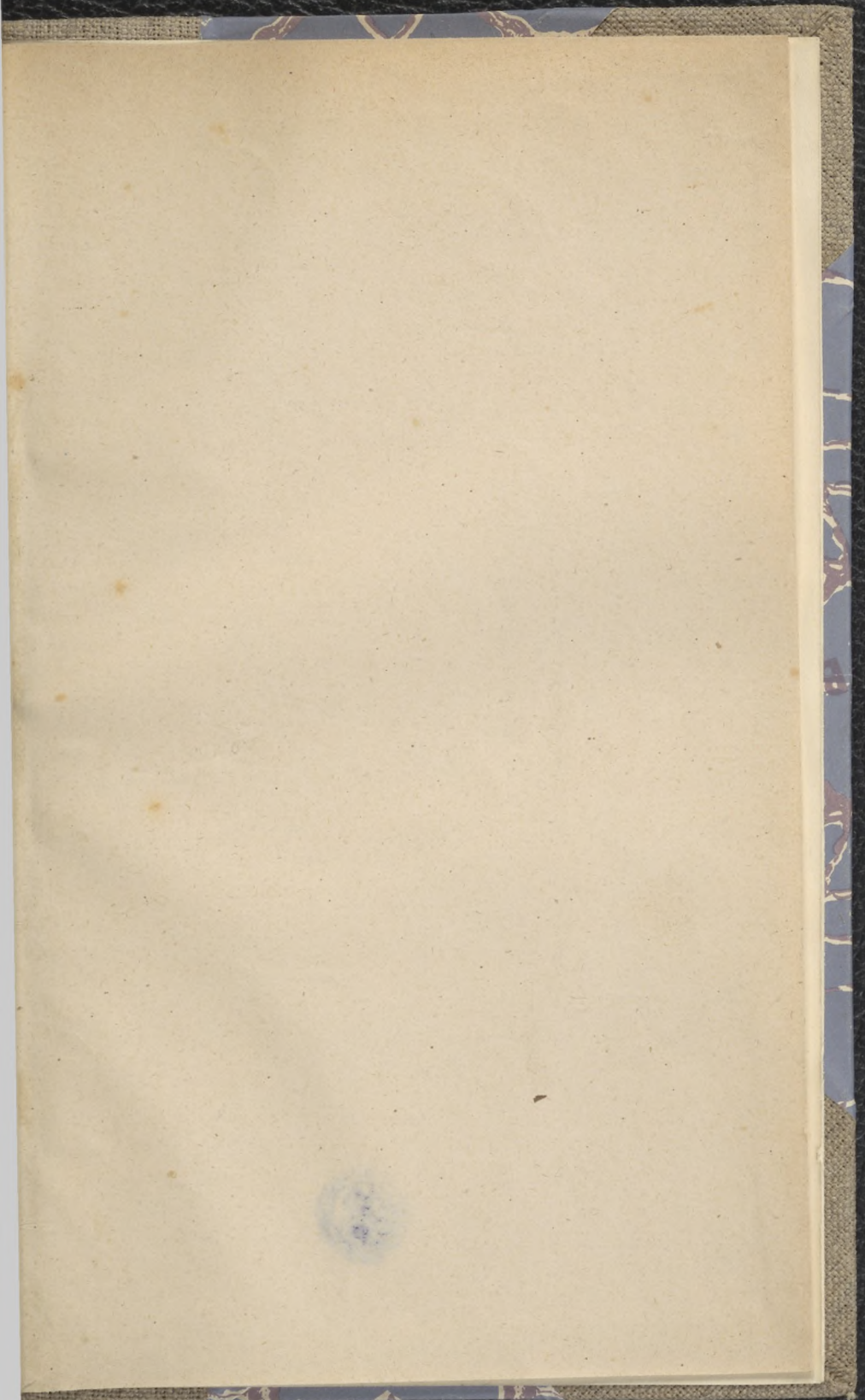
Cytrję jej list dosłownie, opuszczając jedynie podpisane nazwisko. Wszak na samym początku tych pamiętników zastrzegłem sobie wyraźnie, że nie chcę, aby było splamione przez połączenie go z mojem. Mimo wszystko tkwi jednak w głębi mego serca — nawet w chwili, gdy piszę te słowa — ci-cha, być może niczem nie uzasadniona nadzieja, która kiedyś zada kłam temu zastrzeżeniu. Wprawdzie nadzieja ta jest tak słaba, że lada podmuch niechęci ze strony owej uwielbianej osoby może ją zgasić, lecz wydaje mi się tak śmiała, że na samą myśl o jej urzeczywistnieniu ze wzruszenia omal że pióro nie wypada mi z ręki. Gdyby jednak marzenie moje miało kiedykolwiek przybrać realne kształty, to zawdzięczałbym to nie mojej rehabilitacji — nawet stuletnia pokuta nie zdołałaby wymazać z mojej przeszłości tego, co się stało — lecz szlachetności człowieka, który winę swoją wobec mnie odpokutował z ofiarnem samozaparciem się prawdziwego przyjaciela. Postępowanie to tembardziej zasługuje na gloryfikację, że aż do ostatniej chwili Ralf nie wspomniał mi ani jednym słówkiem o tem, co dla mnie uczynił.

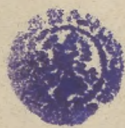
KONIEC

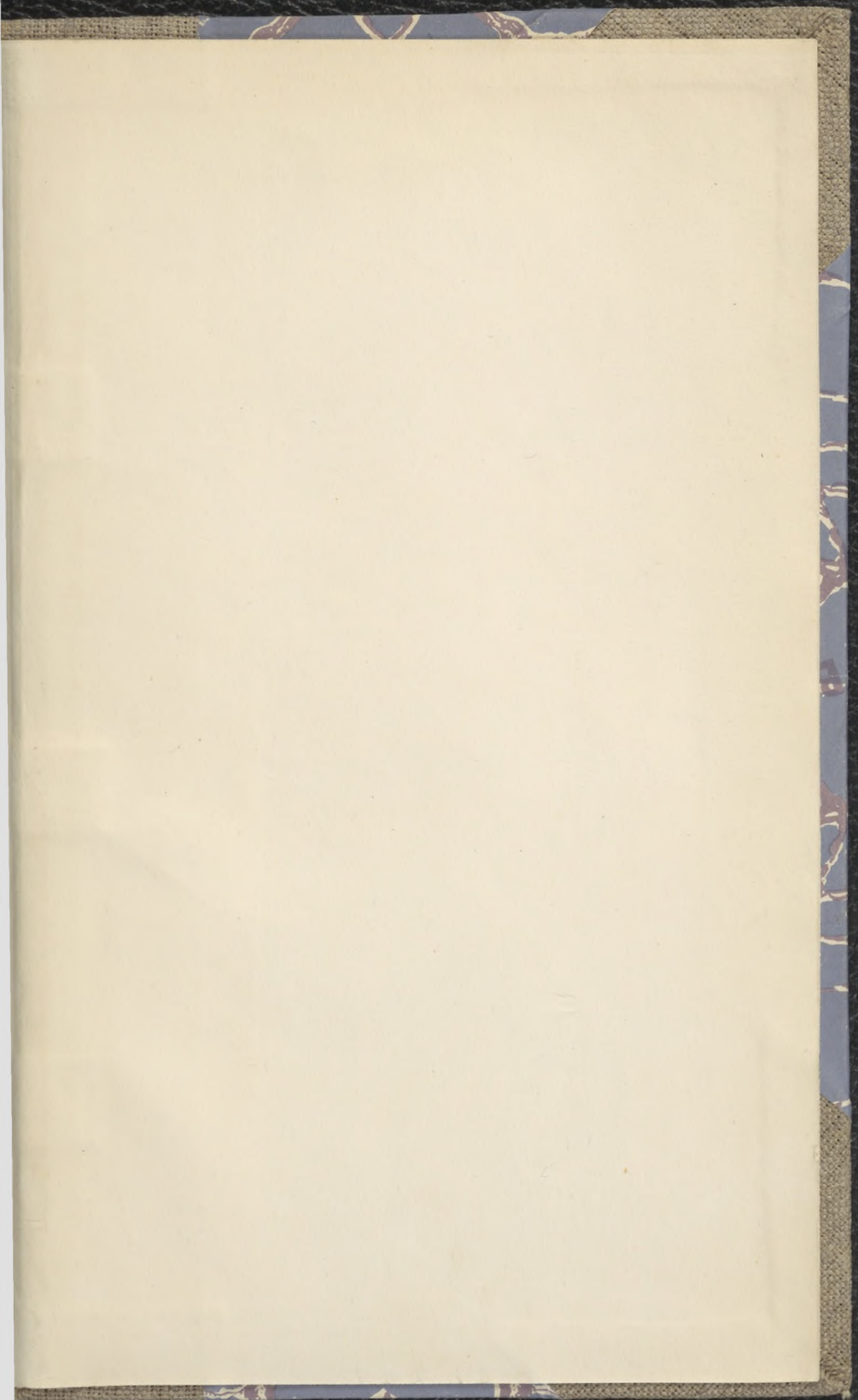
BIBLIOTEKA
BN
NARODC

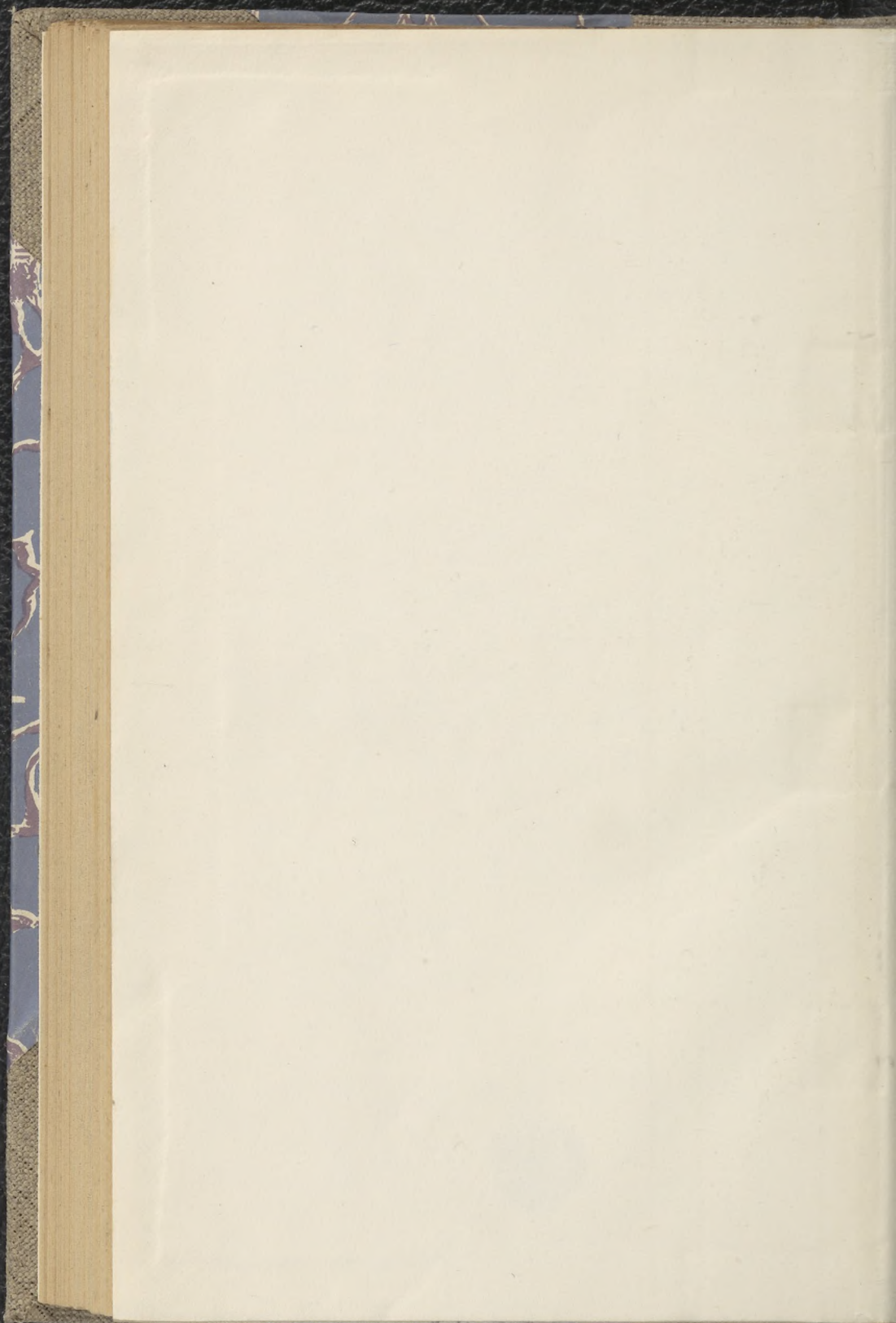
ZWIĄZEK ZAW. PRAC. PRZEMYSŁU
POLIGRAFICZNEGO
W POLSCE
Okręg KRAKÓW
Gdzina W BOCHNI

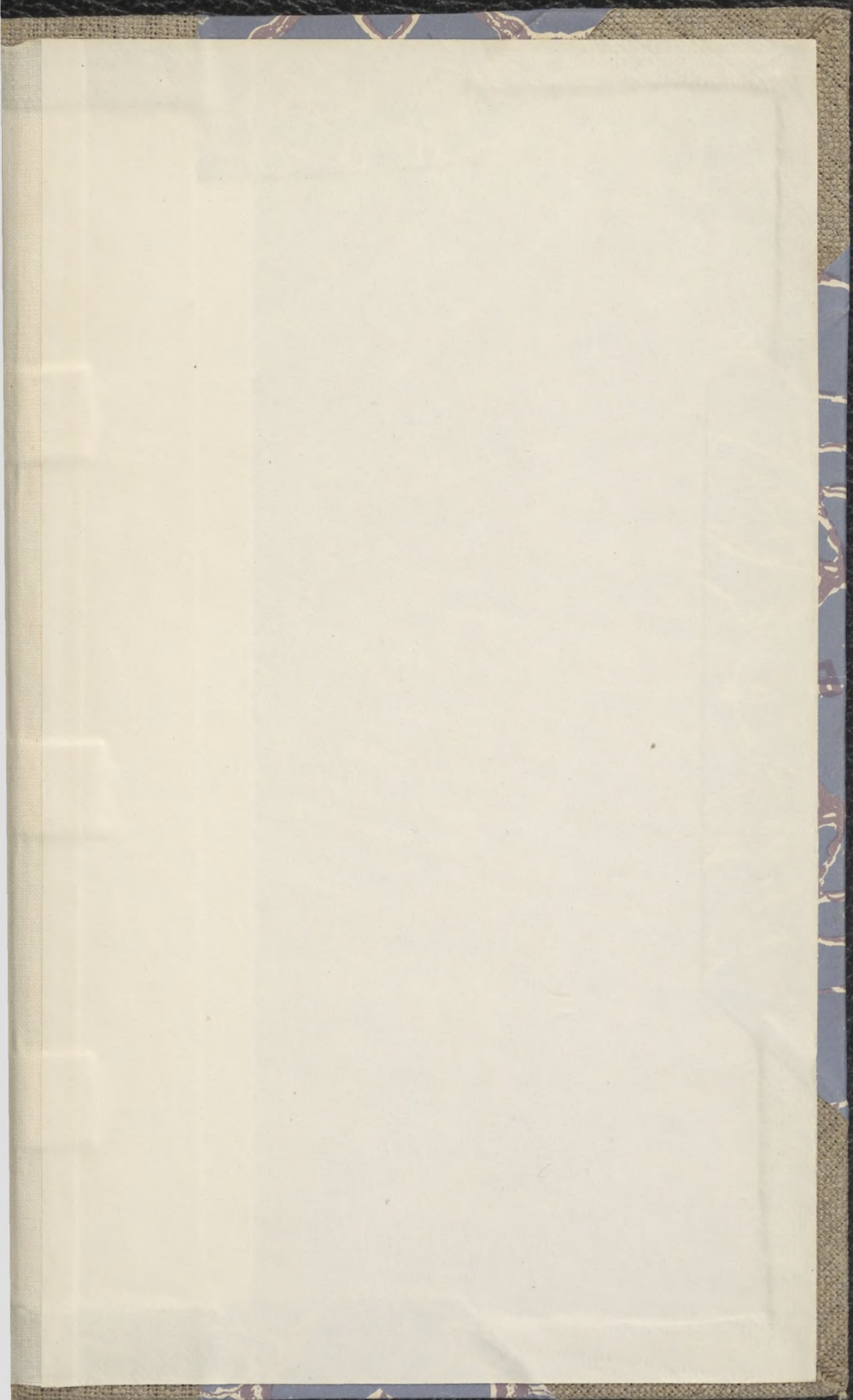
ZWIĄZEK ZAW. PRAC. PRZEMYSŁU
POLIGRAFICZNEGO
W POLSCE
Okręg KRAKÓW
Gdzina W BOCHNI













787091

BN

BN